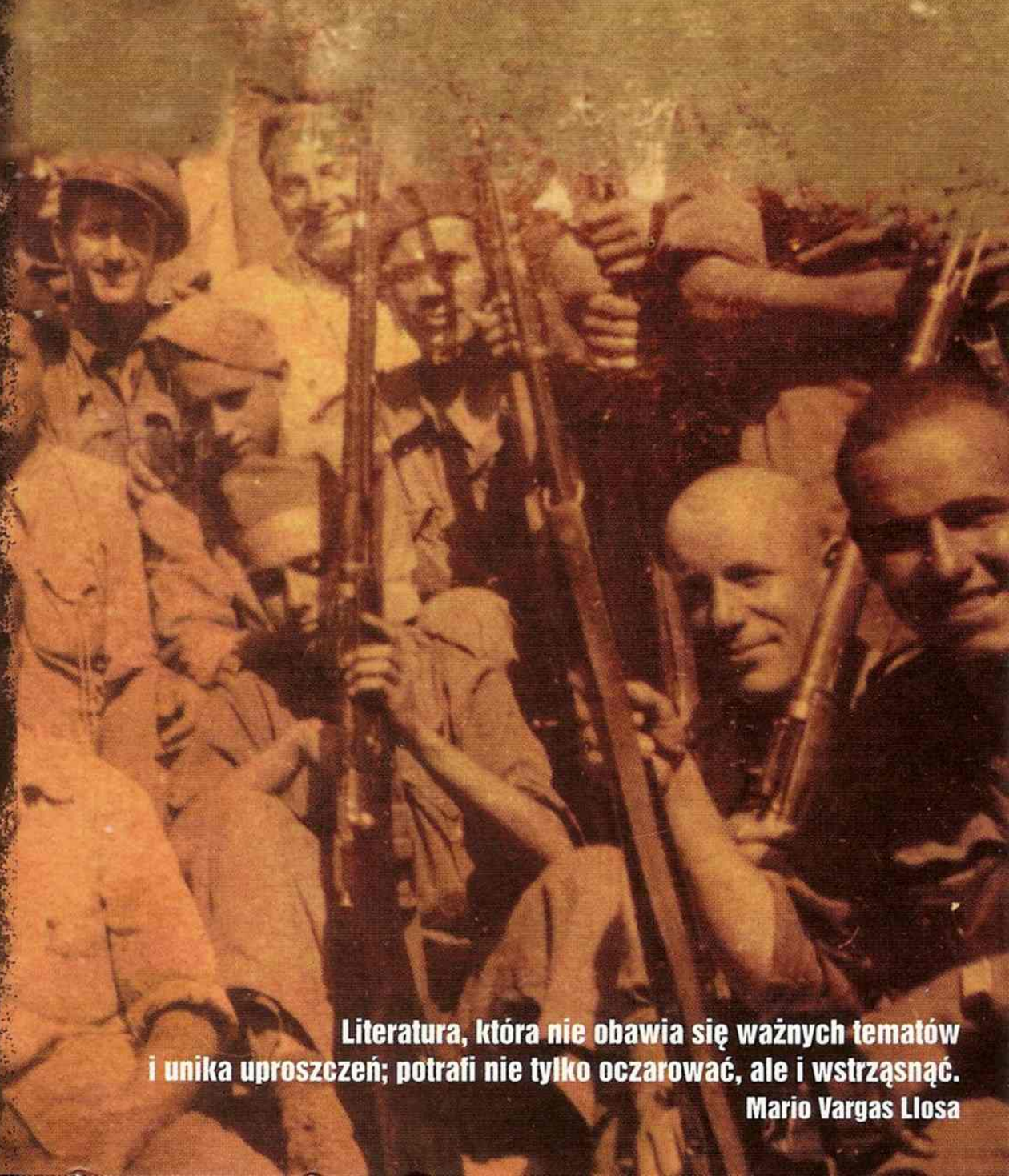


# Żołnierze spod Salaminy

Javier Cercas



Literatura, która nie obawia się ważnych tematów  
i unika uproszczeń; potrafi nie tylko oczarować, ale i wstrząsnąć.

Mario Vargas Llosa



**Żołnierze spod  
Salaminy**  
Javier Cercas

Przełożyła  
Ewa Zaleska

**w**  
ydawnic  
**ab**  
two

*Raiłowi Cercasowi i Mercè Mas*

*Gdyż bogowie w ukryciu przed ludźmi ich życie trzymają.*  
Hezjod, *Prace i dni* (przeł. Jerzy Łanowski)



## Od autora

Książka ta jest owocem licznych lektur i długich rozmów. Wiele osób, wobec których mam dług wdzięczności, pojawia się na jej kartach pod swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Wśród tych, którzy się nie pojawiają, pragnę wymienić Josepa Clare, Jordiego Garcie, Eliane i Jean-Marie Lavaud, José-Carlosa Mainera, Josepa Marię Nadala i Carlosa Triasa, a szczególnie Monicę Carbajosa, której praca doktorska, zatytułowana *La prosa del 27: Rafael Sánchez Mazas*, była mi ogromnie pomocna. Wszystkim bardzo dziękuję.

Część pierwsza  
Przyjaciele z lasu

O egzekucji Rafaela Sancheza Mazasa usłyszałem po raz pierwszy latem 1994 roku, a więc przeszło sześć lat temu. Miałem właśnie za sobą trudne chwile: po pierwsze umarł mój ojciec, po drugie zostawiła mnie żona, po trzecie zarzuciłem pisanie. Kłamię. Z wymienionych trzech zdarzeń tylko dwa pierwsze są prawdziwe, najprawdziwsze, trzecie natomiast nie. W rzeczywistości moja kariera pisarska nigdy nie rozpoczęła się na dobre, trudno więc mówić o jej zarzuceniu. Właściwsze byłoby stwierdzenie, że zarzuciłem ją, ledwie się rozpoczęła. W 1989 roku wydałem pierwszą powieść. Podobnie jak opublikowany dwa lata wcześniej zbiór opowiadań została ona całkowicie zignorowana, chociaż moja miłość własna oraz pochlebna recenzja jednego z ówczesnych przyjaciół wystarczyły, bym sobie wmówił, że mogę zostać pisarzem, a chcąc to osiągnąć, najlepiej zrobię, jeżeli zostawię pracę w redakcji gazety i poświęcę się całkowicie pisaniu. Konsekwencją tego było pięć lat

udręki finansowej, fizycznej i duchowej, trzy niedokończone powieści i przerażająca depresja, która na dwa miesiące przykuła mnie do fotela przed telewizorem. Ledwie zacząłem wracać do siebie, zostawiła mnie żona. Nie mogła już dłużej znieść płacenia wszystkich rachunków, nawet za pogrzeb mego ojca, i widoku męża wpatrującego się wilgotnymi od łez oczami w zgaszony telewizor. Nie pozostało mi nic innego, jak zrezygnować raz na zawsze z ambicji literackich i napisać podanie o ponowne zatrudnienie w gazecie.

Skończyłem właśnie czterdzieści lat, ale na szczęście mnie przyjęli – może dlatego, że nie będąc dobrym pisarzem, nie jestem wszakże złym dziennikarzem, a może, co bardziej prawdopodobne, w gazecie nie mieli nikogo, kto chciałby wykonywać moją pracę za tak marne wynagrodzenie. Przydzielono mnie do działu kultury, to znaczy tam, gdzie wysyła się ludzi, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Początkowo, z niewypowiedzianym wprost, lecz oczywistym zamiarem ukarania mnie za brak lojalności – porzucający dziennikarstwo dla literatury jest dla niektórych kolegów niemal zdrajcą – kazano mi robić wszystko, z wyjątkiem przynoszenia naczelnemu kawy z bistra za rogiem, i tylko nieliczni powstrzymali się od złośliwych i ironicznych docinków pod moim adresem. Z biegiem czasu pamięć o mojej nielojalności musiała jednak zblaknąć, bo wkrótce zacząłem redagować, pisać artykuły i przeprowadzać

wywiady. W ten oto sposób w lipcu 1994 roku przeprowadziłem rozmowę z Rafaelem Sanchezem Ferlosio, wygłaszającym wówczas cykl wykładów na uniwersytecie. Wiedziałem, że Ferlosio nie zgadza się z zasady na żadne rozmowy z dziennikarzami, ale dzięki pewnemu znajomemu (a raczej znajomej tego znajomego, która była organizatorką pobytu Ferlosia) udało się namówić go na krótkie spotkanie, przesadą byłoby bowiem nazywanie tego wywiadem, a jeśli już, to był to najdziwaczniejszy wywiad, jaki przeprowadziłem w życiu. Przede wszystkim dlatego, że Ferlosio pojawił się przed wystawionymi na zewnątrz stolikami „Bistrotta” w towarzystwie chmary przyjaciół, uczniów, wielbicieli i potakiewiczów; fakt ten, w zestawieniu z niedbałym strojem i z powierzchownością, która łączyła w sobie cechy zawstydzonego własną pozycją kastylijskiego arystokraty i starego samuraja – potężna głowa, zmierzwione, poprzetykane siwizną włosy, szorstki i surowy wyraz wychudzonej twarzy, semicki nos i policzki ocienione brodą – sprawiał, że postronny obserwator mógł go wziąć za jakiegoś religijnego guru otoczonego przez akolitów. Poza tym Ferlosio odmówił kategorycznie odpowiedzi na wszystkie moje pytania, twierdząc, że najlepszych odpowiedzi udzielił już w swoich książkach. Nie znaczy to, że nie miał ochoty ze mną rozmawiać; wprost przeciwnie: okazywał mi wylewną serdeczność i całe popołudnie upłynęło nam na rozmowie, zupełnie jakby chciał zadać kłam



opinii o jego nieprzystępnym charakterze (może zresztą opinia ta była całkiem bezzasadna). Cały problem polegał jednak na tym, że gdy ja, próbując ratować wywiad, pytałem go (dajmy na to) o różnice między postaciami literackimi określanymi bezpośrednio i poprzez zdarzenia, zbywał mnie rozważaniami o (dajmy na to) przyczynach klęski floty perskiej w bitwie pod Salaminą; kiedy zaś starałem się wydusić z niego opinię na temat (dajmy na to) pompy, z jaką obchodzono pięćsetlecie podboju Ameryki, odpowiadał mi, obszernie i nie szczędząc ożywionej gestykulacji, na czym polega (dajmy na to) prawidłowe użycie hebla. Była to wycieńczająca zabawa w kotka i myszkę i dopiero przy ostatnim tego wieczora piwie opowiedział mi historię swego ojca postawionego przed plutonem egzekucyjnym, historię, która od dwóch lat nie daje mi spokoju. Nie przypominam sobie, kto i dlaczego wymienił nazwisko Rafaela Sancheza Mazasa (może zrobił to któryś ze znajomych Ferlosia, a może sam Ferlosio). Pamiętam, że Ferlosio powiedział:

- Strzelali do niego niedaleko stąd, w sanktuarium Collell. - Spojrzał na mnie. - Był pan tam kiedyś? Ja też nie byłem, ale wiem, że to gdzieś pod Banyoles. Wszystko działo się już pod koniec wojny. Wydarzenia osiemnastego lipca zastały ojca w Madrycie; znalazł schronienie w ambasadzie Chile, gdzie spędził ponad rok. Pod koniec trzydziestego siódmego uciekł z ambasady i opuścił Madryt, ukry-

ty w ciężarówce, prawdopodobnie z zamiarem przedostania się do Francji. Został jednak zatrzymany w Barcelonie, a kiedy wojska Franco podchodziły pod miasto, wywieziono go do Collell, pod granicę francuską. Tam miał być rozstrzelany. To była zbiorowa egzekucja, do której republikanie chyba się nie przyłożyli, bo wojna była już wtedy przegrana i uciekali w rozsypce przez Pireneje; pewnie więc nawet nie wiedzieli, że biorą na muszkę jednego z założycieli Falangi, w dodatku bliskiego przyjaciela José Antonia Primo de Rivery. Ojciec przechowywał w domu kurtkę podbitą kożuchem i spodnie, które miał na sobie, gdy do niego strzelano, wielokrotnie mi je pokazywał, może jeszcze gdzieś tam leżą: spodnie były podziurawione, ale kule tylko go drasnęły, skorzystał więc z chwilowego zamieszania, żeby uciec do lasu i tam się ukryć. Schował się w jakimś dole i stamtąd słyszał szczekanie psów, huk wystrzałów, głosy żołnierzy, którzy go szukali, wiedząc wszakże, że nie mogą stracić na te poszukiwania zbyt dużo czasu, bo frankiści już im depczą po piętach. W pewnej chwili z tyłu, za plecami, ojciec usłyszał trzask gałęzi; odwrócił się i ujrzał przyglądającego mu się żołnierza. Równocześnie dobiegł go krzyk: „Znalazłeś go?” Ojciec opowiadał, że żołnierz wpatrywał się w niego przez kilka sekund, po czym, nie odrywając wzroku, odpowiedział: „Nie, nikogo tu nie ma!”, odwrócił się na pięcie i zniknął.

Ferlosio przerwał na chwilę, zmrużył oczy i spoj-  
rzał bystro i chytrze, jak dziecko, które się hamuje,  
żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Kilka dni ukrywał się w lesie, żywiąc się tym, co  
znalazł i co dostał w chłopskich obejściach. Nie znał  
okolicy, a na domiar złego stłukł sobie okulary, więc  
niewiele widział. Dlatego zawsze powtarzał, że nie  
zdołałby przeżyć, gdyby nie spotkał młodych męż-  
czyzn z pobliskiej wioski, która nazywała się, a mo-  
że nadal się nazywa Cornellà de Terri; ci chłopcy  
otaczali go opieką i żywili aż do nadejścia fran-  
kistów. Byli bardzo przyjacielscy i gdy niebezpie-  
czeństwo minęło, zatrzymał się jeszcze na kilka  
dni w ich domu. Nie sądzę, żeby potem jeszcze kie-  
dyś się spotkali, ale nieraz mi o nich opowiadał.  
Pamiętam, że zawsze używał w stosunku do nich ich  
własnego określenia: „przyjaciele z lasu”.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem tę historię,  
opowiedzianą w taki właśnie sposób. Co się tyczy wy-  
wiadu z Ferlosiem, udało mi się w końcu wyjść z tego  
obronną ręką, może zresztą zmyśliłem go w całości:  
o ile pamiętam, nie ma w nim żadnej wzmianki  
o bitwie pod Salaminą (jest natomiast mowa o różni-  
cy między postaciami literackimi określanymi bez-  
pośrednio i poprzez zdarzenia) ani o szczegółach  
użycia hebla (jest natomiast o hucznych obchodach  
pięćsetlecia odkrycia Ameryki). W wywiadzie nikt  
także nie wspomina o egzekucji w Collell ani o San-  
chezie Mazasie. O samej egzekucji wiedziałem tylko

tyle, ile opowiedział mi Ferlosio; o Sanchezie Mazasie – niewiele więcej, w owym czasie nie przeczytałem bowiem jeszcze ani jednego napisanego przez niego zdania, a nazwisko kojarzyłem tylko mgliście z jednym z wielu polityków i pisarzy Falangi, ludzi, których pogrzebała pospiesznie historia Hiszpanii lat ostatnich, jakby grabarze obawiali się, że nieboszczycy nie całkiem jeszcze umarli.

Rzeczywiście nie umarli. A w każdym razie nie do końca. Historia egzekucji Sancheza Mazasa w Collell i okoliczności tego zdarzenia wywarły na mnie wielkie wrażenie, więc po spotkaniu z Ferlosiem zainteresowałem się postacią jego ojca, samą wojną domową, o której wiedziałem wówczas niewiele więcej niż o bitwie pod Salaminą albo sposobach wykorzystania hebla, a także strasznymi historiami związanymi z wojną, które, opowiadane przez starych ludzi, zawsze brzmiały nostalgicznie i były paliwem napędzającym wyobraźnię pisarzy bez wyobraźni. Przypadek sprawił (a może nie było to takie przypadkowe), że w tym samym czasie wśród pisarzy hiszpańskich zapanowała moda na upominanie się o twórców związanych z Falangą. Właściwie zaczęło się to już wcześniej, w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy kilka liczących się i wpływowych wydawnictw wypuściło na rynek pojedyncze książki jakichś znakomitych, a zapomnianych falangistów. Gdy jednak ja zacząłem interesować się Sanchezem Mazasem, w niektórych kołach literackich upominano się już

nie tylko o dobrych pisarzy falangistowskich, lecz także tych przeciętnych, a nawet kiepskich. Zdarzali się naiwni, jak w przypadku paru strażników lewicowej ortodoksji, albo wprost głupcy, którzy oskarżycielskim tonem oświadczali, że upominanie się o pisarza Falangi jest odgrzewaniem ideologii Falangi (lub przygotowywaniem pod to gruntu). W rzeczywistości było wprost przeciwnie: upominanie się o pisarza falangistowskiego było tylko upominaniem się o pisarza lub, precyzyjniej rzecz ujmując: upominaniem się o samego siebie jako pisarza upominającego się o dobrego pisarza. Chcę powiedzieć, że w najlepszych przypadkach (o najgorszych nie warto mówić) moda ta wzięła się z naturalnej u pisarza potrzeby wymyślenia sobie własnej tradycji, także z zamiłowania do prowokacji, z problematycznego przeświadczenia, że co innego literatura, a co innego życie, i że dlatego można być dobrym pisarzem, będąc zarazem bardzo złym człowiekiem (lub człowiekiem, który wspiera najgorsze sprawy albo im sprzyja), z przekonania, że oto na gruncie literackim potraktowano niesprawiedliwie pewnych pisarzy falangistowskich, którzy – by użyć tu wyrażenia ukutego przez Andresa Trapiello – wygrali wprawdzie wojnę, lecz przegrali historię literatury. Jakkolwiek było naprawdę, Sánchez Mazas nie uniknął tej zbiorowej ekshumacji. W 1986 wydano po raz pierwszy jego poezje zebrane, w 1995 wyszła ponownie jego powieść *La vida nueva de Pedrito de Andía* w bardzo popularnej serii

wydawniczej; w 1996 wznowiono także inną jego powieść, *Rosę Krüger*, której pierwsze wydanie ukazało się dopiero w roku 1984. Przeczytałem wtedy te wszystkie książki. Przeczytałem je z zainteresowaniem, a nawet z przyjemnością, ale bez entuzjazmu: nie musiałem długo czytać, by dojść do wniosku, że Sánchez Mazas był dobrym pisarzem, nie był jednak wielkim pisarzem, choć założę się, że nie umiałbym jasno wytłumaczyć, co odróżnia wielkiego pisarza od pisarza dobrego. Pamiętam, że w późniejszych miesiącach czy latach natykałem się także w lekturach na jakieś pojedyncze odniesienia do Sancheza Mazasa, a nawet na bardzo zdawkowe i luźne wzmianki o wydarzeniu w Collell.

Upłynęło trochę czasu. Zacząłem zapominać o tej historii. Pewnego dnia w początkach lutego 1999 roku, czyli w roku obchodów sześćdziesiątej rocznicy zakończenia wojny domowej, ktoś w gazecie poddał myśl, by napisać artykuł przypominający smutne okoliczności śmierci poety Antonia Machado, który w styczniu 1939 roku, wraz z matką i bratem José, podobnie jak setki tysięcy przerażonych Hiszpanów uciekł z Barcelony do Collioure po francuskiej stronie granicy, gdzie wkrótce potem zmarł. Był to powszechnie znany epizod i pomyślałem, nie bez racji, że każda katalońska (i nie tylko katalońska) gazeta wspomni o nim w tych dniach. Zasiadałem zatem do napisania rutynowego tekstu, gdy pamięć podsunęła mi historię Sancheza Mazasa i uświadomiłem sobie,



że jego niedoszłe rozstrzelanie miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie co śmierć Machada, tyle tylko, że po hiszpańskiej stronie granicy. Wyobraziłem sobie wówczas, że symetria i kontrast między tymi dwoma straszliwymi wydarzeniami – niemal jakiś chiasm historii – nie były być może przypadkowe i że jeżeli uda mi się przedstawić je w tym samym artykule, niewykluczone, że ich dziwny paralelizm wydobędzie z nich nieznane dotąd znaczenie. Utwierdziłem się w tym przeczuciu, natrafiwszy przypadkiem – przy okazji gromadzenia potrzebnej dokumentacji – na historię podróży Manuela Machado do Collioure, wkrótce po śmierci brata Antonia. Zacząłem pisać. Powstał artykuł zatytułowany *Istotna tajemnica*. Przytaczam go tu w całości, ponieważ jest też na swój sposób istotny dla całej tej opowieści:

„Mija właśnie sześćdziesiąt lat od śmierci Antonia Machado w ostatnich dniach wojny domowej. Ze wszystkich historii, jakie wydarzyły się w tamtym czasie, historia Machada jest niewątpliwie najsmutniejsza, bo kończy się źle. Pisano o niej wielokrotnie. W kwietniu 1938 roku Machado przyjechał do Barcelony z Walencji razem z matką i bratem José. Zatrzymał się w hotelu „Majestic”, a potem w Torre de Castañer, starym pałacyku przy alei Sant Gervasi. W Barcelonie Machado zajął się tym samym, co robił od początku wojny, czyli pisaniem tekstów w obronie prawowitego rządu Republiki. Był stary, zmęczo-

ny i chory, i nie wierzył już w pokonanie Franco. Pisał: «To już koniec. Barcelona padnie lada dzień. Dla strategów, dla polityków, dla historyków wszystko jest już jasne: przegraliśmy wojnę. Ale w wymiarze ludzkim nie jestem tego taki pewny. (...) Może ją wygraliśmy». Trudno powiedzieć, czy ten ostatni osąd był słuszny. Trafny był jednak pierwszy. Nocą dwudziestego drugiego stycznia 1939 roku, na cztery dni przed zdobyciem Barcelony przez oddziały frankistowskie, Machado i jego rodzina wyruszyli w konwoju ku granicy francuskiej. W tym koszmarnym exodusie towarzyszyli im inni pisarze, a wśród nich Corpus Barga i Carles Riba. Stawali na odpoczynek w Cervià de Ter i w Mas Faixat, niedaleko Figueres. Wreszcie, nocą dwudziestego siódmego stycznia, pokonawszy w strugach deszczu ostatnie sześćset metrów, przekroczyli granicę. Musieli zostawić bagaże, nie mieli też pieniędzy. Dzięki pomocy Corpusa Bargi zdołali dotrzeć do Collioure i zamieszkali tam w hotelu „Bougnol Quintana”. Poeta umarł w niepełną miesiąc później; matka przeżyła go o trzy dni. W kieszeni palta Antonia jego brat José znalazł luźne zapiski, wśród nich tę oto strofę, może pierwszą linijkę ostatniego wiersza poety: «Te dni błękitne i słońce dzieciństwa».

Historia tu się nie kończy. Wkrótce po śmierci Antonia jego brat, poeta Manuel Machado, mieszkający w Burgos, dowiedział się o wszystkim z zagranicznej prasy. Manuel i Antonio nie tylko byli

braćmi, łączyła ich głęboka przyjaźń. Bunt osiemnastego lipca zastał Manuela w Burgos, na terenie zajęтым przez rebeliantów, podczas gdy Antonio był wówczas w Madrycie, na terenie wiernym Republice. Nie można wykluczyć, że gdyby Manuel przebywał w owych dniach w Madrycie, pozostałby wierny Republice. Bezcelowe zapewne jest spekulowanie, co by było, gdyby to Antonio przebywał wówczas w Burgos. Wiadomo tylko, że na wieść o śmierci brata Manuel wyrobił sobie natychmiast list żelazny i po wielodniowej podróży przez spaloną Hiszpanię dotarł do Collioure. W hotelu dowiedział się o śmierci matki. Poszedł na cmentarz. Tam, przy grobach matki i Antonia, spotkał trzeciego brata, José. Rozmawiali ze sobą. Dwa dni później Manuel wrócił do Burgos.

Jednakże historia, przynajmniej ta historia, którą dziś chcę opowiedzieć, nie kończy się tutaj. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Machado umierał w Collioure, w pobliżu sanktuarium Collell stawiano przed plutonem egzekucyjnym Rafaela Sancheza Mazasa. Sánchez Mazas był pisarzem, był także dobrym przyjacielem José Antonia Primo de Rivery oraz jednym z założycieli i ideologów Falangi. Jego wojenne losy spowija mgła tajemnicy. Przed kilkoma laty syn Sancheza Mazasa, Rafael Sánchez Ferlosio, opowiedział mi swoją wersję. Nie wiem, czy odpowiada ona prawdzie. Przedstawiam ją tak, jak została mi opowiedziana. Sánchez Mazas, zaskoczony przez

pucz wojskowy w republikańskim Madrycie, schronił się w ambasadzie Chile. Przeżył tam dużą część wojny; pod koniec podjął próbę ucieczki ukryty w ciężarówce, ale został zatrzymany w Barcelonie i gdy oddziały Franco podchodziły pod miasto, wywieziony w stronę granicy. Pod samą granicą postawiono go przed plutonem egzekucyjnym, kule jednak zaledwie go drasnęły, a on sam wykorzystał zamieszanie i uciekł do lasu. Ze swojej kryjówki słyszał głosy tropiących go żołnierzy. W końcu jeden z nich go znalazł. Spojrzał zbiegowi w oczy. Potem krzyknął do towarzyszy: «Nikogo tu nie ma!» Odwrócił się i odszedł.

«Ze wszystkich historii w Historii – pisał Jaime Gil – najsmutniejsza jest niewątpliwie historia Hiszpanii, ponieważ kończy się źle». Kończy się źle? Nigdy się nie dowiemy, kim był żołnierz, który ocalił życie Sanchezowi Mazasowi, ani co myślał, patrząc mu w oczy. Nigdy się nie dowiemy, co sobie powiedzieli José i Manuel Machado, stojąc przy grobach matki i brata Antonia. Nie wiem dlaczego, ale czasem myślę, że gdybyśmy potrafili wyjaśnić jedną z tych równoległych tajemnic, może dotknęlibyśmy także tajemnicy dużo istotniejszej”.

Byłem bardzo zadowolony z artykułu. Kiedy się ukazał, dwudziestego drugiego lutego 1999 roku, dokładnie w sześćdziesiątą rocznicę śmierci Machada w Collioure, dokładnie sześćdziesiąt lat i dwadzieścia

dwa dni po nieudanym rozstrzelaniu Sancheza Mazasa w Collell (datę egzekucji poznałem później), zebrałem wiele gratulacji w gazecie. W następnych dniach nadeszły na moje nazwisko trzy listy i, co dziwne – bo nie należałem do dziennikarzy wywołujących polemiki, tych, których nazwiska często pojawiają się w dziale listów do redakcji, ani też nic nie pozwalało przypuszczać, by wydarzenia sprzed sześćdziesięciu lat mogły kogoś szczególnie poruszyć – wszystkie trzy dotyczyły tego właśnie artykułu. Pierwszy, napisany, jak sobie wyobraziłem, przez jakiegoś studenta filologii, zarzucał mi, że w artykule sugeruję (nie sądzę, bym to zrobił, a w każdym razie nie sądzę, bym to zrobił do końca), iż Antonio Machado stanąłby po stronie frankistów, gdyby w lipcu trzydziestego szóstego roku znajdował się w zbuntowanym Burgos. Drugi był ostrzejszy w tonie; napisał go człowiek w tak zaawansowanym wieku, że z pewnością doświadczył wojny na własnej skórze. Używając charakterystycznego żargonu, oskarżał mnie o „poprawianie historii”, ponieważ znakiem zapytania w ostatnim ustępie, po cytacie z Jaime Gila („Kończy się źle?”), sugerowałem niedwuznacznie, że historia Hiszpanii kończy się dobrze, co on osobiście bezwzględnie uważał za fałsz. „Kończy się dobrze dla tych, którzy wygrali wojnę”, pisał. „Ale źle dla nas, którzy ją przegraliśmy. Nikt się nie pofatygował, by podziękować nam za walkę o wolność. We wszystkich miasteczkach stoją pomniki upamięt-

niające poległych w czasie wojny. A na ilu z nich widział pan nazwiska poległych po obu stronach?” Ostatnie zdanie listu brzmiało następująco: „I niech szlag trafi to gówniane przejście do demokracji! Z wyrazami szacunku. Mateu Recasens”.

Trzeci list był najciekawszy. Podpisał go niejaki Miguel Aguirre, historyk, według jego słów, od kilku lat zajmujący się badaniem wydarzeń okresu wojny domowej w okręgu Banyoles. Przedstawiał, między innymi, fakt wówczas dla mnie zdumiewający: Sánchez Mazas nie był jedynym więźniem, który przeżył egzekucję w Collell. Człowiek o nazwisku Jesús Pascual Aguilar również uszedł z życiem i, co więcej, wszystko wskazuje na to, że opisał to zdarzenie w książce zatytułowanej *Zamordowali mnie czerwoni*. „Obawiam się, że książka jest praktycznie nieosiągalna – kończył Aguirre z właściwą erudycie pyszałkowatością. – Ale jeżeli pana interesuje, mam egzemplarz do pańskiej dyspozycji”. Na dole kartki napisał swój adres i numer telefonu.

Bezzwłocznie do niego zadzwoniłem. Kilka razy mnie przełączono, z czego wywnioskowałem, że pracuje w jakiejś firmie lub instytucji państwowej, wreszcie udało mi się z nim porozmawiać. Zapytałem, czy posiada jakieś informacje na temat egzekucji w Collell; odpowiedział twierdząco. Zapytałem, czy jego propozycja pożyczenia mi książki Pascuala pozostaje aktualna; odpowiedział twierdząco. Zapytałem, czy ma ochotę umówić się ze mną na obiad; odpowie-



dział, że mieszka w Banyoles, ale w każdy czwartek przyjeżdża do Gerony, żeby wziąć udział w programie radiowym.

- Możemy umówić się na czwartek - oznajmił.

Był piątek, pragnąc więc oszczędzić sobie tygodnia niecierpliwości, o mało nie zaproponowałem, byśmy się spotkali jeszcze tego samego popołudnia w Banyoles.

- Zgoda - przytaknąłem mimo wszystko i w tej samej chwili przypomniałem sobie Ferlosia o wyglądzie dobrotliwego guru i bystrych oczach, jak opowiadał o ojcu, siedząc przy wystawionym na zewnątrz stoliku „Bistrota” i spoglądał na mnie drażniąco wesołym wzrokiem.

- Możemy umówić się w „Bistrocie”? - zapytałem.

„Bistrot” to bar w starej części miasta, urządzone w lekko modernistycznym stylu, z marmurowymi stolikami na nogach z kutego żelaza, wentylatorami o powolnych śmigłach, wielkimi lustrami i ukwieconymi balkonami, wychodzącymi na uliczkę prowadzącą do placu San Domènech. W czwartek, na długo przed umówioną porą, siedziałem już przy okrągłym stoliku „Bistrota”, sącząc piwo. Wokół mnie wykładowcy z wydziału literatury, którzy jadają tam obiady, toczyli ożywione rozmowy. Przeglądając gazetę, pomyślałem, że ani mnie, ani Aguirre nie przyszło do głowy, by umawiając się na ten obiad, ustalić jakiś znak rozpoznawczy, bo przecież się nie znaliśmy. Zacząłem właśnie wyobrażać sobie, jak

może wyglądać Aguirre, wnioskując o wyglądzie z usłyszanego tydzień wcześniej w telefonie głosu, gdy przed moim stolikiem zatrzymał się ktoś niski i krępy, o ciemnych włosach, w okularach i z czerwoną aktówką pod pachą; trzydniowy zarost i spiczasta, zabójcza bródka zasłaniały mu niemal całą twarz. Z jakiegoś powodu przypuszczałem, że Aguirre będzie flegmatycznym, starym belfrem, a nie bardzo młodym mężczyzną o wyglądzie skacowanym (a może tylko ekscentrycznym), którego miałem przed sobą. Stał bez słowa, więc spytałem go, czy to on. Powiedział, że tak. Potem on mnie zapytał, czy to ja. Odpowiedziałem, że tak. Roześmialiśmy się. Kiedy podeszła kelnerka, Aguirre zamówił ryż gotowany z mięsem i warzywami oraz antrykot w sosie rokforowym, ja – sałatkę i królika. Czekaając na jedzenie, Aguirre powiedział, że rozpoznał mnie dzięki fotografii na skrzydełku jednej z moich książek, którą czytał jakiś czas temu. Pokonawszy gwałtowny skurcz próżności, rzuciłem zjadliwie:

- Ach, więc to byłeś ty?
- Nie rozumiem.
- To był taki żart – poczułem się w obowiązku wyjaśnić.

Chciałem już przejść do właściwego tematu, ale uznałem, że dobrze go będzie zapytać o program radiowy. Nie chciałem wydać się człowiekiem nieuprzejmym ani okazać, że bardzo mi zależy na jego informacjach. Aguirre roześmiał się nerwowo, odsłaniając białe i nierówne zęby.

- W założeniu to program satyryczny, ale tak naprawdę, takie tam głupoty. Gram komisarza policji, faszystę, który nazywa się Antonio Gargallo i sporządza raporty na temat przesłuchiwanym. Słowo daję, chyba się w facecie zakochuję. Naturalnie w urzędzie miejskim nic o tym programie nie wiedzą.

- Pracujesz w urzędzie miejskim w Banyoles?

Aguirre przytaknął, jakby z zażenowaniem i przykrością.

- Jestem sekretarzem burmistrza - powiedział. - Kolejny idiotyzm. Burmistrz to mój znajomek, poprosił mnie i nie umiałem odmówić. Ale spadam stamtąd, jak tylko skończy się kadencja.

Od pewnego czasu miastem Banyoles zarządzali bardzo młodzi ludzie z radykalnej nacjonalistycznej partii katalońskiej Esquerra Republicana de Catalunya.

- Nie wiem, jakie jest pańskie zdanie - powiedział Aguirre - ale mnie się wydaje, że kraj cywilizowany to taki, w którym ludzie nie muszą tracić czasu na politykę.

Nie uszło mojej uwagi to zwracanie się do mnie per „pan”, ale zachowałem spokój i korzystając z pomocy, jaką mi oferował, podjąłem natychmiast wątek.

- W trzydziestym szóstym roku sytuacja temu nie sprzyjała.

- Otóż to.

Przyniesiono sałatkę i ryż. Aguirre wskazał na czerwoną aktówkę.

- Zrobiłem panu fotokopię książki Pascuala.

- Znasz szczegóły tego, co wydarzyło się w Collell?

- Nie znam szczegółów - powiedział. - To zagmatwana historia.

Jadł łapczywie ryż, popijając czerwonym winem, a równocześnie, jakby uznał za konieczne wprowadzić mnie w temat, opowiedział o pierwszych dniach wojny w okręgu Banyoles: o łatwym do przewidzenia fiasku zamachu stanu, o późniejszej rewolucji, o niekontrolowanym bestialstwie komitetów, o masowym paleniu kościołów, o masakrze duchowieństwa.

- Jestem antyklerykałem, chociaż to już dziś niemodne. Jednakże tamte wydarzenia to był jakiś zbiorowy obłąd - dodał. - Jasne, że łatwo można znaleźć przyczyny takiego obrotu spraw, ale równie łatwo można znaleźć przyczyny tłumaczące nazizm... Niektórzy historycy katalońscy sugerują, że podpalcami kościołów i zabójcami księży nie byli tutejsi, lecz imigranci i inni tacy. Kłamstwo. To byli tutejsi, a trzy lata później niejeden krzyczał na wiwat, witając wkraczających frankistów. Oczywiście, jak zapytać, to nikogo tu nie było, kiedy podkładano ogień pod kościoły. Ale to inny temat. Wkurwia mnie, że katalońscy nacjonałści ciągle jeszcze usiłują wciskać kit, że to była wojna między Kastylijczykami i Katalończykami, jak film, w którym są źli i dobrzy.

- Sądziłem, że jesteś nacjonalistą.

Aguirre przestał jeść.

- Nie jestem nacionalistą - powiedział. - Jestem niepodległościowcem.

- A jaka jest różnica?

- Nacionalizm to ideologia - wyjaśnił twardszym tonem, jakby irytowała go konieczność tłumaczenia spraw oczywistych. - Moim zdaniem zgubna. Poglądy niepodległościowe to tylko jeden z możliwych wyborów. Nacionalizm to wiara, a o wierze się nie dyskutuje, więc nie można też dyskutować o nacionalizmie. O przekonaniach niepodległościowych można. Mogą się panu wydawać słuszne lub nie. Mnie się wydają słuszne.

Nie mogłem tego dłużej znieść.

- Wolałbym, żebyśmy przeszli na ty.

- Przepraszam - powiedział. Uśmiechnął się i znowu zaczął jeść. - Mam zwyczaj zwracania się per pan do osób starszych.

Aguirre wrócił do tematu wojny. Opowiedział szczegółowo o ostatnich jej dniach, kiedy to od wielu miesięcy nie działały już magistraty ani kataloński rząd, Generalitat, i w całym okręgu panował chaos spowodowany bezładną ucieczką: drogi zapchane nieprzebranym tłumem uciekinierów, żołnierze w mundurach różnej rangi wałęsający się po okolicy, zrozpaczeni i rabujący wszystko, co napotkali na swojej drodze, ogromne ilości broni i sprzętu walające się na poboczach... Aguirre wyjaśnił, że w owym czasie przetrzymywano ludzi w Collell, bo na samym

początku wojny urządzono w sanktuarium więzienie; siedziało tam około tysiąca osób, wszyscy lub niemal wszyscy pochodzili z Barcelony. Przewieziono ich tam w związku z postępującą ofensywą zbuntowanych oddziałów, ponieważ należeli do tych najbardziej niebezpiecznych albo najbardziej zaangażowanych po stronie puczystów. W odróżnieniu od Ferlosia Aguirre uważał, że republikanie dobrze wiedzieli, kogo stawiają przed plutonem egzekucyjnym, ponieważ tych pięćdziesięciu więźniów, których wybrali, to były znaczące postaci, ludzie przeznaczeni do pełnienia ważnych funkcji społecznych i politycznych po wojnie – szef Falangi w prowincji Barcelona, dowódcy grup dywersyjnych, finansisci, adwokaci, księża. Większość z nich siedziała najpierw w prowizorycznych aresztach komunistycznych trybunałów ludowych w Barcelonie, a potem była przetrzymywana na statkach-więzieniach, takich jak „Argentina” i „Uruguay”.

Przyniesiono antrykot i królika, a zabrano brudne talerze (talerz Aguirre był tak wymieciony, że lśnił).

- Kto wydał rozkaz? - zapytałem.

- Jaki rozkaz? - odpowiedział pytaniem Aguirre, przyglądając się łakomie wielkiemu antrykotowi, gotowy do ataku, z nożem i widelcem w rękach.

- Rozkaz egzekucji.

Aguirre spojrzał na mnie tak, jakby przez chwilę zapomniał o moim istnieniu. Wzruszył ramionami i wciągnął powietrze, głęboko i głośno.



- Tego nie wiem - odpowiedział i wypuścił powietrze, odkrawając jednocześnie kawałek mięsa.  
- Pascual wspomina, zdaje się, że zrobił to niejaki Monroy, młody twardziel, który był chyba szefem tego więzienia, bo w Barcelonie kierował też aresztami trybunałów ludowych i obozami pracy; w innych dokumentach z tamtego okresu pojawia się jego nazwisko... W każdym razie jeśli rozkaz wydał Monroy, to najprawdopodobniej nie działał na własną rękę, lecz wypełniał rozkazy SIM-u.

- SIM-u?

- Servicio de Información Militar, Wojskowej Służby Informacyjnej - wyjaśnił Aguirre. - Jednego z niewielu organów wojskowych, które w owym czasie działały jeszcze jak należy. - Na krótką chwilę przestał przeżuwać. Potem wrócił do jedzenia, równocześnie mówiąc: - To rozsądna hipoteza: moment był rozpaczliwy, a ci z SIM-u nie bawili się, oczywiście, w żadne ceregiele. Są też inne hipotezy.

- Na przykład?

- Líster. Kręcił się w okolicy. Mój ojciec go widział.

- W Collell?

- W pobliskiej wiosce, Sant Miquel de Campmajor. Ojciec był wtedy dzieckiem i schronił się w jednym z gospodarstw we wsi. Wiele razy mi opowiadał, że kiedyś na teren gospodarstwa wdarła się garstka mężczyzn, wśród których był Líster, zażądali jedzenia i miejsca do spania i całą noc kłócili się o coś

w kuchni. Długi czas sądziłem, że ojciec wymyślił sobie tę historię; będący wówczas dziećmi starzy ludzie w większości twierdzili, że widzieli Listera, legendarnego dowódcę V Pułku. Jednak w miarę upływu lat zacząłem wiązać ze sobą różne fakty i doszedłem do wniosku, że może to była prawda. Sam oceń – przygotował mnie Aguirre, zanurzając łąkomię kawałek chleba w gęstym sosie oblewającym antrykot. Pomyślałem, że musi być na strasznym kacu, i zastanawiałem się, czy bardziej cieszy go obiad, czy możliwość zademonstrowania swojej wiedzy na temat wojny. – Listera mianowano pułkownikiem pod koniec stycznia trzydziestego dziewiątego roku. Powierzono mu dowództwo V Korpusu Armii Ebro, czy też raczej tego, co zostało z V Korpusu, czyli garstki rozbitych oddziałów wycofujących się bez podejmowania walki w kierunku granicy francuskiej. Ludzie Listera pozostali w okręgu przez kilka tygodni i niektórzy z nich zatrzymali się z pewnością w Collell. Ale, wracając do rzeczy: czytałeś wspomnienia Listera?

Odpowiedziałem, że nie.

– No cóż, nie są to wspomnienia w dokładnym tego słowa znaczeniu – ciągnął Aguirre. – Rzecznik nosi tytuł *Nasza wojna* i dobrze się to czyta, choć strasznie tam dużo kłamstw, jak zwykle we wspomnieniach. W każdym razie Líster pisze, że w nocy z trzeciego na czwartego lutego trzydziestego dziewiątego roku (czyli trzy dni po egzekucji w Collell) w jednym

z domów pobliskiej wioski odbyło się zebranie Biura Politycznego partii komunistycznej, w którym to zebraniu wzięli udział, oprócz innych przywódców i komisarzy, on sam i Togliatti, wówczas przedstawiciel Międzynarodówki Komunistycznej. Jeśli dobrze pamiętam, na spotkaniu dyskutowano o możliwości zorganizowania ostatniego punktu oporu w Katalonii, ale mniejsza z tym. Ważne jest to, że wspomniany dom mógł być z powodzeniem miejscem, w którym schronił się mój ojciec; w każdym razie zgadzają się główne postaci, daty i miejsce, więc...

Niepostrzeżenie Aguirre wdał się w jakąś zawiłą synowską dygresję. Pamiętam, że pomyślałem wtedy o swoim ojcu i że zdziwił mnie ten fakt, bo nie myślałem o nim od dawna. Nie wiedzieć dlaczego poczułem ucisk w gardle, cień wyrzutu sumienia.

- Więc to Líster wydał rozkaz, żeby ich rozstrzelać? - przerwałem Aguirre.

- Możliwe - powiedział, wracając z łatwością do porzuconego wątku i wyjadając wszystko z talerza. - Ale możliwe też, że nie. W *Naszej wojnie* pisze, że to nie on ani żaden z jego ludzi. A co ma napisać? Ale, prawdę mówiąc, ja mu wierzę: to nie w jego stylu, facet był ogarnięty obsesją prowadzenia nadal, za wszelką cenę, przegranej już wojny. Poza tym, połowa tego, co się przypisuje Listerowi, to legenda, a druga połowa... no cóż, przypuszczam, że druga połowa to prawda. Kto to zresztą może wiedzieć. Ja nie mam wątpliwości, że ktokolwiek wydał ten rozkaz,

dobrze wiedział, kogo posyła na śmierć, i wiedział, oczywiście, kim jest Sánchez Mazas. Mmmm – westchnął, zbierając resztki rokforowego sosu kawałkiem chleba. – Ale byłem głodny! Dolać ci wina?

Zabrano talerze (mój z niedojedzonym królikiem, talerz Aguirre tak wymieciony, że lśnił). Mój rozmówca zamówił jeszcze jedną karafkę wina, porcję tortu czekoladowego i kawę; ja też zamówiłem kawę. Zapytałem Aguirre, co wie o Sanchezie Mazasie i jego pobycie w Collell.

– Niewiele – odpowiedział. – Jego nazwisko pojawia się kilkakrotnie w akcie oskarżenia, ale zawsze w związku z procesem, który wytoczono mu w Barcelonie, kiedy został zatrzymany po ucieczce z Madrytu. Pascual też coś o nim wspomina. O ile wiem, jedyną osobą, która mogła coś więcej słyszeć, jest Trapiello, Andrés Trapiello. Pisarz. Wydał książki Sancheza Mazasa i napisał o nim kilka bardzo dobrych tekstów. Poza tym w swoich dziennikach często pisze o rodzinie Sancheza Mazasa, więc musi utrzymywać z nią kontakt. Wydaje mi się nawet, że czytałem gdzieś u niego tę historię o rozstrzelaniu... Zaraz po wojnie to była bardzo znana historia, przytaczają ją wszyscy, którzy znali w tamtych czasach Sancheza Mazasa, myślę więc, że to on ją wszystkim opowiadał. Wiedziałaś, że wiele osób uważało ją za zmyśloną? W gruncie rzeczy i dzisiaj niektórzy tak sądzą.

– Nie dziwię się.

- Dlaczego?  
- Bo to historia jakby żywcem wyjęta z powieści.  
- Wszystkie wojny obfitują w historii jakby żywcem wyjęte z powieści.

- Tak, ale czy mimo wszystko nie wydaje ci się niewiarygodne, żeby niemłody już mężczyzna, bo przecież Mazas miał wtedy czterdzieści pięć lat, i w dodatku krótkowidz?...

- Jasne. A do tego na pewno ledwie żywy.

- Właśnie. Nie wydaje ci się niewiarygodne, żeby komuś takiemu udało się wyjść z podobnych oparów?

- Dlaczego niewiarygodne? - Pojawienie się wina i czekoladowego tortu oraz kawy nie przerwało jego wywodu. - Zdziwiający, tak. Ale nie niewiarygodny. Przecież sam to świetnie opisałeś w swoim artykule! Pamiętaj, że to była zbiorowa egzekucja. Przypomnij sobie żołnierza, który powinien był go wydać, a nie wydał. Pamiętaj, wreszcie, że mówimy o Collell. Byłeś tam kiedyś?

Powiedziałem, że nie byłem, a wówczas Aguirre roztoczył przede mną wizję ogromnej kamiennej bryły otoczonej ze wszystkich stron gęstym sosnowym lasem rosnącym na wapnistej glebie, górzystego, dzikiego i bardzo rozległego obszaru, z rzadka zabudowanego samotnymi gospodarstwami i wioskami, El Torn, Sant Miquel de Campmajor, Fares, Sant Ferriol, Mieres, w których w ciągu trzech wojennych lat działały siatki organizujące ucieczki z kraju;

za pieniądze (czasem z przyjaźni lub ze względu na sympatie polityczne) pomagano przekraczać granicę potencjalnym ofiarom rewolucyjnych represji, a także młodym ludziom, którzy pragnęli uniknąć obojętkowego, zarządzanego przez Republikę poboru do wojska. Wedle słów Aguirre w okolicy było też wielu uciekinierów, którzy albo nie mieli pieniędzy na opłacenie przerzutu przez granicę, albo nie potrafili nawiązać kontaktu z ludźmi organizującymi ucieczki, i całymi miesiącami albo i latami ukrywali się w lasach.

- W tej okolicy można więc było łatwo znaleźć kryjówkę - stwierdził. - Chłopi już zdążyli się przyzwyczaić do ludzi kryjących się po lasach i pomagali im. Czy Ferlosio nie wspominał ci o „przyjaciołach z lasu”?

W swoim artykule opowiedziałem historię Sancheza Mazasa do chwili, gdy żołnierz nie zdradza jego kryjówki; nie wspomniałem tam ani słowem o „przyjaciołach z lasu”. Zakrztusiłem się kawą.

- Znasz tę opowieść? - spytałem zaintrygowany.

- Znam syna jednego z nich.

- Nie chrzań.

- Nie chrzanię. Nazywa się Jaume Figueras, mieszka tu, niedaleko. W Cornellà de Terri.

- Ferlosio powiedział mi, że młodzi mężczyźni, którzy pomogli Sanchezowi Mazasowi, pochodzili z Cornellà de Terri.



Aguirre wzruszył ramionami, skrupulatnie zbierając palcami ostatnie okruszki tortu.

- Tak daleko moja wiedza nie sięga - przyznał. - Figueras opowiedział mi tę historię bardzo skrótowo, ja też zanadto się nie dopytywałem. Ale jeśli chcesz, mogę dać ci jego numer telefonu i sam go poprosisz, żeby ci to opowiedział.

Aguirre dopił kawę i zapłaciliśmy. Rozstaliśmy się na Rambla, na wprost mostu Les Peixeteries Velles. Aguirre powtórzył, że zadzwoni do mnie następnego dnia, żeby podać mi numer telefonu Figuerasa. Ściskając mu dłoń na pożegnanie, dostrzegłem ślady czekolady w kącikach jego ust.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytał.

O mało nie zwróciłem mu uwagi, żeby sobie wytarł usta.

- Z czym? - powiedziałem jednak.

- Z historią Sancheza Mazasa.

Nic nie zamierzałem z nią robić (po prostu mnie zaciekawiła), a zatem powiedziałem mu prawdę.

- Nic? - Aguirre przyjrzał mi się swoimi małymi, nerwowymi i inteligentnymi oczami. - Myślałem, że chcesz napisać powieść.

- Już nie pisuję powieści - odparłem. - Poza tym to nie jest powieść, lecz prawdziwa historia.

- Tak jak i twój artykuł - zauważył Aguirre. - Mówiłem ci, że bardzo mi się podobał? Był taką bardzo zwartą opowieścią, tyle że z prawdziwymi postaciami i wydarzeniami... Jak zapis prawdziwych wydarzeń.

Następnego dnia Aguirre zadzwonił i podał mi numer telefonu Jaime Figuerasa. Był to numer telefonu komórkowego. Nie odezwał się Figueras, ale nagrany głos Figuerasa zachęcał do zostawienia wiadomości; zostawiłem więc wiadomość: podałem swoje nazwisko, zawód, powiedziałem, że znam Aguirre i że chciałem porozmawiać o ojcu Figuerasa, o Sanchezie Mazasie i o „przyjaciołach z lasu”. Zostawiłem swój numer telefonu i poprosiłem o odpowiedź.

W ciągu następnych dni czekałem niecierpliwie na telefon od Figuerasa, ale na próżno. Zadzwoniłem po raz drugi, znowu zostawiłem wiadomość i znowu zacząłem czekać. W tym czasie przeczytałem książkę Pascuala Aguilara *Zamordowali mnie czerwoni*. Było to ociekające krwią wspomnienie okropieństw, jakich autor doświadczył za linią wojsk republikańskich, jedna z wielu relacji tego typu wydanych w Hiszpanii, tyle tylko, że ta akurat została wydana we wrześniu 1981 roku. Obawiam się, że data nie jest przypadkowa, bo należy czytać tę relację jako swego rodzaju usprawiedliwienie operetkowego zamachu stanu z dwudziestego trzeciego lutego tego roku (Pascual kilka razy przytacza porażającą swą odkrywczą sentencję, którą José Antonio Primo de Rivera często powtarzał jak swoją: „Ostatecznie zawsze ratuje cywilizację pluton żołnierzy”) i jako ostrzeżenie przed katastrofą, która ma nadejść wraz z rychłym przejściem władzy przez partię socjalistyczną i symbolicznym końcem okresu przejściowego.

Nieoczekiwanie książka okazała się bardzo dobra. Pascual, stary falangista, który nie wyrzekł się swoich poglądów mimo upływu czasu i zmian w Hiszpanii, opowiada ze swadą swoje wojenne koleje losu, od chwili, gdy wojskowy zamach stanu zaskakuje go na wakacjach w okolicach Teruel, czyli na terenie kontrolowanym przez wojska republikańskie, aż do czasu po egzekucji w Collell (poświęca temu wydarzeniu, jak również dniom bezpośrednio przed nim i po nim, wiele stron zaciekle szczegółowego opisu), kiedy to zostaje wyzwolony przez oddziały Franco. Jego wojenne losy to jakby połączenie przygód Zorro i hrabiego Monte Christo: najpierw był aktywnym członkiem, potem dowódcą grupy dywersyjnej w Barcelonie, wreszcie przesiedział jakiś czas w areszcie trybunału ludowego w Vallmajor. Książkę wydał własnym sumptem, wymienia w niej kilka razy Sancheza Mazasa, z którym spędził godziny poprzedzające egzekucję. Kierując się wskazówką Aguirre, przeczytałem też Trapiella i odkryłem, że w jednej ze swoich książek przytacza również historię rozstrzelania Sancheza Mazasa, a jego wersja jest niemal identyczna z wersją opowiedzianą przez Ferlosia, wyjąwszy fakt, że Trapiello, podobnie jak ja w artykule czy w zapisie prawdziwych wydarzeń, nie wspomina o „przyjaciółkach z lasu”. Zdziwiła mnie zbieżność szczegółów między relacją Trapiella i moją. Pomyślałem, że Trapiello mógł ją usłyszeć z ust Ferlosia (albo któregoś z pozostałych dzieci Sancheza Mazasa bądź jego

żony), i wyobraziłem sobie, że w domu Sancheza Mazasa historia ta była ciągle powtarzana, nabrała więc charakteru literalnego i rygorystycznego, podobnie jak to się dzieje z doskonałymi kawałami: przy ich opowiadaniu nie można opuścić ani jednego słowa, żeby kawału nie położyć.

Zdobyłem numer telefonu Trapiella i zadzwoniłem do niego do Madrytu. Gdy wyłuszczyłem mu, o co mi chodzi, zareagował bardzo uprzejmie i powiedział, że od wielu lat nie zajmuje się już Sanchezem Mazasem, sprawia mu jednak wielką radość fakt, że wzbudza on czyjeś zainteresowanie. Podejrzewam, że uważał Sancheza Mazasa nie za dobrego, lecz za wielkiego pisarza. Rozmawialiśmy ponad godzinę. Trapiello zapewnił mnie, że o wydarzeniu w Collell nie wie nic ponad to, co przytoczył w swojej książce, i potwierdził, że historię tę opowiadało wiele osób, zwłaszcza zaraz po wojnie.

- Tuż po zajęciu miasta przez frankistów gazety barcelońskie często do niej wracały, podobnie jak gazety w całym kraju, bo był to jeden z ostatnich aktów przemocy wycofujących się z Katalonii republikanów, chciano więc zrobić z tego propagandowy użytek - wyjaśnił mi Trapiello. - Jeśli się nie mylę, Ridruejo mówi o tym epizodzie w swoich wspomnieniach, i Laín także. Muszę tu gdzieś mieć artykuł Montesa wzmiankujący również o sprawie... Wyobrażam sobie, że przez jakiś czas Sánchez Mazas opowiadał tę historię każdemu, kogo spotkał. Było to,

niewątpliwie, okropne przeżycie, ale, no cóż, czy ja wiem.... Był chyba wielkim tchórzem (wszyscy wiedzieli, że był wielkim tchórzem), sądził więc zapewne, że ta przerażająca wojenna przygoda odkupi w jakiś sposób jego tchórzostwo.

Zapytałem go, czy słyszał o „przyjaciołach z lasu”. Potwierdził. Zapytałem, kto opowiedział mu historię, którą przytoczył w książce. Odrzekł, że Liliana Ferlosio, żona Sancheza Mazasa, którą – jak się zdaje – często odwiedzał przed jej śmiercią.

– Dziwna rzecz – zauważyłem. – Z wyjątkiem jednego szczegółu historia zgadza się co do joty z wersją Ferlosia, jakby oboje recytowali ją z pamięci, zamiast opowiedzieć każde po swojemu.

– Co to za szczegół?

– Niby bez większego znaczenia. W pana relacji (to znaczy w relacji Liliany) na widok Sancheza Mazasa żołnierz wzrusza ramionami i odchodzi. Natomiast w mojej wersji (to znaczy w wersji Ferlosia) żołnierz kilka sekund patrzy mu w oczy, nim ostatecznie sobie pójdzie.

Zapadła cisza. Pomyślałem, że połączenie się przerwało.

– Halo?

– A to dobre – odezwał się Trapiello. – Ma pan słuszność. Nie wiem, skąd mi się wzięło to wzruszenie ramion, pewnie wydało mi się bardziej literackie albo w stylu Pía Barojy. Myślę, że w wersji opowiedzianej mi przez Lilianę żołnierz też patrzył mu

w oczy przed odejściem. Tak. Pamiętam nawet jej słowa, że kiedy spotkała się z Sanchezem Mazasem po trzyletniej, spowodowanej wojną rozłące, ten często wspominał o tamtych wpatrzonych w niego oczach. Oczach żołnierza, ma się rozumieć.

Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o Sanchezie Mazasie, jego poezji, powieściach i artykułach prasowych, o jego trudnym charakterze, przyjaciotach i rodzinie („U nich w domu wszyscy źle się wyrażają o wszystkich i wszyscy mają rację” – Trapiello zacytował Gonzaleza-Ruano). Trapiello podał mi kilka nazwisk i kilka wskazówek bibliograficznych, jakby miał pewność, że zamierzam napisać coś o Sanchezie Mazasie, lecz nie chciał być natarczywy i dopytywać się o szczegóły. Zaprosił mnie także do swego domu w Madrycie, gdzie przechowywał rękopisy i fotokopie artykułów prasowych oraz inne rzeczy Sancheza Mazasa.

Odwiedziłem Trapiella dopiero kilka miesięcy później, od razu jednak zbadałem tropy, które mi podsunął. Odkryłem w ten sposób, że istotnie, szczególnie tuż po zakończeniu wojny, Sánchez Mazas opowiadał historię swego rozstrzelania każdemu, kto był gotowy jej słuchać. Eugenio Montes, jeden z jego najwierniejszych przyjaciół, również pisarz i falangista, tak go sportretował czternastego lutego 1939 roku, w dwa tygodnie po wydarzeniach w Collell: „W pasterskim kożuchu i w podziurawionych kulami spodniach” wyglądał, „jakby wracał z za grobu”

po trzech latach spędzonych w ukryciu i w republikańskich więzieniach. Do euforycznego spotkania Sancheza Mazasa i Montesa doszło kilka dni wcześniej w Barcelonie, w gabinecie ówczesnego Krajowego Szefa Propagandy zbuntowanych wojsk, poety Dionisia Ridruejo. Po wielu latach Ridruejo przywoływał we wspomnieniach tamtą scenę; podobnie, choć trochę później, czynił to w swoich wspomnieniach Pedro Laín Entralgo, w owych czasach jeden z wielu młodych i świątłych dygnitarzy Falangi. Sposób, w jaki obaj autorzy opisują tamtego Sancheza Mazasa – Ridruejo znał go już trochę wcześniej, ale Laín, który później śmiertelnie Sancheza Mazasa znienawidzi, widział go wtedy po raz pierwszy – jest zadziwiająco zbieżny, jakby pisarz wywarł na nich obu tak wielkie wrażenie, że zachowali w pamięci obraz tej samej chwili (albo jakby Laín przepisał od Ridrueja, albo jakby obaj powielili inny opis, pochodzący z tego samego źródła): Mazas wygląda jak upiór, jest wychudzony, zdenerwowany i rozdygotany, ma ogoloną na łyso głowę, a orli nos przesłania niemal całą wynędzniałą twarz. Obaj wspominają też, że Sánchez Mazas opowiedział wtedy w gabinecie historię swego rozstrzelania, ale Ridruejo niezbyt w nią chyba uwierzył (i dlatego wspomina, że ubarwił dla nich opowieść „różnymi literackimi szczegółami”) i tylko Laín nie zapomniał dodać, że miał na sobie „ciężką, brązową kurtkę na kozuchu”.

Jak dowiedziałem się przypadkiem - a potem, załatwiwszy zρέcznie pewne formalności, jak mogłem to obejrzeć na własne oczy w archiwum Katalońskiej Filmoteki - Sánchez Mazas, ubrany w tę samą ciężką brązową kurtkę na kożuchu, tak samo wychudzony, z głową ogoloną na łyso i z wyrazem twarzy człowieka wracającego zza grobu, opowiedział przed kamerą historię swego rozstrzelania. Zrobił to niewątpliwie w tych samych dniach lutego trzydziestego dziewiątego roku, kiedy opowiedział ją swoim towarzyszom z Falangi w gabinecie Ridrueja w Barcelonie. To nagranie, jedno z niewielu zachowanych do dzisiaj nagrań Sancheza Mazasa, pojawiło się w jednej z pierwszych powojennych kronik filmowych, między ujęciem marsowego oblicza Generalissimuśa Franco dokonującego przeglądu floty wojennej w Tarragonie i idyllicznymi scenkami z Carmencitą Franco, bawiącą się w ogrodzie rezydencji w Burgos z małym lwiątkiem, podarunkiem od Pomocy Społecznej. Mówiąc do kamery, Sánchez Mazas cały czas stoi, nie ma okularów, spogląda nieobecnyim wzrokiem, ale wypowiada się z pewnością siebie człowieka przyzwyczajonego do publicznych wystąpień oraz z upodobaniem właściwym komuś, kto lubi słućhać samego siebie. Początkowo - gdy wspomina o rozstrzelaniu - mówi tonem dziwnie ironicznym, a potem - gdy przechodzi do końcowego fragmentu swej przygody - z pewną egzaltacją i zadęciem, jednak tak precyzyjnie dobiera słowa i tak dokładnie odmierza dzielące je chwile ciszy, że sprawia momentami wraże-



nie aktora recytującego swoją rolę na scenie. Poza tym historia nie różni się zasadniczo od relacji przedstawionej przez jego syna, więc kiedy jej słuchałem, siedząc na stołku w małym pomieszczeniu Filmoteki, nie mogłem nie poczuć dziwnego dreszczu na myśl, że słucham jednej z pierwszych wersji, jeszcze topornej i niewyglądzonej, tej samej opowieści, którą sześćdziesiąt lat później miałem usłyszeć od Ferlosia. Byłem całkowicie pewien, że to, co Sánchez Mazas opowiedział synowi (i to, co ten opowiedział mnie), nie było tym, co zapamiętał z wydarzenia, lecz tym, co zapamiętał z powtarzania tej historii przy rozmaitych okazjach. Dodam jeszcze, że wcale się nie zdziwiłem faktem, że ani Montes, ani Ridruejo, ani Laín nie wspominają o zachowaniu owego bezimennego żołnierza, który miał rozkaz zabić Sancheza Mazasa i tego nie zrobił (przy założeniu, że wiedzieli o jego istnieniu). Nie wspomniał o nim także sam Sánchez Mazas w owej kronice filmowej skierowanej do anonimowego tłumu widzów uradowanych niedawnym końcem wojny. Można ten fakt łatwo zrozumieć bez konieczności tłumaczenia go zapomnieniem lub niewdzięcznością; wystarczy uświadomić sobie, że wedle ówczesnej doktryny wojennej Hiszpanii frankistowskiej wróg nigdy nie darowywał życia nikomu, pochłonięty bez reszty zabijaniem. A co się tyczy „przyjaciół z lasu”...

Minęło jeszcze kilka miesięcy, nim udało mi się porozmawiać z Jaume Figuerasem. Kilkakrotnie zostawiłem mu nagrany wiadomość w telefonie komór-

kowym, ale nigdy nie oddzwonił, niemal już zwątpiłem, czy kiedykolwiek odezwie się do mnie. Brałem pod uwagę dwie możliwości: albo Figueras jest tylko wytworem znerwicowanej wyobraźni Aguirre, albo po prostu, z powodów, których nie znałem, ale które można sobie było wyobrazić, nie ma ochoty opowiadać nikomu wojennej przygody swego ojca. Dziwne (albo teraz przynajmniej tak to widzę): odkąd Ferlosio obudził moje zaciekawienie swoją relacją, nie przyszło mi nigdy do głowy, że któryś z bohaterów owej historii może nadal pozostawać przy życiu, zupełnie jakby były one równie odległe w czasie jak bitwa pod Salaminą, a nie wydarzyły się zaledwie sześćdziesiąt lat temu.

Pewnego dnia spotkałem przypadkowo Aguirre. Było to w meksykańskiej restauracji, w której umówiłem się na wywiad z pewnym nudnym jak flaki z olejem madryckim pisarzem, przebywającym u nas w związku z promocją jego kolejnych wypocin, czyli książki, której akcja rozgrywała się w Meksyku. Aguirre siedział tam z grupą ludzi, świętując chyba jakąś uroczystość, bo do dzisiaj pamiętam jego radosny chichot i oddech zalatujący tequilą, który uderzył mnie w twarz jak obuchem. Podszedł i nerwowo gładząc swoją zabójczą bródkę, zagadnął mnie z bardzo bliskiej odległości, czy już piszę (co miało oznaczać, czy piszę książkę, bo dla Aguirre, podobnie jak dla wszystkich, pisanie do prasy nie jest pisaniem). Trochę najeżony – bo nic tak nie irytuje pisarza, który

nic nie pisze, jak pytanie go, co pisze – odpowiedziałem mu, że nie. Zapytał, co się dzieje z Sanchezem Mazasem i z moją „prawdziwą historią”, opartą na faktach. Jeszcze bardziej rozdrażniony, odpowiedziałem mu, że nic. Wtedy zapytał, czy rozmawiałem z Figuerasem. Ja też musiałem być już lekko pijany, a może nudny madrycki pisarz zdążył mnie wyprowadzić z równowagi, bo odpowiedziałem, że nie, i dodałem z wściekłością:

- Jeśli on w ogóle istnieje.
- Kto taki?
- A kto ma być? Figueras.

Na te słowa uśmiech zniknął mu z ust. Przestał gładzić się po bródce.

- Nie wygłupiaj się – powiedział, przyglądając mi się ze zdumieniem. Poczułem wielką ochotę, by dać mu w twarz, a może w rzeczywistości chciałem spoliczkować madryckiego pisarza. – Oczywiście, że istnieje.

Powstrzymałem się.

- W takim razie nie chce ze mną rozmawiać.

Pełen skruchy, jakby mnie przeproszał, Aguirre wyjaśnił, że Figueras jest budowniczym albo przedsiębiorcą budowlanym (czy kimś w tym rodzaju) i że w dodatku jest radnym nadzorującym planowanie przestrzenne w Cornellà de Terri (czy coś w tym rodzaju), w każdym razie jest osobą bardzo zajętą, co tłumaczy niewątpliwie brak odpowiedzi na zostawiane przeze mnie wiadomości. Potem obiecał, że z nim

porozmawia. Wróciłem na swoje miejsce w fatalnym nastroju: z całego serca nienawidziłem madryckiego pisarza, który tymczasem perorował bez wytchnienia.

Figueras zadzwonił do mnie trzy dni później. Przeprosił, że nie odzywał się wcześniej (mówił powoli, a jego głos brzmiał niewyraźnie, jakby należał do człowieka bardzo posuniętego w latach, może chorego), wspomniał o Aguirre, zapytał, czy nadal mam ochotę na rozmowę. Odpowiedziałem twierdząco, ale umówienie się na konkretny termin nie było łatwe. Wreszcie, kiedy się okazało, że spotkanie jest niemożliwe w tym tygodniu, ustaliliśmy je na następny. Potem, wymieniwszy wszystkie bary w mieście (poczynając od „Bistrota”, którego Figueras nie znał), uzgodniliśmy, że zobaczymy się w barze „Núria”, na placu Poety Marquiny, tuż obok dworca.

Tam właśnie przyszedłem tydzień później, kwadrans przed umówioną godziną. Pamiętam bardzo dobrze tamto popołudnie, bo nazajutrz wyjeżdżałem na urlop do Cancún z przyjaciółką, z którą związałem się jakiś czas wcześniej (trzecią z kolei od chwili separacji: pierwszą była koleżanka z redakcji; drugą dziewczyna, która pracowała w Pan's and Company). Miała na imię Conchi i jedynym jej zajęciem było występowanie w lokalnej telewizji w charakterze wróżki. Używała artystycznego pseudonimu Jasmine. Conchi trochę mnie peszyła, ale podejrzewam, że

w ogóle podobają mi się kobiety, które mnie onieśmielają. Staralem się, oczywiście, by nikt ze znajomych nie nakrył mnie w jej towarzystwie, bo krępowało mnie nie tyle pokazywanie się publicznie z telewizyjną wróżką, ile jej wyzywający wygląd (tlenione włosy, skórzana minispódniczka, wydekoltowane bluzki i buty na szpilkach). Poza tym Conchi była, nie da się ukryć, dość szczególna. Pamiętam dzień, gdy pierwszy raz zabrałem ją do siebie do domu. Mocowałem się z zamkiem przy drzwiach wejściowych, a ona powiedziała:

- Co za popieprzone miasto.

Zapytałem dlaczego.

- Sam popatrz - odparła z grymasem obrzydzenia na twarzy, wskazując palcem tabliczkę z nazwą ulicy: Aleja Francisco de Castro y Pascuala. Mikrobiologa.  
- Mogliby dawać ulice ludziom formatu makro, a nie mikro. Nie uważasz?

Sama Conchi była akurat zachwycona swoim związkiem z dziennikarzem (z intelektualistą, jak mówiła) i choć jestem pewny, że nigdy nie doczytała do końca żadnego mojego artykułu (może z wyjątkiem jakiegoś bardzo krótkiego), udawała zawsze, że je czyta, a na honorowym miejscu w salonie, obok obrazu Matki Boskiej z Guadalupe, ustawionego na cokoliku, umieściła po jednym egzemplarzu wszystkich moich książek. Każdy był starannie obłożony w przezroczysty plastik. „To mój chłopak”, mówiła z poczuciem wyższości do swoich przyjaciółek pół-

analfabetek, ilekroć do niej wpadały. Kiedy ją poznałem, rozstała się właśnie z pewnym Ekwadorczykiem o nazwisku Dwa-do-Dwóch González. Dźwięczne imię otrzymał od ojca na pamiątkę meczu piłkarskiego, w którym ukochana drużyna tegoż wygrała po raz pierwszy i ostatni rozgrywki ligowe swego kraju. Aby zapomnieć o Dwa-do-Dwóch – poznali się w siłowni, gdzie ćwiczył kulturystykę; w chwilach czułości nazywała go Remis, a w chwilach złości Mózgowiec, Mózgowiec González, bo uważała go za mało inteligentnego – Conchi wyprowadziła się do Quart, pobliskiego miasteczka, gdzie wynajęła za psie pieniądze wielką, rozpadającą się chałupę, niemal w środku lasu. Wytrwale, choć delikatnie przekonywałem ją, że powinna przenieść się do miasta. Mój upór brał się z dwóch powodów: jeden był oczywisty, a drugi skrywany, o jednym mówiłem otwarcie, drugi był moją tajemnicą. Otwarcie argumentowałem, że położony na uboczu dom naraża ją na niebezpieczeństwo, jednakże w dniu, w którym jakieś dwa typy usiłowały się włamać, a Conchi na ich nieszczęście była w środku i pogoniła intruzów do lasu, rzucając w nich kamieniami, musiałem przyznać, że dom ten stanowi niebezpieczeństwo dla każdego, kto usiłowałby się do niego wedrzeć. Powód, który niepokoił mnie w skrytości ducha, wiązał się z faktem, że nie miałem prawa jazdy i ilekroć jechalibyśmy ode mnie do Conchi albo od Conchi do mnie, musielibyśmy korzystać z volkswagena Conchi, gruchota tak zabytkowego, że wzbudziłby

pewnie zainteresowanie jakiegoś archeologa. Conchi zawsze prowadziła samochód w taki sposób, jakby chciała zdążyć na czas, by zapobiec niechybnemu włamaniu do swego domu, i jakby wszystkie inne, poruszające się obok nas samochody były wypełnione przez armię włamywaczy. Z tego względu każda przejażdżka z moją uwielbiającą prowadzić przyjaciółką pociągała za sobą ryzyko, które gotów byłem podejmować wyłącznie w okolicznościach wyjątkowych; okoliczności takie, przynajmniej na początku, musiały występować często, bo wielokrotnie ryzykowałem życie, jadąc z nią volkswagenem od niej do siebie albo ode mnie do niej. Poza tym myślę, że Conchi bardzo mi się podobała (w każdym razie bardziej niż moja redakcyjna koleżanka i bardziej niż dziewczyna z Pan's and Company; choć może mniej niż moja była żona), ale nie byłem chyba skłonny przyznać się do tego; tak bardzo mi się podobała, że dałem się jej przekonać, by w celu uczczenia dziewięciu miesięcy znajomości wyjechać na dwa tygodnie do Cancún, miejsca, które zawsze wyobrażałem sobie jako okropne – choć teraz miałem nadzieję, że dzięki Conchi i jej oszałamiającej radości życia stanie się co najmniej możliwe do zniesienia. Tak więc owego popołudnia, na które koniec końców umówiłem się z Figuerasem, miałem już spakowane walizki i czekałem z niecierpliwością na początek podróży jawiącej mi się chwilami (ale tylko chwilami) jako nierozsądne przedsięwzięcie.

Usiadłem przy stoliku w „Nurii”, zamówiłem dżin z tonikiem i czekałem. Dochodziła ósma; przed sobą, za szklaną ścianą, widziałem wypełniony ludźmi kawiarniany ogródek, a ulicą przechodziły od czasu do czasu gromady pasażerów śpieszące do często kursujących pociągów. Po mojej lewej stronie, w parku, w cieniu platanów, dzieci bawiły się na huśtawkach pod opieką matek. Pamiętam, że pomyślałem o Conchi, która nieoczekiwanie oświadczyła niedawno, że nie zamierza dożyć swoich dni bezdzietnie; pomyślałem też o byłej żonie, która swego czasu rozsądnie odrzuciła moją propozycję, byśmy mieli dziecko. Pomyślałem, że jeśli Conchi wygłosiła swoje słowa jako skierowaną do mnie aluzję (a teraz mi się wydawało, że tak właśnie było), to podróż do Cancún jest podwójnym błędem: nie zamierzałem mieć dzieci, a pomysł wspólnego dziecka z Conchi traktowałem jak kiepski dowcip. Z jakiejś przyczyny znowu przyszedł mi na myśl ojciec i znowu poczułem wyrzuty sumienia. „Niedługo, kiedy nawet ja o nim zapomnę, będzie całkiem martwy”, pomyślałem nagle. W tym momencie, na widok wchodzącego do baru mężczyzny w wieku około sześćdziesięciu lat, który mógł być Figuerasem, zakląłem w duchu, że już po raz drugi w krótkim odstępie czasu umawiam się z nieznanym, nie ustalając wcześniej żadnych znaków rozpoznawczych. Wstałem i spytałem go, czy jest Jaime Figuerasem; odpowiedział, że nie. Wróciłem do swego stolika, dochodziło pół



do dziewiątej. Rozejrzałem się po barze w poszukiwaniu jakiegoś samotnego mężczyzny; potem wyszedłem do ogródka, również bez rezultatu. Zastanowiłem się, czy Figueras nie siedział cały czas w barze, obok mnie, i czy wreszcie sobie nie poszedł, znudzony długim czekaniem, ale zaraz odpowiedziałem sam sobie, że to niemożliwe. Nie miałem przy sobie numeru jego telefonu komórkowego, więc postanowiłem jeszcze trochę poczekać, wychodząc z założenia, że z jakiegoś powodu Figueras nie mógł przyjść na czas, ale lada chwila się pojawi. Zamówiłem drugi dzin z tonikiem i usiadłem w ogródku. Rozglądałem się nerwowo na wszystkie strony. W tym czasie pojawiło się dwoje młodych Cyganów z key-boardem, mikrofonem i głośnikami i zaczęło przygrywać klientom. Mężczyzna grał, a kobieta śpiewała. Grali głównie paso doble; pamiętam doskonale, bo Conchi bardzo lubi paso doble i usiłowała mnie nawet namówić, żebym zapisał się na kurs tańca i nauczył się kroków; poza tym wtedy po raz pierwszy w życiu usłyszałem słowa do *Westchnienia za Hiszpanią*, bardzo znanego paso doble, o którym nawet nie wiedziałem, że były do niego słowa:

*Zapragnął Bóg, w swej wszechmocy,  
stopić cztery promyki słońca  
i stworzyć z nich kobietę.  
Tak oto, by wola jego się wypełniła,  
urodziłam się w ogrodzie Hiszpanii,*

*jako kwiat w różanym klombie.  
O, szczęśliwa ziemio mej miłości,  
błogosławiona ziemio woni i namiętności,  
Hiszpanio, u twych stóp  
wzdycha tęsknie serce.  
I czuję śmiertelny ból,  
bo oddalam się, Hiszpanio, od ciebie,  
bo wyrywają mnie z klombu róż.*

Słuchając tej piosenki, pomyślałem, że chyba nie ma smutniejszej na świecie, a także przyznałem w skrytości ducha, że nie miałbym nic przeciwko temu, by ją kiedyś zatańczyć. Po skończonym występie wrzuciłem tysiąc peset do kapelusza Cyganki i kiedy ludzie opuszczali ogródek, dopiłem swój dzin z tonikiem i wyszedłem.

Wróciwszy do domu, znalazłem wiadomość od Figuerasa na sekretarce automatycznej. Usprawiedliwiał się, mówiąc, że w ostatniej chwili wypadło mu coś nieprzewidzianego i nie może przyjść na spotkanie; prosił mnie o telefon. Zadzwoiłem. Znowu mnie przeprosił i ponownie zaproponował spotkanie.

- Mam coś dla pana - dodał.
- Co takiego?
- Zobaczysz pan, jak się spotkamy.

Powiedziałem, że następnego dnia wyjeżdżam (wstydzilem się powiedzieć, że jadę do Cancún) i wracam dopiero za dwa tygodnie. Umówiliśmy się

więc w „Nurii” za dwa tygodnie i opisawszy siebie w idiotyczny sposób na użytek tego drugiego, pożegnaliśmy się.

Pobyt w Cancún był niebywały. Conchi, organizatorka podróży, zataiła przede mną, że jeśli nie liczyć dwóch wycieczek na półwysep Yucatan i pominiąć popołudnia wypełnione zakupami w centrum miasta, podróż będzie polegała na dwutygodniowym pobycie na rozległym terenie hotelu, w towarzystwie bandy Katalończyków, Andaluzyjczyków i Amerykanów, w rytm gwizdków przewodniczki oraz dwóch trenerów, którym pojęcie wypoczynku było obce i którzy w dodatku nie mówili ani słowa po hiszpańsku. Muszę jednak przyznać, że od wielu lat nie byłem taki szczęśliwy. Dodam jeszcze, choćby dziwnie to zabrzmiało, że bez pobytu w Cancún (czy też w hotelu w Cancún) nie zdecydowałbym się nigdy na napisanie książki o Sanchezie Mazasie, bo przez tamtych kilkanaście dni miałem czas, żeby uporządkować myśli, i zrozumiałem, że on i jego historia stali się dla mnie jedną z owych obsesji, które stanowią niezbędny zaczątek pisania. Siedząc na balkonie pokoju hotelowego, ze szklaneczką *mojito* w ręce, i przyglądając się, jak opętani sportową manią trenerzy przeganiają bezlitośnie Conchi oraz bandę Katalończyków, Andaluzyjczyków i Amerykanów po wszystkich urządzeniach sportowych na hotelowym terenie (*Nowe swimming pool!*), ani na chwilę nie porzucałem myśli o Sanchezie Mazasie. Szybko do-

szedłem do następującego wniosku: im więcej o nim wiem, tym mniej go rozumiem; im mniej go rozumiem, tym bardziej mnie intryguje; im bardziej mnie intryguje, tym więcej chcę o nim wiedzieć. Wiedziałem już – ale nie rozumiałem tego, więc byłem zaintrygowany – że ów wykształcony, subtelny człowiek o melancholijnym usposobieniu i konserwatywnych przekonaniach, pozbawiony fizycznej odwagi i alergicznie reagujący na wszelką przemoc – niewątpliwie dlatego, że sam niezdolny ją stosować – w latach poprzedzających wojnę przyczynił się jak mało kto do tego, by jego kraj pogrążył się w morzu krwi. Nie pamiętam, czyje to słowa: nieważne, kto wygrywa wojny – przegrywają je zawsze poeci, pamiętam natomiast, co przeczytałem na krótko przed wakacjami w Cancún: dwudziestego dziewiątego października 1933 roku, podczas pierwszego publicznego wystąpienia Hiszpańskiej Falangi w Teatrze Dramatycznym w Madrycie, José Antonio Primo de Rivera, otaczający się zawsze poetami, powiedział: „Tylko słowa poetów potrafią pchnąć narody do działania”.

Pierwsze z dwóch zacytowanych stwierdzeń jest bzdurą, drugie nią nie jest. Chociaż wojny wybuchają z powodu pieniędzy, które wszystkim rządzą, to młodzi ludzie wyruszają na front, zabijają i dają się zabijać z powodu słów, czyli poezji, i dlatego to właśnie poeci wygrywają wojny i dlatego Sánchez Mazas, stojący zawsze u boku José Antonia i z tego uprzywi-

lejowanego miejsca zagrzewający do wojny poprzez swoją gwałtowną patriotyczną poezję mówiącą o składaniu ofiary, o znakach jarzma i strzał, poezję pełną wykrzykników, która rozpałała umysły setek tysięcy młodych ludzi i posłała ich w końcu na rzeź, ponosi większą odpowiedzialność za zwycięstwo oddziałów frankistowskich niż ten anachroniczny generał, jakim był Francisco Franco, i jego nieudolne posunięcia wojskowe. Wiedziałem już – ale nie rozumiałem tego, więc byłem zaintrygowany – że Sánchez Mazas po zakończeniu wojny, do której wybuchu przyczynił się jak mało kto, został mianowany przez Franco ministrem w pierwszym powojennym rządzie, ale wkrótce stracił tę posadę, bo, jak mówiono, nawet nie przychodził na posiedzenia gabinetu; od tej chwili zaprzestał wszelkiej działalności politycznej i ostatnie dwadzieścia lat życia poświęcił na pisanie, trwonienie rodzinnego majątku i rozliczne, nieco ekstrawaganckie rozrywki i upodobania, jakby był zadowolony z koszmarnego porządku, który pomógł wprowadzić w Hiszpanii, jakby doszedł do wniosku, że wypełnił już życiowe zadanie. Intrygowała mnie ta końcowa epoka, jego rejterada z aktywnego życia i obojętne trwanie, ale przede wszystkim ciekawiły mnie trzy wojenne lata, jego ówczesne trudne do rozwikłania koleje losu, zadziwiająca egzekucja, żołnierz wybawca i „przyjaciele z lasu”. Tak więc pewnego wieczora w Cancún (albo w hotelu w Cancún), gdy zabijałem czas, siedząc w barze w oczekiwaniu

na porę kolacji, postanowiłem, że po dziesięciu prawie latach niepisania nadchodzi oto chwila, by zabrać się do tego ponownie, i postanowiłem też, że książka, którą napiszę, nie będzie powieścią, lecz historią opartą na prawdziwych faktach, skrojoną na wzór rzeczywistości, wypełnioną rzeczywistymi zdarzeniami i postaciami, skupioną na egzekucji Sancheza Mazasa oraz na okolicznościach, które ją poprzedziły i po niej nastąpiły.

Wróciwszy z Cancún, stawiałem się umówionego popołudnia w „Nurii”, na spotkanie z Figuerasem. Przyszedłem, jak zwykle, przed czasem, ale nie zdążyłem jeszcze zamówić dzinu z tonikiem, gdy podszedł do mnie korpulentny mężczyzna o szerokich barach, z wyglądu pięćdziesięciokilkuletni, z kręconymi włosami, głębokim spojrzeniem niebieskich oczu i nieśmiałym uśmiechem prowincjusza. To był Jaume Figueras. Spodziewałem się ujrzeć mężczyznę dużo starszego (podobnie jak w przypadku Aguirre), więc pewnie dlatego pomyślałem: „Telefon dodaje lat”. Zamówił kawę; ja zamówiłem dzin z tonikiem. Przeprosił za to, że nie przyszedł na poprzednie spotkanie i że tym razem również nie ma zbyt dużo czasu. Wyjaśnił, że o tej porze roku zawsze spada na niego nawał pracy, a dodatkowo wystawił jeszcze na sprzedaż Can Pigem, czyli rodzinny dom w Cornellà de Terri, co wiąże się z koniecznością uporządkowania papierów po zmarłym dziesięć lat wcześniej ojcu. Tu głos mu się załamał, a oczy załśniły wilgocią;

przełknął ślinę i uśmiechnął się przepaszająco. Kelner pomógł nam przetrwać chwilę krępującego milczenia, podając kawę i dżin z tonikiem. Figueras upił łyk kawy.

- Czy to prawda, że zamierza pan pisać o moim ojcu i o Sanchezie Mazasie? - spytał bez ceregieli.

- Kto tak panu powiedział?

- Miguel Aguirre.

„Przedstawić historię opartą na prawdziwych faktach”, pomyślałem, ale nie powiedziałem: „To właśnie zamierzam napisać”. Pomyślałem też, że dla Figuerasa ojciec wspomniany w książce nie umarłby całkowicie. Nie dawał za wygraną.

- Być może - skłamałem. - Jeszcze nie wiem. Czy ojciec często panu opowiadał o swoim spotkaniu z Sanchezem Mazasem?

Odpowiedział, że często. Przyznał jednak, że niewiele wie o tych zdarzeniach.

- Proszę zrozumieć - tłumaczył się ponownie - dla mnie to była tylko jedna z wielu rodzinnych opowieści. Tyle razy słyszałem, jak ojciec ją opowiadał... W domu, w barze, w ścisłym gronie rodzinnym albo znowu wśród ludzi ze wsi, bo w Can Pigem przez wiele lat mieliśmy bar. No cóż, myślę, że nigdy go uważnie nie słuchałem. Teraz to sobie wyrzucam.

Figueras wiedział tylko, że przez całą wojnę ojciec walczył po stronie Republiki, a kiedy pod koniec wojny wrócił do domu, zastał tam swego młodszego brata, Joaquima, oraz jego kolegę, Daniela Angelatsa, i usłyszał, że obaj zdezerterowali właśnie z republi-

kańskich oddziałów. Żaden z nich trzech nie chciał udać się na wygnanie z pokonanym wojskiem, więc postanowili ukryć się w lesie i poczekać na bliskie już nadejście oddziałów frankistowskich. Pewnego dnia ujrzeli zbliżającego się w ich kierunku człowieka; posuwał się po leśnych wertepach jak ślepiec, po omacku. Wycelowali w nieznajomego pistolet i kazali mu się zatrzymać. Spytali o nazwisko, a mężczyzna odpowiedział, że nazywa się Rafael Sánchez Mazas i jest założycielem Falangi w Hiszpanii.

- Mój ojciec od razu zorientował się, kto to taki - powiedział Jaime Figueras. - Dużo czytał i widział fotografie Sancheza Mazasa w gazetach, czytał też jego artykuły. Przynajmniej zawsze tak utrzymywał. Nie wiem, czy to była prawda.

- Całkiem możliwe - wtrąciłem. - Co stało się potem?

- Przez kilka dni ukrywali się w lesie. - Figueras dopił jednym haustem resztę kawy i ciągnął dalej: - Wszyscy czterej. Do czasu, kiedy pojawili się frankiści.

- Ojciec nie opowiadał panu, o czym rozmawiał z Sanchezem Mazasem podczas tych dni spędzonych w lesie?

- Pewnie mi opowiadał - zgodził się Figueras. - Ale nie pamiętam. Już panu mówiłem, że nie słuchałem go zbyt uważnie. Przypominam sobie tylko, że Sánchez Mazas powiedział im o egzekucji w Collell. Zna pan tę historię, prawda?



Skinąłem głową.

– Na pewno opowiedział im też wiele innych rzeczy. Ojciec zawsze mówił, że Sánchez Mazas i on bardzo się wtedy zaprzyjaźnili.

Figueras dodał, że po zakończeniu wojny jego ojciec znalazł się w więzieniu i że rodzina na próżno prosiła go, by napisał do Sancheza Mazasa, który był wówczas ministrem, żeby się za nim wstawił. Pamiętał też co innego: po wyjściu z więzienia doszły ojca słuchy, że ktoś z jego wioski lub z wioski sąsiedniej, kto wiedział o przyjaźni łączącej ich z Sanchezem Mazasem, wysłał do ministra list, w którym, podszuwając się pod jednego z „przyjaciół z lasu”, zażądał pieniędzy jako spłaty wojennego długu; ojciec napisał wtedy do Sancheza Mazasa, informując go o oszustwie.

– Sánchez Mazas mu odpisał?

– Wydaje mi się, że tak, ale nie jestem pewny. Nie znalazłem dotąd żadnego jego listu wśród papierów ojca, a nie sędzę, żeby coś takiego wyrzucił, bo starannie wszystko przechowywał. Nie wiem, może gdzieś się zawieruszył i kiedyś się na niego natknę. – Figueras sięgnął ostrożnie ręką do kieszeni koszuli. – Znalazłem natomiast to.

Podał mi stary notesik w poczerniałej ceratowej okładce, niegdyś pewnie zielonej. Przekartkowałem go. Był w większości niezapisany, ale kilka kartek na początku i na końcu miał zabazgranych pospiesznym, ołówkowym pismem, trudnym do odczytania

i ledwie widocznym na brudnokremowym papierze w kratkę. Od razu spostrzegłem, że kilka kartek wyrwano.

- Co to jest? - zapytałem.

- Dziennik, który prowadził Sánchez Mazas, kiedy ukrywał się w lesie - odpowiedział Figueras. - Na to przynajmniej wygląda. Niech pan go weźmie, tylko proszę nie zgubić, bo jest rodzinną pamiątką, ojciec bardzo był do niego przywiązany. - Spojrzał na zegarek, syknął głośno i powiedział: - No tak, muszę już iść. Proszę do mnie kiedyś zadzwonić. - Wstał z krzesła, opierając się o blat stołu grubymi, stwardniałymi palcami.

- Gdyby pan chciał - dodał - mogę pokazać to miejsce w lesie, w którym się ukrywali, Mas de la Casa Nova. Teraz to tylko stare, zrujnowane gospodarstwo, ale jeśli zamierza pan opisać tę historię, pewnie zechce pan się przyjrzeć. Oczywiście, jeśli nie zamierza pan o tym pisać...

- Nie wiem jeszcze, co zrobię - skłamałem ponownie, gładząc ceratową okładkę notesu, który parzył mi dłonie niczym wielki skarb. - Sądziłem, że więcej się od pana dowiem - dodałem szczerze, chcąc skłonić Figuerasa do większego wyężenia pamięci.

- Opowiedziałem panu wszystko, co wiem - usprawiedliwił się po raz kolejny, ale tym razem zdało mi się, że w jego wodnistych, niebieskich oczach dostrzegam chytry, zazdrosny błysk. - W każdym razie, jeśli rzeczywiście zamierza pan pisać o moim

ojcu i o Sanchezie Mazasie, powinien pan porozmawiać z moim wujem. On z pewnością zna wszystkie szczegóły.

- Z wujem?

- Z moim wujem Joaquimem - wyjaśnił - bratem mojego ojca, jednym z „przyjaciół z lasu”.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem, jakby mi właśnie obwieścił zmartwychwstanie jednego z żołnierzy spod Salaminy.

- Jeszcze żyje? - spytałem.

- Mam nadzieję! - uśmiechnął się półgębkiem, a nienaturalny gest, który wykonał, kazał mi sądzić, że tylko udaje zdziwienie moim zdziwieniem. - Nie wspominałem panu? Mieszka w Medynà, ale dłuższy czas spędza nad morzem, w Montgó, i także w Oslo, gdzie jego córka pracuje w Światowej Organizacji Zdrowia. Teraz go pan chyba nie zastanie, ale we wrześniu na pewno chętnie z panem porozmawia. Mam go uprzedzić?

Oszołomiony wiadomością, potwierdziłem, że chcę z nim oczywiście porozmawiać.

- Postaram się przy okazji ustalić miejsce pobytu Angelatsa - dodał z wyraźną satysfakcją Figueras. - Mieszkał kiedyś w Banyoles, może jeszcze żyje. Na pewno żyje natomiast Maria Ferré.

- Kto to jest Maria Ferré?

Figueras powstrzymał naturalny odruch udzielenia dalszych wyjaśnień.

- To już innym razem - powiedział, zerkając znowu na zegarek; uścisnął mi rękę. - Muszę iść. Zadzwoń, jak zdołam umówić pana z wujem. On opowie panu wszystko z detalami, zobaczy pan, ma bardzo dobrą pamięć. Tymczasem proszę rzucić okiem na notes, myślę, że zaciekawia pana.

Patrzyłem, jak płaci rachunek, jak wychodzi z „Nurii”, jak wsiada do zakurzonego samochodu terenowego, źle zaparkowanego przed wejściem do baru, i odjeżdża. Pogładziłem notes, ale go nie otworzyłem. Dopilem dzin z tonikiem. Wstając od stolika, zobaczyłem pociąg przemykający wiaduktem za kawiarnianym zatłoczonym ogródkiem i przypomniałem sobie Cyganów, którzy dwa tygodnie wcześniej grali paso doble w gasnącym świetle podobnego zmierzchu, a gdy, wróciwszy do domu, zacząłem przeglądać pożyczony mi przez Figuerasa notes, bezustannie dźwięczała mi w głowie przeraźliwie smutna melodia *Westchnienia za Hiszpanią*.

Całą noc oglądałem notes na wszystkie strony. Kilka pierwszych kartek było wyrwanych, a kolejne zawierały skrótowy dziennik pisany ołówkiem. Odcyfrowując z trudem pismo, przeczytałem:

„ ...mieszkam w domu w lesie - Posiłek - Spanie w stogu siana - Przejście żołnierzy.

3 - Dom w lesie - Rozmowa ze starym - Boi się trzymać mnie w domu - Las - Szykowanie kryjówki.

4 – Upadek Gerony – Rozmowa przy palenisku ze zbiegami – Stary traktuje mnie lepiej niż żona.

5 – Dzień wyczekiwania – Nadal w kryjówce – Wystrzały armatnie.

6 – Spotkanie w lesie z trzema młodymi mężczyznami – Noc – Czuwanie [nieczytelne słowo] kryjówki – Wysadzone mosty – Czerwoni odchodzą.

7 – Poranne spotkanie z trzema mężczyznami – Skromny posiłek z zapasów przyjaciół”.

Na tym dziennik się urywa. Widać ślad po kilku następnych wyrwanych kartkach i na końcu notesu – zapisane także ołówkiem, lecz innym charakterem pisma – imiona i nazwiska trzech młodych mężczyzn, „przyjaciół z lasu”:

Pedro Figueras Bahí  
Joaquim Figueras Bahí  
Daniel Angelats Dilmé

A niżej:

Casa Pigem w Cornellà  
(naprzeciw stacji)

Jeszcze niżej widnieją, złożone atramentem – nie ołówkiem, jak tekst w notesie – podpisy obu braci Figuerasów; na następnej stronie można przeczytać:

Palol de Rebardit  
Casa Borrell

## Rodzina Ferré

Na kolejnej stronie, znowu ołówkiem i tym samym charakterem pisma co dziennik, tyle że zdecydowanie bardziej czytelnym, znajduje się najdłuższy w całym notesie zapis:

„Ja, niżej podpisany, Rafael Sánchez Mazas, założyciel Hiszpańskiej Falangi, członek Rady Krajowej, były przewodniczący Rady Politycznej i w chwili obecnej najstarszy stażem członek Falangi w Hiszpanii oraz najwyższy rangą na obszarze zajęтым przez czerwonych, oświadczam, co następuje:

1. Dnia 30 stycznia 1939 roku zostałem postawiony przed plutonem egzekucyjnym w więzieniu w Collell, razem z 48 innymi nieszczęśnikami, i po pierwszych dwóch seriach cudem zdołałem uciec i ukryć się w lesie.

2. Po trzydniowym marszu przez las – a szedłem dniem i nocą, żebrząc o jedzenie w chłopskich obejściach – dotarłem w okolice Palol de Rebardit, gdzie przewróciłem się w rowie i stłukłem okulary, przez co stałem się na pół ślepy...”

Tu brakuje jednej strony, którą ktoś wyrwał. Ale zapis ciągnie się dalej:

„...bliskości linii frontu, ukryli mnie u siebie w domu do chwili nadejścia frankistów –

4. Mimo wielkodusznego sprzeciwu mieszkańców gospodarstwa Borrell pragnę niniejszym doku-

mentem potwierdzić obietnicę odwdzięczenia się im wysoką sumą pieniędzy w gotówce, przedstawienia właściciela [tu puste miejsce] do honorowego odznaczenia, jeśli wyrazi na to zgodę dowództwo wojskowe, i okazywania wdzięczności przez całe życie jemu oraz jego rodzinie, choć wszystko to niewiele w porównaniu z tym, co dla mnie zrobił.

Podpisuję niniejszy dokument w gospodarstwie Casanova de un Pla, koło Cornellà de Terri, dnia 1...”

Na tym kończy się tekst w notesie. Przeczytałem go kilka razy, starając się złożyć w jakąś spójną całość poszczególne zapiski i połączyć je ze znanymi już sobie faktami. Na początek odrzuciłem podejrzenie, jakie naszło mnie ni stąd, ni zowąd w czasie lektury, że ten notes to podstęp, fałszerstwo sprokurowane przez braci Figueras, żeby mnie albo kogoś innego oszukać. Uznałem za bezsensowne przypuszczenie, by rodzina prostych wieśniaków zastawiała taką wymyślną pułapkę. Wymyślną i, przede wszystkim, absurdalną, ponieważ za życia Sancheza Mazasa, gdy dokument mógł służyć pokonanym jako ochrona przed represjami zwycięzców, łatwo było zweryfikować jego autentyczność, a po śmierci Sancheza Mazasa i tak tracił wszelką wartość. Mimo to pomyślałem, że lepiej się upewnić, czy charakter pisma w notesie (przynajmniej jeden z nich, bo było kilka) odpowiada charakterowi pisma Sancheza Mazasa. Jeśli tak (a nic nie wskazywało na to, żeby było inaczej),

Sánchez Mazas był autorem krótkiego dziennika, pisanego bez wątpienia w dniach, gdy błąkał się po lesie, albo wkrótce potem. Sądząc z ostatniego zapisu w notesie, wiedział, że dzień nieudanej egzekucji przypadł na trzydziesty stycznia trzydziestego dziewiątego roku. Z drugiej strony, cyfry poprzedzające każdy zapis dziennika odpowiadały kolejnym dniom lutego tego samego roku (frankiści weszli do Gerony czwartego lutego). Z treści dziennika wywnioskowałem, że zanim zaopiekowała się uciekinierem grupa braci Figueras, Sánchez Mazas znalazł względnie bezpieczne schronienie w jakimś położonym w tej okolicy domu i był to zapewne dom, czy też gospodarstwo, Borrell, którego mieszkańcom składał podziękowania w długim końcowym oświadczeniu i obiecywał „wysoką sumę pieniędzy w gotówce” oraz „honorowe odznaczenie”. Doszedłem także do wniosku, że ten dom czy to gospodarstwo znajdowały się zapewne w Palol de Rebardit – gminie graniczącej z gminą Cornellà de Terri – i że mieszkała tam zapewne rodzina Ferré; a członkiem tej rodziny jest najprawdopodobniej owa Maria Ferré, która ciągle jeszcze żyje, jak poinformował mnie Jaume Figueras, kończąc pospiesznie naszą rozmowę w „Nurii”. Wszystkie wcześniejsze zdarzenia wydawały się oczywiste, podobnie jak zdaje nam się oczywiste miejsce fragmentu układanki, gdy już je znajdziemy. Co do końcowego oświadczenia, zredagowanego w Mas de la Casa Nova, czyli w tym miejscu w lesie, gdzie



ukrywali się czterej uciekinierzy – i w chwili, kiedy już niewątpliwie wiedzieli, że są bezpieczni – również wydawało się oczywiste, że chodziło o formalne potwierdzenie pewnego długu, do jakiego Sánchez Mazas poczuwał się wobec osób, którym zawdzięczał życie, a także o wystawienie swego rodzaju listu żelaznego, pomyślanego jako pomoc w przetrwaniu niepewnego czasu bezpośrednio po wojnie i uniknięciu niebezpieczeństw, jakich ten powojenny czas nie szczędził byłym członkom oddziałów republikańskich, takim jak bracia Figueras i Angelats. Zdumiało mnie jednak, że wśród fragmentów wyrwanych z notesu znajdowała się właśnie część owego oświadczenia, w której, jak wszystko na to wskazywało, Sánchez Mazas wyrażał swą wdzięczność za pomoc udzieloną mu przez braci Figuerasów i przez Angelatsa. Zastanawiałem się, kto mógł tę kartkę wyrwać. I po co. Zastanawiałem się, kto i dlaczego wyrwał pierwsze kartki dziennika. Jedno pytanie skłania do następnych, więc zastanawiałem się – nad tym akurat rzeczywiście zastanawiałem się już od jakiegoś czasu – co tak naprawdę wydarzyło się w owe dni, kiedy Sánchez Mazas błąkał się na oślep po ziemi niczyjej. O czym myślał, co czuł, co opowiedział rodzinie Ferré, Figuerasom i Angelatsowi. Co oni z tego zapamiętali. I o czym myśleli, co czuli. Płonałem z niecierpliwości, by porozmawiać z wujem Jaume Figuerasa, z Marią Ferré i z Angelatsem, jeśli nadal pozostawał przy życiu. Mówiłem sobie, że chociaż

relacja Jaume Figuerasa nie mogła być wiarygodna (czy też nie mogła być bardziej wiarygodna niż relacja Ferlosia), bo miarą jej autentyczności nie była pamięć jednej osoby (jego samego), lecz zapamiętane wspomnienie (jego ojca), to relacje wuja Figuerasa, Marii Ferré i Angelatsa, jeżeli nadal żył, są relacjami z pierwszej ręki, a zatem – logicznie – dużo bardziej wiarygodnymi. Zastanawiałem się, czy te relacje będą odpowiadać rzeczywistym faktom, czy też, w nieunikniony pewnie sposób, przykryła je patyna półprawd i zmyśleń, jaka zwykle dodaje splendoru zdarzeniu dawnemu i dla jego uczestników niemal legendarnemu. Czyli to, co mi opowiedzą, będzie nie tym, co wydarzyło się naprawdę, ani nawet nie tym, co pamiętają, że się wydarzyło, lecz tylko tym, co pamiętają, że opowiedzieli już przy innych okazjach.

Udręczony tymi pytaniami, pewny, że przyjdzie mi jeszcze poczekać z miesiąc na rozmowę z wujem Figuerasa, z poczuciem, że stąпам po lotnych piaskach, a chcąc stanąć na bardziej pewnym gruncie, zadzwoniłem do Miguela Aguirre. Choć była to bardzo późna pora w poniedziałek, Aguirre jeszcze nie spał. Opowiedziałem mu o rozmowie z Jaume Figuerasem, o jego wuju i notesie Sancheza Mazasa, a potem zapytałem, czy można znaleźć jakiś dokument potwierdzający, że Pere Figueras, ojciec Jaume, rzeczywiście siedział w więzieniu pod koniec wojny.

- To bardzo proste - odpowiedział. - W Archiwum Historycznym jest sięgający czasów przedwo-

jennych wykaz nazwisk wszystkich więźniów, którzy przebywali w miejskim więzieniu. Jeśli Pere Figueras siedział, to jego nazwisko tam będzie. Na pewno.

- Nie mogli posłać go do innego więzienia?

- Niemożliwe. Wszystkich więźniów z okręgu Banyoles posyłano zawsze do Gerony.

Nazajutrz, przed pójściem do redakcji, zaszedłem do Archiwum Historycznego, które znajduje się w odrestaurowanym budynku starego klasztoru, w za-  
bytkowej części miasta. Kierując się tablicami informacyjnymi, wszedłem po kamiennych schodach do biblioteki, przestronnej i słonecznej sali o wielkich oknach, gdzie stały najeżone lampami drewniane stoły. Ciszę tego pomieszczenia zakłócał jedynie prawie niewidoczny zza komputera bibliotekarz stukający w klawiaturę. Zbliżyłem się - bibliotekarz miał potargane włosy i siwe wąsy - i wyjaśniłem, czego szukam; wstał, podszedł do jednego z regałów i wy-  
ciągnął segregator.

- Proszę tu poszukać - powiedział, podając mi go.

- Przy każdym nazwisku widnieje numer akt; znajdę je, jeśli będą panu potrzebne.

Usiadłem przy stole i w teczce, która obejmowała lata od 1924 do 1949, zacząłem szukać jakiegoś Figuerasa, który zostałby umieszczony w więzieniu w 1939 albo 1940 roku. Nazwisko jest dosyć popularne w okolicy, więc znalazłem kilku, ale żaden nie był Perem (albo Pedrem) Figuerasem Bahí, którego szukałem. Nikt o takim imieniu i nazwisku nie trafił do

więzienia w Geronie w 1939 ani w 1940 roku, a nawet w 1941 czy w 1942 roku, czyli wówczas, gdy – zgodnie z relacją Jaume Figuerasa – jego ojciec tam przebywał. Podniosłem wzrok znad teczki: bibliotekarz nadal uderzał w klawiaturę komputera, w sali nie było żywej duszy. Za skąpanymi w słońcu oknami widać było stare, zniszczone budynki. Pomyślałem, że musiały wyglądać podobnie ponad sześćdziesiąt lat temu, pod sam koniec wojny, kiedy to, kilka kilometrów stąd trzech nikomu nieznanym młodym mężczyznom i jeden bardzo znany czterdziestolatek oczekiwali w ukryciu na koniec koszmaru. Pod wpływem nagłego olśnienia pomyślałem: „To wszystko kłamstwo”. Rozumowałem w następujący sposób: skoro pierwsze zdarzenie, które staram się na własną rękę skonfrontować z rzeczywistością – pobyt Pere Figuerasa w więzieniu – okazuje się fałszem, można założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że reszta historii też jest nieprawdziwa. Pomyślałem, że istnieli niewątpliwie trzej młodzi mężczyźni, którzy pomogli przetrwać Sanchezowi Mazasowi w lesie po nieudanej egzekucji – to moje przekonanie wynikało ze znajomości różnych faktów, między innymi zbieżności między zapiskami Sancheza Mazasa w notesie i tym, co opowiedział synowi – jednak rozmaite szczegóły upoważniały do przypuszczenia, że tymi mężczyznami nie byli bracia Figueras ani Angelats. Przecież w notesie Sancheza Mazasa ich nazwiska zanotowano atramentem i innym charakterem pisma

niż całą resztę zapisanego ołówkiem tekstu. Nie miałem wątpliwości, że umieściła je tam inna ręka. Ponadto, brakujący fragment końcowego oświadczenia, w którym to fragmencie – jak wywnioskowałem, studiując notes – powinna pojawić się wzmianka o Figuerasach i Angelatsie, chodziło wszakże o wyrażenie im wdzięczności za pomoc, mógł zostać wyrwany właśnie dlatego, że nie pojawiała się w nim taka wzmianka, to znaczy po to, by ktoś doszedł do wniosków, do jakich ja doszedłem. A co do nieprawdziwego pobytu w więzieniu Pere Figuerasa, wymyślił to z pewnością sam Pere albo jego syn, albo nie wiadomo kto. W każdym razie, w połączeniu z dumną postawą Pere, który odmówił wydostania się z więzienia dzięki wstawiennictwu takiego wysokiego frankistowskiego dygnitarza jak Sánchez Mazas, oraz listem, w którym Pere demaskował podszywającego się pod niego łobuza, zamierzającego wyłudzić pieniądze od Sancheza Mazasa, cała historia stanowiła idealną pożywkę dla jednej z owych mglistych legend o ojcowskim heroizmie, jakich wiele powstaje po śmierci ojca w pewnych skłonnych do mitologizowania samych siebie rodzinach. Czując raczej zawód niż zdumienie, zadawałem sobie pytanie, kim wobec tego byli prawdziwi „przyjaciele z lasu” oraz kto i w jakim celu wymyślił tę całą mistyfikację. Raczej pod wpływem zdumienia niż zawodu pomyślałem, że może było tak, jak niektórzy podejrzewali od początku, to znaczy że Sánchez Mazas nigdy nawet nie

pojawił się w Collell i cała historia o egzekucji i związanych z nią okolicznościach była aż do najdrobniejszych szczegółów jedną wielką blagą, że wymyślił ją Sánchez Mazas, przy świadomej i nieświadomej współpracy krewnych, przyjaciół, znajomych i nieznajomych, by pozbyć się etykiety tchórza, ukryć jakieś mało chwalebne zdarzenie z pogmatwanych wojennych losów, a przede wszystkim po to, by jakiś łatwowierny i złakniony powieściowych tematów badacz mógł ją zrekonstruować sześćdziesiąt lat później, zyskując dlań na zawsze odkupienie wobec historii.

Odstawiłem segregator na miejsce w regale i, myśląc z zażenowaniem, że dałem się wystrychnąć na dudka, ruszyłem ku wyjściu. Gdy mijałem komputer, bibliotekarz zagadnął mnie, czy znalazłem to, czego szukałem. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Nie należy się tak szybko poddawać. - Wstał i nie dając mi szansy na jakiegokolwiek wyjaśnienia, podszedł znowu do regału, by ponownie wyjąć teczkę. - Jak się nazywa osoba, której pan szuka?

- Pere lub Pedro Figueras Bahí. Ale proszę się nie trudzić. Najprawdopodobniej nigdy nie siedział w żadnym więzieniu.

- W takim razie tutaj go nie będzie - powiedział, ale obstawał przy swoim. - Wie pan mniej więcej, kiedy mógł trafić do więzienia?

- W 1939 roku - odparłem z rezygnacją. - Najpóźniej w 1940 lub 1941.

Bibliotekarz szybko znalazł właściwą stronę.

- Nie ma tu nikogo o takim nazwisku - stwierdził.

- Ale funkcjonariusz więzienny mógł je mylnie zapisać. - Przygłodził wąsy i mruknął: - Zaraz zobaczymy...

Przerzucił kilka kartek do tyłu i do przodu, przesuwając palcem po spisach nazwisk niczym doświadczony śledczy. Wreszcie zatrzymał palec.

- Piqueras Bahí, Pedro - przeczytał. - To musi być ten. Proszę chwilę poczekać.

Zniknął za znajdującymi się z boku drzwiami i wrócił po chwili uśmiechnięty, niosąc teczkę ze zniszczoną okładką.

- Oto i on - powiedział.

Teczka zawierała istotnie akta sprawy Pere Figuerasa. W wielkim podnieceniu, odzyskawszy nagle wiarę w siebie i powtarzając w myślach, że skoro pobyt Pere Figuerasa w więzieniu nie był wymysłem, więc i reszta historii musi być prawdziwa, zagłębił się w aktach. Było tam napisane, że Figueras pochodzi z Sant Andreu de Terri, gminy, która z czasem została wchłonięta przez gminę Cornellà de Terri. Że jest rolnikiem i kawalerem. Że ma dwadzieścia pięć lat, że nic nie wiadomo o tym, by wcześniej był karany. Że trafił do więzienia dwudziestego siódmego kwietnia 1939, z polecenia rządu wojskowego, nie ciąży na nim żaden zarzut i że został zwolniony niecałe dwa miesiące później, dziewiętnastego czerwca. Zamieszczono też informację, że decyzję o zwol-

nieniu wydał Generalny Inspektor na podstawie nakazu dołączonego do akt niejakiego Vicente Vili Rubioli. Poszukałem Rubioli w wykazie, znalazłem go, poprosiłem bibliotekarza o akta jego sprawy, przyniósł mi je. Rubirola należał do Esquerra Republicana, trafił do więzienia w wyniku rewolucji w październiku trzydziestego czwartego roku, a potem ponownie po zakończeniu wojny, dokładnie tego samego dnia co Pere Figueras i ośmiu innych mieszkańców Cornellà de Terri. Wszyscy zostali zwolnieni dziewiętnastego czerwca, tego samego dnia co Figueras, na podstawie decyzji Generalnego Inspektora, w której nie przytoczono żadnych powodów. Vila Rubirola wrócił do celi już w lipcu tego samego roku, po rozprawie sądowej i wyroku skazującym, i spędził w więzieniu dwadzieścia następných lat.

Podziękowałem bibliotekarzowi, a po przyjeździe do redakcji zadzwoniłem od razu do Aguirre. Kojarzył nazwiska wielu osób, które trafiły do więzienia razem z Pere Figuerasem – większość z nich to byli znani działacze partii lewicowych – przede wszystkim Vili Rubioli, który w pierwszych dniach wojny brał chyba udział w skrytobójczym zamachu na sekretarza magistratu Cornellà de Terri, dokonany w Barcelonie. Wedle słów Aguirre, fakt, że Pere Figueras i jego ośmiu towarzyszy trafiło do więzienia, choć nie przedstawiono im żadnych zarzutów, był czymś normalnym w tamtych czasach, kiedy to



przeszłość każdego, kto wcześniej miał jakieś związki polityczne lub wojskowe z Republiką, poddawano wnikliwym badaniom, podczas których delikwent siedział w więzieniu. Nie dziwiło go także, że Pere Figueras został szybko zwolniony, często bowiem postępowano tak wobec ludzi, którzy – wedle kryteriów stosowanych przez wymiar sprawiedliwości nowego reżimu – nie stanowili zagrożenia dla porządku.

– Wydaje mi się natomiast dziwne, że ludzie tak znani jak Vila Rubirola czy ktoś inny wsadzony do więzienia tego dnia co Figueras mogli wyjść razem z nim – zauważył Aguirre. – A już zupełnie nie mogę pojąć, dlaczego wszyscy wyszli tego samego dnia i bez żadnego uzasadnienia, po to tylko, żeby Vila Rubirola – i nie zdziwiłbym się, gdyby jeszcze ktoś poza nim – niemal natychmiast wylądował znowu za kratkami. Nie rozumiem tego – Aguirre zamilkł na chwilę. – Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że ktoś interweniował – odpowiedział Aguirre, nie wymieniając nazwiska, o którym obaj myśleliśmy. – Ktoś, kto miał rzeczywistą władzę. Jakaś szycha.

Wieczorem tego dnia jadłem kolację z Conchi w greckiej restauracji. Obwieściłem jej uroczystym tonem, że po dziesięcioletniej przerwie znowu zabieram się do pisania książki.

- To zajebicie! - wykrzyknęła Conchi, która dawno już pragnęła dodać nową książkę do kolekcji stanowiącej świętę Matki Boskiej z Guadalupe w salonie. Podnosząc do ust kawałek chlebka pita umoczony w sosie tzatziki, dodała: - Mam nadzieję, że to nie będzie powieść.

- Nie - odpowiedziałem z wielkim przekonaniem. - To historia oparta na prawdziwych faktach.

- Czyli co takiego?

Wytłumaczyłem jej; myślę, że zrozumiała.

- Będzie jak powieść - zakończyłem. - Tylko że wszystko w niej będzie prawdą, nie zmyśleniem.

- Lepiej, żeby to nie była powieść.

- Dlaczego?

- Dlatego - odpowiedziała. - Zdaje mi się po prostu, kochanie, że wyobraźnia nie jest twoją mocną stroną.

- Słodka jesteś, Conchi.

- Nie bierz tego tak do siebie, chłopie. Chodzi mi o to, że... - ale ponieważ nie mogła powiedzieć tego, co chciała, wzięła następny kawałek chleba i spytała:

- A o czym właściwie będzie ta książka?

- O bitwie pod Salaminą.

- O czym? - krzyknęła na cały głos.

Kilka par oczu spojrzało w naszym kierunku, już po raz drugi. Wiedziałem, że Conchi nie spodoba się treść książki, ale chcąc uniknąć ewentualnych napomnień z powodu nadmiernie hałaśliwego zachowania, opowiedziałem jej pokrótce, w czym rzecz.

- Skąd taki pomysł? - Conchi wykrzywiła się z obrzydzeniem. - Po co rozpisywać się o jakimś faszyście? Przecież jest pewnie cała fura czerwonych pisarzy! Tylko wybierać! Na przykład Garcíá Lorca. Był czerwony, nie? Uuuu - jęknęła, nie czekając na odpowiedź, i włożyła rękę pod stół. Zaniepokojony uniosłem obrus i spojrzałem. - Nie mogę wytrzymać, tak mnie swędzi cipka.

- Conchi - zbeształem ją szeptem i wyprostowałem się gwałtownie, siląc się na uśmiech i zezując równocześnie ku okolicznym stolikom - byłbym ci wdzięczny, gdybyś przynajmniej jak wychodzisz ze mną, wkładała majtki.

- Ale z ciebie ciotka-klotka - powiedziała z najczulszym uśmiechem, ale nie wyjęła ręki spod stołu; w tej samej chwili poczułem, jak jej stopa wędruje do góry po mojej łydce. - Nie widzisz, że tak jest bardziej sexy? No, to kiedy zaczynamy?

- Mówiłem ci już tysiąc razy, że nie lubię tego robić w publicznych toaletach.

- Nie o to mi chodzi, głupolu. Kiedy zaczynamy książkę?

- Ach, tak - bąknąłem, czując, jak jeden palący płomień wspina się po mojej nodze, a drugi oblewa mi twarz. - Niedługo. Lada chwila. Jak tylko zgromadzę dokumentację.

Jednakże zrekonstruowanie historii, którą chciałem opowiedzieć, i poznanie szczegółów, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej tych, które uważałem

za istotne, zajęło mi jeszcze trochę czasu. Przez wiele miesięcy każdą wolną chwilę, jaka pozostawała mi po pracy w redakcji, poświęcałem na badanie życia i twórczości Sancheza Mazasa. Przeczytałem ponownie jego książki, przeczytałem wiele jego artykułów opublikowanych w prasie, wiele książek i artykułów prasowych autorstwa jego przyjaciół i wrogów, jego współczesnych, a także wszystko, co mi wpadło w ręce na temat Falangi, faszyzmu, wojny domowej, na temat niejednoznacznej i zmiennej natury reżimu Franco. Siedziałem w bibliotekach, przeglądałem roczniki starych gazet, odwiedzałem archiwa. Kilka razy pojechałem do Madrytu i bezustannie jeździłem do Barcelony, żeby rozmawiać z uczonymi, z profesorami, z przyjaciółmi i ze znajomymi (albo z przyjaciółmi przyjaciół i znajomymi znajomych) Sancheza Mazasa. Cały jeden ranek spędziłem w sanktuarium w Collell. Jak opowiedział mi wielebny Joan Prats, z lśniącą łysiną i pobożnym uśmiechem na twarzy – pokazując mi ogród z cyprysami i palmami, wielkie puste sale, przepastne korytarze, frontowe schody z drewnianą poręczą i wyludnione sale wykładowe, po których błakali się kiedyś niczym cienie Sánchez Mazas i jego towarzysze niedoli – po zakończeniu wojny sanktuarium zostało przekształcone w internat dla dzieci, aby półtora roku przed moim przyjazdem spaść do podrzędnej roli ośrodka spotkań stowarzyszeń religijnych i przygodnego

schroniska dla wycieczkowiczów. To właśnie wielbny Prats, znający wydarzenia w Collell, choć nie było go jeszcze wtedy na świecie, opowiedział mi prawdziwą lub nieprawdziwą historię, wedle której żołnierze Franco po zdobyciu sanktuarium nie pozostawili przy życiu żadnego strażnika więzienia. Udzielił mi także precyzyjnych wskazówek, ułatwiających znalezienie miejsca, w którym odbyła się egzekucja. Kierując się owymi wskazówkami, wyszedłem z sanktuarium drogą dojazdową, przy kamiennym krzyżu upamiętniającym rozstrzelanych skręciłem w lewo, w wijącą się wśród sosnowego lasu ścieżkę, i dotarłem do polany. Zostałem tam jakiś czas i spacerowałem w promieniach zimnego słońca, pod jasnym, lecz zamglonym, październikowym niebem, wsłuchując się w ciszę gęstego lasu i usiłując bez powodzenia wyobrazić sobie światło innego, mniej pogodnego, bo styczniowego, poranka tamtego niepojętego dnia sprzed sześćdziesięciu lat, kiedy to, w tym właśnie miejscu, śmierć zajrzała nagle w oczy pięćdziesięciu mężczyznom, a dwóm z nich udało się uniknąć owego spojrzenia Meduzy. Tkwiałem tam przez dłuższą chwilę, jakbym oczekiwał jakiegoś objawienia. Nic nie poczułem. Potem odszedłem. Pojechałem do Cornellà de Terri, bo tego samego dnia byłem umówiony na obiad z Jaume Figuerasem, który po południu pokazał mi Can Borrell – dawny dom rodziny Ferré, Can Pigem – dawny dom rodziny

Figuerasów, i Mas de la Casa Nova, dom, który posłużył za chwilowe schronienie Sanchezowi Mazasowi, braciom Figueras i Angelatsowi. Can Borrell był wiejskim domem położonym na skraju miasteczka Palol de Rebardit; Can Pigem znajdował się w Cornellà de Terri; Mas de la Casa Nova wznosił się między dwiema wioskami, w środku lasu. Can Borrell był niezamieszkały, ale w dobrym stanie, podobnie jak Can Pigem; Mas de la Casa Nova był niezamieszkały i zrujnowany. Sześćdziesiąt lat wcześniej te trzy domy niewątpliwie bardzo się od siebie różniły, upływ czasu upodobił je jednak do siebie; wszystkie wyglądały jak opuszczone kamienne szkielety, pomiędzy ich pozbawionymi żywej tkanki żebrami hulał popołudniowy, jesienny wiatr i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek, kiedykolwiek w nich mieszkał.

Również dzięki Jaume Figuerasowi, który dotrzymał w końcu słowa i skrupulatnie wywiązał się z roli pośrednika, mogłem porozmawiać z jego wujem Joaquimem, z Marią Ferré i Danielem Angelatsem. Wszyscy troje przekroczyli już osiemdziesiątkę: Maria Ferré miała osiemdziesiąt osiem; Figueras i Angelats po osiemdziesiąt dwa lata. Wszyscy troje cieszyli się dobrą pamięcią lub przynajmniej dobrze pamiętali swoje spotkanie z Sanchezem Mazasem i okoliczności tego spotkania, jakby okazało się ono decydujące dla całego ich życia i jakby często je wspominali.

Ich wersje różniły się między sobą, lecz nie były sprzeczne i w niejednym szczególe wzajemnie się uzupełniały, nietrudno więc było ułożyć łamigłówkę, jaką była przygoda Sancheza Mazasa, opierając się na świadectwie tych trojga, a brakujące fragmenty uzupełnić zgodnie z logiką i posiłkując się odrobiną wyobraźni. Nikt dziś nie ma czasu słuchać ludzi w podeszłym wieku, zwłaszcza kiedy wspominają zdarzenia z młodości, więc pewnie dlatego wszyscy troje mówili z wielką ochotą i niejednokrotnie musiałem właściwie ukierunkowywać strumień ich chaotycznych wspomnień. Mogę sobie wyobrazić, że ubarwiali jakieś drugorzędne fakty, jakieś poboczne szczegóły; nie myślę jednak, by kłamali, choćby dlatego, że kłamstwo nie pasowałoby do łamigłówki i zdradziłoby jego autorów. Poza tym wszyscy troje tak bardzo się od siebie różnili, że jedynym wspólnym, łączącym ich elementem była, według mnie, ich kondycja ludzi, którzy przeżyli, czyli ta zwodnicza przewaga, którą bohaterowie dnia dzisiejszego, zawsze zwyczajnego, nijakiego i pozbawionego chwały, przyznają bohaterom dnia wczorajszego, przeszłość bowiem – poznawana przez filtr pamięci – zawsze jest wyjątkowa, burzliwa i bohaterska. Figueras był wysoki i krzepki, o niemal młodzieńczej powierzchowności – kraciasta koszula, czapka z daszkiem, wytarte dżinsy – widać było, że wiele podróżował, miał w sobie nieposkromioną witalność, mówiąc, żywo gesty-

kulował, często wybuchał śmiechem, pokrzykiwał. Maria Ferré, która, jak zdradził mi później Jaume Figueras, poszła specjalnie do fryzjera przed moją wizytą w jej domu w Cornellà de Terri – dom ten był swego czasu barem i wiejskim sklepem z artykułami kolonialnymi; przy wejściu zachowały się jeszcze, niczym relikwie przeszłości, marmurowa lada i stara waga z przesuwany ciężarkiem – była filigranowa i urocza, skłonna do dygresji, jej oczy – młodzińcze, żywe i bystre jak letni potok – rzucały spojrzenia na przemian rozeźlone lub wilgotne od łez, ponieważ Maria nie potrafiła uniknąć pułapek, jakie w trakcie opowiadania zastawiała na nią nostalgia. Co się tyczy Angelatsa, moja rozmowa z nim miała decydujące znaczenie. To znaczy decydujące dla mnie, czy też, mówiąc bardziej precyzyjnie, dla tej książki.

Od wielu lat Angelats prowadził w centrum Banyoles hotelik, który zajmował część na pół zrujnowanego i pięknego wiejskiego domu z wielkim patio otoczonym kolumnami i przestronnymi, cienistymi salonami. Kiedy się poznaliśmy, doszedł właśnie do siebie po przebytych niedawno zawale; był niskim, przygarbionym człowiekiem o spowolnionych ruchach, jego gestykulacja, uroczyista niczym u księdza, kontrastowała z chłopięcą prostotą wielu czynionych przez niego uwag i niespieszną uniżonością drobnego katalońskiego przedsiębiorcy. Chyba nie przesadzę, twierdząc, że podobnie jak w przypadku



Figuerasa i Marii Ferré również Angelatsowi schlebowało moje zainteresowanie; wiem, że z wielką przyjemnością wspominał Joaquina Figuerasa – swego wieloletniego najlepszego przyjaciela, którego od dawna nie widział – i wspólne wojenne losy. Słuchając, jak stara się przedstawić tę historię niby młodzieńczą przygodę bez najmniejszego znaczenia, wyczułem, że była dla niego najważniejsza na świecie, może dlatego, że uważał ją za jedyną prawdziwą przygodę swego życia, a przynajmniej jedyną, którą mógł się szczyścić bez obawy demistyfikacji. Obszernie mi o wszystkim opowiedział; potem opowiedział mi o zawale, o tym, jak idą interesy, o swojej żonie, dzieciach i o jedynej wnuczce. Zrozumiałem, że od dawna chciał z kimś porozmawiać; zrozumiałem, że ja sam wysłuchuję go tylko w odruchu wdzięczności za to, że opowiedział mi swoją historię. Zawstydzony, poczułem litość dla tego człowieka, a kiedy doszedłem do wniosku, że spłaciłem już swój dług, i chciałem się pożegnać, Angelats uparł się, że odprowadzi mnie z parasolem na przystanek autobusowy, ponieważ w trakcie naszej rozmowy zaczął padać deszcz.

– Coś sobie przypomniałem – powiedział, kiedy szliśmy pod parasolem przez zalany kałużami plac. Przystanął, a ja pomyślałem, że to nagłe przypomnienie sobie czegoś jest tylko próbą zatrzymania mnie jeszcze chwilę. – Zanim się rozstaliśmy, Sánchez Mazas powiedział nam, że zamierza napisać książkę, w której pojawimy się my wszyscy. Miała się

nazywać *Żołnierze spod Salaminy*. Dziwny tytuł, prawda? Powiedział też, że nam ją przyśle, ale nie przysłał. – Angelats spojrział na mnie: szkła jego okularów mieniły się żółtawo w świetle latarni i patrząc na jego zapadnięte oczy, wypukłe czoło, wystające kości policzkowe i mocno zarysowaną szczękę, zobaczyłem zamiast twarzy obrys czaszki. – Nie wie pan, czy w ogóle napisał tę książkę?

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Już chciałem powiedzieć, że napisał, ale w porę się opamiętałem: „Jeśli powiem, że ją napisał, będzie chciał przeczytać, i kłamstwo wyjdzie na jaw”.

– Nie – odpowiedziałem sucho, czując się wobec Angelatsa jak zdrajca.

– Nie napisał jej czy pan nie wie, czy ją napisał?

– Nie wiem, czy ją napisał – skłamałem. – Ale obiecuję panu, że się dowiem.

– Niech pan się dowie – ciągnął Angelats, idąc obok mnie. – Jeśli okaże się, że napisał, chciałbym, żeby mi ją pan przysłał. Na pewno o nas wspomina, bo, jak panu mówiłem, zawsze powtarzał, że uratowaliśmy mu życie. Bardzo chciałbym przeczytać tę książkę. Rozumie pan, prawda?

– Oczywiście – przytaknąłem i nadal czując się okropnie, dodałem: – Proszę się nie martwić, jak tylko ją znajdę, wyślę panu.

Nazajutrz, po przyjeździe do redakcji, poszedłem prosto do gabinetu naczelnego i poprosiłem o urlop bezpłatny.

- Co? - spytał z ironią. - Następna powieść?

- Nie - odpowiedziałem z satysfakcją. - Historia oparta na prawdziwych faktach.

Wytłumaczyłem mu, czym jest historia oparta na prawdziwych faktach. Wyjaśniłem mu, o czym będzie moja książka.

- Podoba mi się - powiedział. - Masz już tytuł?

- Chyba tak - odparłem. - *Żołnierze spod Salaminy*.

Część druga

## Żołnierze spod Salaminy

Dwudziestego siódmego kwietnia 1939 roku, tego samego dnia, kiedy Pere Figueras i jego ośmiu towarzyszy z Cornellà de Terri trafiło do więzienia w Geronie, Rafael Sánchez Mazas został mianowany członkiem Rady Krajowej Hiszpańskiej Falangi Tradycjonalistycznej i Junt Ofensywy Narodowo-Syndykalistycznej (JONS) oraz wiceprzewodniczącym Rady Politycznej. Nie minął miesiąc od ostatecznego upadku Republiki i brakowało jeszcze czterech do chwili, w której Sánchez Mazas miał stać się ministrem bez teki w pierwszym powojennym rządzie. Zawsze był człowiekiem oschłym, wyniosłym i despotycznym, ale nie małostkowym czy mściwym. Dlatego w owym czasie pod drzwiami jego gabinetu kłębił się tłum krewnych ludzi wtrąconych do więzienia, tłum wiedziony nadzieją uzyskania jego wstawienia w sprawach dawnych znajomych czy przyjaciół, których wynik wojny zaprowadził do celi pokonanych. Nie ma powodu sądzić, że nie robił dla nich

wszystkiego, co było w jego mocy. To dzięki jego naleganiom Caudillo zamienił karę śmierci dla poety Miguela Hernandeza na dożywotnie więzienie, nie zmienił jednak wyroku, na mocy którego pewnego listopadowego poranka 1940 roku przed plutonem egzekucyjnym stanął Julián Zugazagoitia, przyjaciel Sancheza Mazasa i szef kancelarii premiera w rządzie Negrina. Kilka miesięcy przed tym bezsensownym morderstwem, gdy Sánchez Mazas, jako krajowy delegat Falangi na zagranicę, wrócił z podróży do Rzymu, jego sekretarz, dziennikarz Carlos Sentís, zreferował mu bieżące sprawy oraz przeczytał listę osób oczekujących tego ranka na przyjęcie. Sánchez Mazas, wyraźnie poruszony, kazał sobie powtórzyć jedno z nazwisk. Potem zerwał się, przemierzył wielkimi krokami gabinet, otworzył drzwi, stanął pośrodku przedpokoju i wpatrując się w przestraszone twarze ludzi wypełniających szczelnie pomieszczenie, zapytał:

– Który z panów to Joaquim Figueras?

Mężczyzna w stroju podróżnym, o zalęknionym spojrzeniu sieroty, usiłował odpowiedzieć, lecz sparaliżowany strachem i ciszą, jaka zapadła, gdy drzwi się otworzyły, wydał z siebie tylko niezrozumiałe burknięcie, jednocześnie jakimś rozpaczliwym gestem wciskając rękę do kieszeni marynarki. Sánchez Mazas stanął tuż przed nim i zapytał, czy jest spokrewniony z braćmi Pere i Joaquimem Figueras. „Jestem ich ojcem”, wykrztusił nieszczęśnik z silnym

katalońskim akcentem i zaczął gwałtownie potakiwać głową, nie przestając nawet wówczas, gdy Sánchez Mazas z ulgą objął go mocnym uściskiem. Kiedy opadły emocje, mężczyźni rozmawiali kilkanaście minut w gabinecie. Joaquim Figueras opowiedział, że jego syn, Pere, siedzi od półtora miesiąca w więzieniu w Geronie, oskarżony bezpodstawnie, podobnie jak inni młodzi ludzie z wioski, o udział w podpaleniu kościoła w Cornellà de Terri w pierwszych dniach wojny i o współudział w zabójstwie sekretarza urzędu miejskiego. Sánchez Mazas nie pozwolił mu dokończyć; wyszedł z gabinetu bocznymi drzwiami i wrócił po chwili.

- Załatwione - oświadczył. - Kiedy wróci pan do Cornellà, zastanie pan syna w domu.

Figueras wyszedł z gabinetu, nie posiadając się ze szczęścia, a kiedy schodził po schodach urzędu, poczuł nagle przeszywający ból ręki i spostrzegł, że nadal trzyma dłoń w kieszeni marynarki, ściskając z całej siły kartkę wyrwaną z notesu w zielonej okładce, na której Sánchez Mazas zapisał kiedyś swój dług wdzięczności wobec jego synów. Wróciwszy kilka dni później do Cornellà i uściskawszy bez jednej łzy swego właśnie uwolnionego syna, przekonał się, że karkołomna podróż przez zrujnowany kraj, by spotkać się z nieznanym sobie człowiekiem, którego do końca życia miał uważać za jednego z najpotężniejszych ludzi w Hiszpanii, nie była błędem.

I mylił się tylko częściowo, bo, rzeczywiście, od dziesięciu już lat pisarz zajmował się polityką – choć zawsze uważał, że nie jest to zajęcie godne dżentelmena – i miało minąć jeszcze kilka lat, zanim się z niej wycofał. Faktem jest jednak, że w ciągu całego życia nigdy nie skupił w swoim ręku tyle rzeczywistej władzy co w tamtej chwili.

Urodził się w Madrycie osiemnastego lutego czterdzieści pięć lat wcześniej. Jego ojciec, wojskowy lekarz pochodzący z Corii, którego wuj był lekarzem Alfonsa XII, zmarł kilka miesięcy później, a matka, María Rosario Mazas y Orbegozo, przeniosła się od razu pod opiekuńcze skrzydła swej rodziny do Bilbao. Tam, w pięciopiętrowym domu położonym obok mostu Deusto, przy ulicy Henao, minęło dzieciństwo i lata młodości chłopca rozpieszczanego przez zastęp bezdzietnych ciotek. Mazasowie byli szlachecką rodziną o liberalnych przekonaniach i zamiłowaniach literackich, skoligaconą z Miguelem de Unamuno, z rodziną o ugruntowanej pozycji wśród śmietanki towarzyskiej Bilbao. Krewni ze strony matki są pierwowzorami wielu postaci w powieściach Sancheza Mazasa; pisarz odziedziczył też po tej części rodziny nieodpartą skłonność do wielkopańskiego próżniactwa oraz niestrudzony zapał literacki. Zdolności literackie przejawiała jego matka, osoba światła i odznaczająca się bystrym umysłem. Całą energię przedwcześnie owdowiałej kobiety spożytkowała na to, by ułatwić synowi karierę pisarską,

której sama nigdy nie mogła lub nie chciała rozpocząć.

Sánchez Mazas nie zawiódł jej oczekiwań. Uczniem był co prawda miernym i jego droga przez różne prowadzone przez księży szkoły z internatem dla dobrze urodzonych dzieci była raczej pełna męki niż chwały. U końca tej drogi znalazł się uniwersytet madrycki i wreszcie Królewska Szkoła Wyższa imienia Marii Cristiny w Escorialu, prowadzona przez augustianów, gdzie w 1916 roku uzyskał dyplom prawnika. Bardzo wczesnie zaczął jednak zdradzać wyraźny talent literacki. Jako trzynastolatek pisał wiersze wzorowane na Zorrilli i Marquinie; jako dwudziestolatek naśladował Rubena i Unamuna, w wieku dwudziestu jeden lat był dojrzałym poetą, a kiedy skończył dwadzieścia osiem, jego twórczość poetycka była już właściwie zamknięta. Z charakterystyczną dla ludzi swojej klasy nonszalancją nie podjął żadnych starań, by ją opublikować, i jeśli znamy ją w całości (lub niemal w całości), to jest to w dużej mierze zasługa matki, która przepisywała ręcznie wiersze syna w zeszytach oprawionych w czarną ceratę, notując pod każdym z nich datę i miejsce powstania. Sánchez Mazas jest dobrym poetą, to znaczy dobrym poetą z tych drugoligowych, a to jest niemal wszystko, do czego może aspirować dobry poeta. W jego wierszach dźwięczy tylko jedna melodia, skromna i dobrze znana, monotonna i nieco sentymentalna, ale Sánchez Mazas wygrywa ją po mistrzowsku,



wydobywając bezpretensjonalny, czysty ton, w którym pobrzmiewa słodko-gorzka melancholia upływającego czasu. Czas mija i zabiera ze sobą w przeszłość stary porządek i uświęconą hierarchię tamtego, odchodzącego w niebyt świata, który właśnie dlatego, że już nie istnieje, jest także czymś wymyślonym i niemożliwym, podobnym zawsze niemożliwemu i wymyślonemu Rajowi.

Sánchez Mazas wydał za życia tylko jeden tomik wierszy, niewykluczone jednak, że zawsze czuł się poetą i być może był nim w istocie; jego współcześni znali go głównie jako autora kronik, artykułów, powieści, a zwłaszcza jako działacza, choć on sam nigdy kimś takim się nie czuł i nigdy w istocie nie był. W czerwcu 1916 roku, a więc w rok po ukazaniu się drukiem jego pierwszej powieści, *Pequeñas memorias de Tarín*, i wkrótce po uzyskaniu tytułu magistra prawa, Sánchez Mazas wrócił do Bilbao, podówczas beztroskiego i tętniącego życiem miasta, w którym ton nadawała świetnie prosperująca burżuazja i które przeżywało okres rozkwitu gospodarczego, a to głównie dzięki neutralności Hiszpanii podczas pierwszej wojny światowej. Rozwój gospodarczy sprawił, że kwitło także życie kulturalne, a najznakomitszym tego przejawem było wydawanie czasopisma „Hermes”, wokół którego skupiło się grono pisarzy katolicko-narodowych, wielbicieli Eugenia d’Orsa, orędowników cywilizacji zachodniej, przywiązanych do kultury rzymskiej, których Ramón de

Basterra ochrzcił pompatycznym mianem Pirenej-  
skiej Szkoły Rzymskiej. Basterra należał do najbar-  
dziej znanych członków tej grupy, którzy z czasem  
zasilili w większości szeregi Falangi. Innym znanym  
członkiem grupy był Sánchez Mazas. Zbierali się na  
wieczornych dysputach literackich w „Lyon d’Or”,  
kawiarni mieszczącej się przy ulicy Gran Vía de  
López de Haro. Sánchez Mazas daje się tam poznać  
jako wykształcony, roztropny rozmówca, może odro-  
binę nazbyt zadufany w sobie. José María de Areilza,  
wówczas jeszcze mały chłopiec zabierany przez ojca  
do „Lyon d’Or” na gorącą czekoladę, zapamiętał  
Sancheza Mazasa „jako rosnącego i bardzo chudego  
młodzieńca, w szylkretowych okularach z grubymi  
szkłami, o płonących, a równocześnie zmęczonych  
oczach i głosie, który czasem przybierał na sile, gdy  
trzeba było w dyskusji wybić jakąś pointę”. Sánchez  
Mazas pisywał już wtedy gorliwie do „Abc”, „El Sol”,  
do „El Pueblo Vasco” i w 1921 roku naczelny redak-  
tor tego ostatniego pisma, Juan de la Cruz, wysłał  
go jako korespondenta wojennego do Maroka.  
W Maroku, podczas długich nocnych rozmów przy  
winie, Sánchez Mazas zaprzyjaźnił się z innym ko-  
respondentem pochodzącym z Bilbao, Indaleciem  
Prieto. Ich przyjaźń przetrwała próbę wojny domowej,  
podczas której znajdą się w przeciwnych obozach.

W Maroku Mazas pozostał niecały rok, bo już  
w 1922 roku został przez Juana Ignacia Luca de Tenę  
wysłany jako korespondent „Abc” do Rzymu.

Włochy go zachwyciły. Młodzieńcze zafascynowanie kulturą klasyczną i Odrodzeniem skryzalizowało się na zawsze w kontakcie z prawdziwym Rzymem. Mieszkał w Rzymie siedem lat. To tam ożenił się z młodziutką Włoszką, Lilianą Ferlosio, wprowadzając ją niemal z rodzinnego domu. Z ich burzliwego, trwającego całe życie związku urodziło się pięcioro dzieci. To tam dojrzał jako mężczyzna, jako miłośnik literatury i jako pisarz. Tam uczciwie zapracował na miano znakomitego korespondenta. Pisał artykuły na bardzo dobrym poziomie literackim, wysmakowane, gęste od erudycyjnych spostrzeżeń, a czasem porywcze i pełne politycznej pasji. One są być może tym, co najlepsze w całym jego dorobku. Tam także stał się wyznawcą faszyzmu. Naprawdę nie będzie w tym żadnej przesady, jeśli stwierdzę, że Sánchez Mazas był pierwszym faszystą w Hiszpanii i z całą pewnością naszym najbardziej wpływowym teoretykiem faszyzmu. Ten żarliwy czytelnik Maurrasa i bliski przyjaciel Luigiego Fedorzonego – człowiek, który ucieleśniał we Włoszech ducha oświeconego i mieszczańskiego faszyzmu, a z czasem miał piastować kilka ministerialnych stanowisk w kolejnych rządach Mussoliniego – uwierzył, choć z przekonania był monarchistą i konserwatystą, że w faszyzmie odnajduje idealne antidotum na nostalgię za dawnym katolickim imperium, a przede wszystkim widział w nim instrument pozwalający przywrócić siłą wartości *ancien régime*'u, zagrożone w całej Euro-

pie przez anachroniczny egalitaryzm demokratyczny oraz przez nowy i prężny egalitaryzm bolszewicki. Inaczej mówiąc, być może dla Sancheza Mazasa faszyzm nie był niczym innym jak polityczną próbą realizacji własnej poezji, urzeczywistnienia świata, melancholijnie w tej poezji przywoływanego – nieistniejącego, wymyślnego i niemożliwego Raju. Jakkolwiek było, pewne jest, że odniósł się entuzjastycznie do marszu na Rzym, co widać w cyklu korespondencji pod wspólnym tytułem *Przechadzka po Italii*, oraz że dostrzegł w Benicie Mussolinim nowe wcielenie renesansowego kondotiera, a w jego dojściu do władzy zapowiedź powrotu czasów bohaterów i poetów.

Tak więc, kiedy w roku 1929 wrócił do Madrytu, był już zdecydowany poświęcić się całkowicie doprowadzeniu do tego, aby owe czasy nastąpiły też ponownie w Hiszpanii. W pewnym stopniu mu się to udało, wojna jest bowiem w najściślejszym tego słowa znaczeniu czasem bohaterów i poetów, a w latach trzydziestych mało kto zaangażował się z taką inteligencją i talentem w doprowadzenie do wybuchu wojny w Hiszpanii jak on. Wróciwszy do kraju, Sánchez Mazas od razu zrozumiał, że aby osiągnąć wytyczony cel, nie wystarczy założyć partii, skrojonej wedle sprawdzonego już we Włoszech szablonu, lecz należy znaleźć pokrewnego tamtemu kondotiera, który – gdy nadejdzie właściwy moment – stanie się symbolicznym katalizatorem energii wyzwolonej

wśród tradycjonalistycznie nastawionych grup społecznych przez panikę, jaką wywołał rozpad monarchii i nieuchronny triumf republiki. Pierwsze z tych zadań zrealizuje dopiero po pewnym czasie, ale drugie zdoła wypełnić szybko, José Antonio Primo de Rivera bowiem od razu ucieleśnił w jego oczach postać opatrznociowego przywódcy, jakiego szukał. Obu tych ludzi połączyła mocna i trwała przyjaźń (jeden z ostatnich listów, jakie napisał José Antonio z więzienia w Alicante w przededniu egzekucji dwudziestego listopada trzydziestego szóstego roku, był adresowany do Sancheza Mazasa). Może dlatego, że opierała się na równorzędnym podziale ról. José Antonio miał w istocie wszystko to, czego brakowało Sanchezowi Mazasowi: był młody, przystojny, odważny, miał pieniądze i odpowiednie pochodzenie, ale i odwrotnie role się dopełniały – Sánchez Mazas, bogaty we włoskie doświadczenia, znajomość ksiązek i talent literacki, stał się najuważniej słuchanym doradcą José Antonia, a po powstaniu Falangi głównym ideologiem i propagandzistą partii, jednym z twórców jej retoryki i symboli. To on zaproponował, by partyjnym znakiem stały się jarzmo i strzały, dawne godło Królów Katolickich; to on ukuł rytualne zawołanie „Powstań, Hiszpanio!”, stworzył słynną *Modlitwę za poległych falangistów* i podczas kilku kolejnych nocy w grudniu 1935 roku, razem z José Antoniem i innymi pisarzami swego kręgu – Jacintem Miquelarena, Agustinem de Foxá, Ped-

rem Mourlanem Micheleną, José Marią Alfaro i Dionisiem Ridruejo - napisał słowa do pieśni *Twarz ku słońcu* w piwnicach baskijskiego baru „Or Kompon”, znajdującego się przy ulicy Miguel Moya w Madrycie.

Miało jednak minąć jeszcze trochę czasu, nim Sánchez Mazas stał się głównym dostawcą retoryki Falangi, jak nazwał go Ramiro Ledesma Ramos. Kiedy wrócił do Madrytu w 1929 roku, otoczony nimbem pisarza światowca, wyznawcy najnowszych poglądów, nikt w Hiszpanii nie myślał poważnie o tworzeniu partii typu faszystowskiego, nawet Ledesma, który dwa lata później założył Junty Ofensywy Narodowo-Syndykalistycznej (JONS), pierwsze hiszpańskie ugrupowanie faszystowskie. Jednakże życie literackie, podobnie jak całe życie kraju, ulegało ciągłej radykalizacji w wyniku wstrząsających Europą konwulsji oraz zmian w samej Hiszpanii. W 1927 roku młody pisarz César Arconada, początkowo wyznawca elitaryzmu głoszonego przez Ortegę y Gassetę, w niedalekiej przyszłości członek partii komunistycznej, oddawał stan ducha wielu ludzi ze swego pokolenia, oświadczając, że „młody człowiek może być komunistą, faszystą - kimkolwiek, tylko nie może wyznawać starych poglądów liberalnych”. To po części tłumaczy, dlaczego w ciągu kilku zaledwie lat tak wielu ówczesnych pisarzy, zarówno w Hiszpanii, jak i w całej Europie, zamieni higieniczny i beztroski estetyzm szczęśliwych lat dwudziestych na surowe

i twarde przekonania polityczne brutalnych lat trzydziestych.

Sánchez Mazas nie był wyjątkiem. W gruncie rzeczy cała jego przedwojenna twórczość literacka to niezliczone artykuły, których zasadniczym celem, prócz kodyfikowania falangistowskiej estetyki i moralności – płodów zamierzonego ideologicznego pomieszania, mistycznej gloryfikacji przemocy i militarizmu, tudzież nadętych pustych frazesów o wiecznym trwaniu ojczyzny i religii katolickiej – jest, jak twierdzi Andrés Trapiello, gromadzenie cytatów z łacińskich historyków, niemieckich myślicieli i francuskich poetów, które mogłyby usprawiedliwić zbliżającą się bratobójczą wojnę. W tamtych latach Sánchez Mazas oddawał się frenetycznej działalności politycznej. Po kilku nieudanych próbach stworzenia partii faszystowskiej, w lutym 1933 roku, razem z dziennikarzem Manuelem Delgadem Barreto, z José Antoniem Primo de Riverą, Ramirem Ledesmą Ramosem, Juanem Aparicio i Ernestem Gimenezem Caballero (z tym ostatnim przez wiele lat prowadził długą i nie zawsze skrywaną walkę o ideologiczne przywództwo nad hiszpańskim faszyzmem, ostatecznie ją wygrywając) założył tygodnik „El Fascio”, będący pierwszym forum spotkania różnych ugrupowań narodowo-syndykalistycznych, które miały się złożyć na hiszpańską Falangę. Pierwszy i jedyny numer „El Fascio” ukazał się miesiąc później i władze natychmiast zakazały jego wydawania,

niemniej dwudziestego dziewiątego października tego samego roku w madryckim Teatrze Dramatycznym odbyło się spotkanie założycielskie Falangi Hiszpańskiej. Sánchez Mazas, któremu kilka miesięcy potem przyznano legitymację partyjną z numerem czwartym (numer pierwszy miał Ledesma, drugi José Antonio, trzeci Ruiz de Alda, a piąty – Giménez Caballero), został mianowany członkiem Zarządu. Od tej chwili do osiemnastego lipca 1936 roku odgrywał decydującą rolę w partii, która nie zdołała przed wojną przyciągnąć do swoich szeregów więcej niż kilkuset zwolenników na terenie całej Hiszpanii i w żadnych wyborach nie uzyskała nigdy więcej aniżeli kilka tysięcy głosów, a jednak miała zdecydować o przyszłej historii kraju. Były to lata twardej walki: Sánchez Mazas wygłaszał przemówienia, występował na wiecach, wytyczał strategię i programy, redagował referaty, wymyślał hasła, doradzał swemu szefowi, a przede wszystkim, za pośrednictwem organu partii, tygodnika „Falange Española” – gdzie redagował kolumnę zatytułowaną *Nakazy i reguły stylu* – propagował w artykułach, niepodpisanych, opatrzonych własnym nazwiskiem lub nazwiskiem José Antonia, określone poglądy i styl życia. Z czasem i nieoczekiwanie dla wszystkich – a najbardziej dla samego Sáncheza Mazasa – miały stać się one tym jedynym stylem życia i tymi jedynymi właściwymi poglądami, początkowo jako rewolucyjna ideologia przyjęta na potrzeby wojenne, potem sprowadzone do poziomu



ideologicznych dekoracji przez pulchnego i znie-  
wieściałego, niedouczzonego, ale przebiegłego żołda-  
ka, który je zawłaszczyl. Miały zmienić się w coraz  
bardziej strupieszaly i wyprany z wszelkiego znacze-  
nia rytuał, który garstka prostaków celebrowała przez  
czterdzieści koszmarlych lat, dla usprawiedliwienia  
swojego gównianego reżimu.

W tamtych latach, latach poprzedzających wy-  
buch wojny domowej, hasła propagowane przez  
Sancheza Mazasa niosły jeszcze sugestywny ładunek  
nowoczesności, a żyrowała je wyznająca kult siły  
patriotyczna i ideowa młodzież z dobrych domów.  
José Antonio lubił wówczas cytować zdanie Oswalda  
Spenglera, że ostatecznie zawsze ratuje cywilizację  
pluton żołnierzy. Młodzi falangiści czuli, że to oni  
są tym plutonem żołnierzy. Sądzili (lub tak im się  
zdawało), że ich rodziny marzą o błogim mieszczań-  
skim szczęściu, nieświadome tego, że fala bezbożnoś-  
ci i zrównującego wszystkich barbarzyństwa obudzi  
je z tego snu gwałtownie, wśród huku katastrofy.  
Czuli, że ich obowiązkiem jest użyć siły, aby ocalić  
cywilizację i zapobiec kataklizmowi. Wiedzieli (lub  
tak im się zdawało), że jest ich niewielu, ale ta pro-  
zaiczna okoliczność ich nie zniechęcała. Czuli, że są  
tymi jedynymi bohaterami. Sánchez Mazas również  
to czuł, choć nie był już młody, brakowało mu fizycz-  
nej siły i odwagi, a nawet szczególnej ambicji, by  
odznaczać się takimi przymiotami, miał jednak ro-  
dzinę, której błogi sen o szczęściu należało ochronić.

Dlatego porzucił literaturę, by z misjonarskim zapałem poświęcić się sprawie. Nie przeszkadzało mu to wszakże bywać wraz z José Antoniem w najznakomitszych salonach stolicy ani wspierać przyjaciela w realizacji niektórych jego kabotyńskich pomysłów, na przykład Wieczery Karola Wielkiego, czyli ostentacyjnie wystawnych bankietów, jakie raz w miesiącu odbywały się w hotelu „París” dla uczczenia pamięci cesarza Franków; ich bezwzględnie arystokratyczna wykwiśniętość miała być protestem przeciw demokratycznej i republikańskiej wulgarności, która czaiła się za murami hotelu. José Antonio i jego świta, składająca się z przyszłych poetów-żołnierzy, spotykali się jednak najczęściej w podziemiach „Café Lyon”, przy ulicy Alcalá, w miejscu znanym pod nazwą Wesoły Wieloryb, gdzie do późnych godzin nocnych prowadzili żarliwe dysputy o polityce i literaturze i, w atmosferze niemal braterskiej życzliwości, popijali piwo z młodymi pisarzami lewicy, dzielili się z nimi swymi niepokojami, opowiadali dowcipy i wymyślali sobie po przyjacielsku.

Wybuch wojny miał zmienić tę przyjacielską niezgodę w rzeczywistą wrogość, co było łatwe do przewidzenia dla kogoś, kto uważnie obserwował rozwój politycznych wydarzeń w latach trzydziestych. Ci sami ludzie, którzy jeszcze tak niedawno gawędzili nad filiżanką kawy po wyjściu z teatru lub z wystawy obrazów wspólnego znajomego, stanęli po przeciwnych stronach barykady wobec huku wystrzałów i rozlewu

krwi w walkach ulicznych. W rzeczywistości sytuacja od dawna była brzemienne przemocą. Mimo cierpiętniczych protestów niektórych przywódców partyjnych, którzy z racji swego temperamentu lub wychowania byli przeciwni stosowaniu siły, pewne jest, że Falanga systematycznie podsyciała napięcie, chcąc doprowadzić do tego, by sytuacja pod rządami Republiki stała się nie do wytrzymania, i że użycie siły stanowiło kwintesencję jej ideologii. Podobnie jak wszystkie ruchy faszystowskie przyjmowała rewolucyjne metody Lenina, dla którego do zbrojnego przejęcia władzy wystarczała odważna i zdecydowana mniejszość – odpowiednik plutonu żołnierzy Spenglera. Sánchez Mazas, podobnie jak José Antonio, należał do falangistów niechętnych – chwilami i w teorii – stosowaniu przemocy (choć w praktyce ją podsycił, jako czytelnik George’a Sorela, który z przemocy czynił obowiązek moralny i we wszystkich swoich pismach zachęcał do stosowania siły). W lutym 1934 roku, w *Modlitwie za poległych falangistów*, powstałej z inicjatywy José Antonia dla powstrzymania aktów odwetu po śmierci studenta Matiasa Montero w starciach ulicznych, napisał: „Nad zwycięstwo, które nie byłoby przekonujące, honorowe i uczciwe, przedkładamy porażkę, bo póki każde uderzenie naszego wroga będzie okrutne i tchórzliwe, nasze działania muszą zaświadczać o większej odwadze i wyższej moralności”. Czas pokazał, że te podniosłe słowa były częścią retoryki. Szesnastego czerwca 1935 roku,

podczas spotkania w Zajeździe w Gredos, Rada Polityczna Falangi, w przekonaniu, że nigdy nie zdobędzie władzy dzięki urnom wyborczym i że samo istnienie partii jest zagrożone, Republika widzi w niej bowiem, nie bez racji, groźbę dla własnego przetrwania, podjęła decyzję o sięgnięciu po władzę na drodze zbrojnego powstania. Przez cały następny rok trwają działania konspiracyjne Falangi, naznaczone niezdecydowaniem i kunktatorstwem, świadczącymi nie tylko o braku wiary w zwycięstwo, lecz także o zasadnych i w rezultacie potwierdzonych obawach przywódcy partii, że - jeżeli dojdzie do aliansu wojska i najbardziej konserwatywnych grup społecznych, które poprą przewrót - partia zostanie zepchnięta na margines. Czternastego marca 1936 roku, miesiąc po klęsce w wyborach parlamentarnych, Falanga zostaje pozbawiona przywództwa: policja zamyka siedzibę partii przy ulicy Nicasio Gallego, aresztuje wszystkich członków Rady Politycznej i bezterminowo zakazuje działalności partii.

Od tej chwili ślad Sancheza Mazasa przestaje być wyraźny. Jego losy podczas miesięcy poprzedzających wybuch wojny oraz trzech wojennych lat można odtworzyć tylko na podstawie wyrywkowych świadectw. Zostają nam więc jedynie krótkie wzmianki we wspomnieniach i dokumentach z epoki, ustne relacje osób, które zetknęły się z nim w różnych okolicznościach, wspomnienia rodziny i przyjaciół,

którym opowiedział swoje perypetie. Jest jeszcze domagająca się krytycznej analizy legenda, jaką sam po sobie zostawił. Pełno tu nieporozumień, sprzeczności i niejasności. Tak więc to, o czym piszę poniżej, nie jest tym, co wydarzyło się naprawdę, lecz tym, co wydarzyło się najprawdopodobniej: nie przedstawiam sprawdzonych faktów, lecz domniemania.

Oto one:

W marcu 1936 roku, gdy Sánchez Mazas, wraz z towarzyszami z Rady Politycznej, siedzi w madryckim więzieniu Modelo, przychodzi na świat jego czwarte dziecko, syn Máximo. Ówczesna dyrektorka nadzorująca więziennictwo, Victoria Kent, zgodnie z przepisami, udziela więźniowi trzydniowej przepustki na odwiedzenie żony, pod warunkiem, że zobowiąże się słowem honoru nie opuścić Madrytu i wrócić do więzienia w wyznaczonym terminie. Sánchez Mazas warunek przyjmuje, ale – wedle relacji jego syna Rafaela – tuż przed wyjściem na przepustkę naczelnik więzienia wzywa go do swego gabinetu, cedzi przez zęby, że sprawy przybierają coraz gorszy obrót, i sugeruje mu, by „lepiej nie wracał, on sam zaś nie stanie, jak to się mówi, na głowie, żeby go odnaleźć”. Prawdziwość tej wersji można podać w wątpliwość, bo stanowi zbyt wygodne wytłumaczenie późniejszego postępowania Sancheza Mazasa, ale można także wyobrazić sobie, że nie brak w niej części prawdy. Faktem jest, że niepomny na tylekroć wypowiedane płomienne słowa o potrzebie

szlachetności i bohaterstwa, Sánchez Mazas nie dotrzymuje obietnicy i ucieka do Portugalii. Jednakże José Antonio, który brał poważnie wypowiedzi swego zastępcy, uważa, że wystawia on teraz na szwank honor nie tylko własny, lecz całej Falangi, i nakazuje mu z więzienia w Alicante, do którego został przeniesiony w nocy z piątego na szósty czerwca, razem z bratem Miguelem, powrót do Madrytu. Sánchez Mazas podporządkowuje się poleceniu, ale nim zdąży wrócić do więzienia Modelo, wybucha pucz wojskowych.

Wydarzenia następnych dni pozostają niewyjaśnione. Eugenio Montes, którego Sánchez Mazas nazwał „swoim starszym i najlepszym towarzyszem w dziele oddawania literatury na usługi ich Falangi”, opisuje prawie trzy lata później w Burgos perypetie przyjaciela w dniach bezpośrednio po osiemnastym lipca jako „ciągłe ukrywanie się przed deptającymi mu po piętach czerwonymi zbirami”. Zdanie to jest tyleż literackie, co nieprecyzyjne, ale być może nie odbiega całkowicie od rzeczywistości. W Madrycie zwycięża rewolucja. Zaczynają się wzajemne mordy, ludzie są rozstrzeliwani w rowach przydrożnych i w koszarach. Prawowity rząd utracił kontrolę nad sytuacją i strach miesza się z euforią. Mnożą się rewizje, na ulicach milicja rewolucyjna przeprowadza kontrole. Pewnego wieczoru w pierwszych dniach września, nie mogąc już dłużej znieść męki czekania i poczucia ustawicznego zagrożenia, a może przy-

naglony przez przyjaciół lub znajomych, od dawna ponoszących ryzyko ukrywania tak prominentnego zbiega, Sánchez Mazas postanawia wyjść z kryjówki, uciec z Madrytu i przedostać się do strefy kontrolowanej przez frankistów.

Jak łatwo było przewidzieć, nie udaje mu się to. Kiedy nazajutrz wychodzi na ulicę, od razu zostaje zatrzymany. Dowódca patrolu żąda okazania dokumentów. Sánchez Mazas uświadamia sobie, że jest zgubiony, panika walczy w nim z rezygnacją i, jakby pragnął pożegnać się z otaczającym go światem, przez długą chwilę niezdecydowanie rozgląda się wokół, widzi, że mimo godziny dziewiątej rano na ulicy de la Montera sklepy są już otwarte, chodniki pełne spieszących gdzieś ludzi, a gorące słońce zapowiada kolejny duszny dzień tego ciągnącego się w nieskończoność lata. Tymczasem uwagę trzech uzbrojonych milicjantów przyciąga najeżona karabinami i rozbrzmiewająca wojennymi okrzykami ciężarówka, wioząca liczną grupę bojowników ze związku zawodowego UGT. Ciężarówka zmierza na front do Guadarramy, na karoserii ma wymalowane hasła i nazwiska, wśród których znajduje się nazwisko Indalecia Prieto, mianowanego właśnie ministrem marynarki i sił powietrznych w nowo powstałym rządzie kierowanym przez Largo Caballero. Wówczas Sánchez Mazas wpada na desperacki pomysł i natychmiast wprowadza go w czyn: mówi milicjantom, że nie może im ujawnić swego nazwiska, bo

przebywa w Madrycie incognito, wypełniając misję powierzoną mu bezpośrednio przez ministra marynarki i sił powietrznych, i domaga się, by natychmiast go z nim skontaktowano. Milicjanci – zdumieni, ale i pełni podejrzeń – postanawiają zabrać go do siedziby Głównego Urzędu Bezpieczeństwa. Tam, dzięki kilku wymagającym niemałego hartu fortelom, Mazasowi udaje się wreszcie porozmawiać telefonicznie z Prieto. Ten okazuje zainteresowanie jego położeniem, doradza, żeby schronił się w ambasadzie Chile, serdecznie życzy mu powodzenia. W imię ich starej, marokańskiej przyjaźni rozkazuje niezwłocznie wypuścić go z siedziby urzędu.

Tego samego dnia Sánchez Mazas przedostaje się do ambasady Chile, gdzie będzie przebywał prawie półtora roku. Zachowało się zdjęcie z tamtego okresu: Sánchez Mazas w kręgu uchodźców, wśród których znajduje się związany z Falangą pisarz Samuel Ros. Jest ich ośmiu, wszyscy trochę obszarpani, nieogoleni, wszyscy wyczekujący. Widać Sancheza Mazasa ubranego w cienką, może nawet białą koszulę, jego semicki profil, grube szkła krótkowidza i szerokie czoło: opiera się o stół w eleganckim geście; na stole można dostrzec jedynie pustą szklankę, kawałek chleba, plik papierów albo zeszytów i nędzny ronderek. Sánchez Mazas czyta, a pozostali go słuchają. Tekst stanowi fragment powieści zatytułowanej *Rosa Krüger*, którą wtedy napisał lub pisał, aby złagodzić ciężar odosobnienia i dostarczyć rozrywki



współtowarzyszom niedoli. Powieść ta, nigdy nieukończona, doczeka się wydania dopiero pięćdziesiąt lat później, długo po śmierci autora. Jest niewątpliwie jego najlepszą powieścią (jest też dobrą powieścią), dziwną i beczasową, napisaną z iście bizantyjskim rozmachem przez kogoś, kto zdradza smak i wrażliwość prerafaelity, poczucie europejskości, a także przekonania patriotyczne. Świadczy o niezwyklej fantazji, wiele w niej egzotycznych przygód, ale i melancholijnej zadumy, język jest wykwintny, choć jasny i precyzyjny, a główny wątek to walka, jaką w umyśle bohatera toczą ze sobą dwie siły, rządzące, według autora, wszechświatem: diaboliczność i anielskość, oraz ostateczne zwycięstwo tej drugiej, której ucieleśnieniem jest *donna angelicata*, czyli tytułowa Rosa Krüger. Zdumiewające, że Sanchezowi Mazasowi udało się jakoś odizolować w zgiełku i rozgardiaszu panujących w ambasadzie i napisać tę książkę. Nic dziwnego natomiast, że w swojej książce unika skrupulatnie wszelkich odniesień do dramatycznych okoliczności towarzyszących jej powstaniu, bo po co do tragedii wojny dodawać opowieść o tragedii wojny. Ponadto pozorna sprzeczność, tak niepokojąca niektórych jego czytelników, między wojowniczymi poglądami politycznymi falangisty Sancheza Mazasa i jego estetyzującą twórczością literacką znajdzie wyjaśnienie, gdy zgodzimy się, że działalność polityczna i literacka to dwa przeciwstawne sobie, lecz spójne sposoby wyrażenia tej samej

tęsknoty – za minionym, niemożliwym i wymyślonym Rajem, za łaodem wartości *ancien régime*'u, który, zmieciony wiatrem historii, odchodził w przeszłość raz na zawsze.

Im dłużej trwa to wszystko, im więcej jest rozlewu krwi i wojennych nieszczęść, tym sytuacja w ambasadach, które w republikańskim Madrycie dają schronienie uchodźcom, staje się coraz bardziej niebezpieczna, wzrasta obawa przed atakami, każdy więc, kto znajduje jakąś możliwość ucieczki, woli podjąć takie ryzyko i schronić się w bezpiecznym miejscu, zamiast tkwić w dręczącej niepewności zamknięcia i oczekiwania. Tak postępuje Samuel Ros, który w połowie trzydziestego siódmego roku dociera do Chile, by dopiero w następnym roku wrócić do rządzonej już przez frankistów Hiszpanii. Zachęcony powodzeniem Rosa, Sánchez Mazas podejmuje próbę ucieczki jesienią trzydziestego siódmego roku. Pomocy udzielają mu prostytutka oraz młody sympatyk Falangi, którego krewni posiadają (lub posiadali) firmę transportową. Plan zakłada dotarcie do Barcelony, skontaktowanie się na miejscu z dywersantami z piątej kolumny i przy ich pomocy znalezienie kontaktu z przemytnikami organizującymi przerzuty ludzi przez granicę francuską. Przez kilka kolejnych dni Sánchez Mazas, ukryty w ciężarówce wyładowanej zepsutymi warzywami, w towarzystwie prostytutki i młodego falangisty pokonuje bocznymi drogami i bitymi traktami sześćset kilometrów

dzielących go od Barcelony. Cudownym zrządzeniem losu uciekinierom udaje się przejść bezpiecznie wszystkie kontrole i bez większych przygód, jeśli nie liczyć złapanej gumi i śmiertelnego strachu z powodu psiska obdarzonego zbyt dobrym węchem, docierają cali i zdrowi do miejsca przeznaczenia. W Barcelonie troje podróżnych rozdziela się, a Sanchezem Mazasem zajmuje się, tak jak było ustalone, adwokat należący do JMB, jednej z licznych i rozproszonych grupek falangistowskich, które tworzą w mieście piątą kolumnę. Po kilkudniowym odpoczynku uciekiniera członkowie JMB domagają się od niego, by przejął dowództwo i pokazał, że nie od parady nosi legitymację partyjną z numerem czwartym. Powinien skoordynować działania wszystkich grup dywersyjnych i poddać je dyscyplinie partyjnej. Sánchez Mazas jest zaskoczony ofertą, może dlatego, że jego jedynym dotąd celem było wydostać się ze strefy opanowanej przez czerwonych i dotrzeć do strefy kontrolowanej przez frankistów, a może dlatego, że nie czuje się po prostu zdolny do tego działania. W każdym razie zdecydowanie odmawia, powołując się na całkowitą nieznaną sytuację w mieście oraz brak rozeznania wśród działających w nim ugrupowań. Jednakże członkowie JMB, tyleż młodzi i odważni, co niedoświadczeni, w dodatku traktujący jego pojawienie się jako prezent od losu, nie ustępują i Sanchezowi Mazasowi nie pozostaje nic innego jak się zgodzić.

W ciągu następnych dni spotyka się z przedstawicielami rozmaitych grupek piątej kolumny i któregoś ranka, gdy kieruje się do położonego w centrum miasta baru „Iberia”, którego właściciel sympatyzuje z puczystami, zostaje zatrzymany przez agentów Wojskowej Służby Informacyjnej, SIM. Jest dwudziesty dziewiąty listopada 1937 roku. Wersje następujących potem zdarzeń różnią się między sobą. Wedle jednej z nich ksiądz Isidoro Martín, swego czasu wykładowca Sancheza Mazasa w Królewskiej Szkole Wyższej im. Marii Cristiny w Escorialu, interweniuje w obronie więźnia u Manuela Azaña, również swego byłego ucznia w tej samej szkole. Julián de Zugazagoitia, którego Sánchez Mazas na próżno będzie się starał ocalić od plutonu egzekucyjnego po zakończeniu wojny, twierdzi, że on sam zaproponował premierowi Negrinowi wymianę więźnia na dziennikarza Federica Angulo, ale Azaña dał mu do zrozumienia, że lepsza byłaby wymiana na kompromitujące prezydenta rękopisy, które znajdowały się w rękach rebeliantów. Wedle innej wersji Sánchez Mazas nigdy nawet nie dotarł do Barcelony, ponieważ po pobycie w ambasadzie Chile schronił się w polskiej ambasadzie, która stała się obiektem ataku, i wówczas właśnie Azorín podjął się mediacji, aby ocalić go od kary śmierci. Jeszcze inna wersja głosi, że Sánchez Mazas rzeczywiście został na kogoś wymieniony. Te dwie ostatnie hipotezy są błędne; dwie pierwsze niemal na pewno nie. Jakkolwiek było,

faktem jest, że po aresztowaniu przez SIM Sánchez Mazas zostaje przewieziony na statek „Uruguay”, zakotwiczony w barcelońskim porcie i od dawna zamieniony na pływające więzienie. Potem staje przed sądem w Pałacu Sprawiedliwości wraz z innymi członkami piątej kolumny. Podczas procesu oskarżono go o sprawowanie naczelnego dowództwa piątej kolumny w Barcelonie, co nie było prawdą, i o podżeganie do buntu, co było prawdą. Jednak w odróżnieniu od większości oskarżonych Sánchez Mazas nie otrzymał wyroku śmierci. Sprawa jest dziwna. Można ją pewnie wytłumaczyć tylko ponowną i nadzwyczajną interwencją Indalecia Prieto.

Po zakończeniu rozprawy Sánchez Mazas zostaje ponownie umieszczony na statku „Uruguay” i w jednej z zaimprovizowanych tam cel spędzi następne miesiące. Warunki nie są dobre: wyżywienie skąpe, traktowanie więźniów brutalne. Skąpe są również docierające na miejsce wieści o przebiegu wojny, ale w miarę jej postępów nawet więźniowie na „Uruguayu” uświadamiają sobie, że Franco jest coraz bliższy zwycięstwa. Dwudziestego czwartego stycznia 1939 roku, na dwa dni przed wkroczeniem wojsk generała Yagüe do Barcelony, Sánchez Mazas, obudzony niezwykłą wrzawą, szybko spostrzega wyraźną nerwowość strażników. Raz myśli, że chcą go wypuścić na wolność, to znów, że chcą go rozstrzelać. Cały ranek upływa w dręczącej niepewności. Około trzeciej po południu agent SIM-u każe mu wyjść

z celi, opuścić statek i wsiąść do autobusu zaparkowanego na molo, gdzie czeka już czternastu innych więźniów z „Uruguayu” i z aresztu trybunału ludowego w Vallmajor oraz siedemnastu agentów SIM-u w charakterze obstawy. Wśród więźniów są dwie kobiety: Sabina González de Carranceja i Juana Aparicio Pérez del Pulgar; jest też José María Poblador, jeden z pierwszych przywódców Junt Ofensywy Narodowo-Syndykalistycznej i ważny uczestnik lipcowego puczu trzydziestego szóstego roku, oraz Jesús Pascual Aguilar, jeden z szefów barcelońskiej piątej kolumny. Nikt z nich wówczas nie może przewidzieć, że ze wszystkich więźniów transportowanych w konwoju po upływie tygodnia pozostaną przy życiu tylko Sánchez Mazas, Pascual i Poblador.

Autobus jedzie w ciszy przez Barcelonę, zamienioną przez grozę bezładnej ucieczki i ponure światło zimowego nieba w widmowe miasto: okna i balkony pozamykane są na cztery spusty, na szerokich poszarzałych alejach króluje obozowy rozgardiasz, tu i ówdzie przemykają ukradkiem przechodnie, krążąc niczym wilki po rozrytych chodnikach, na ich twarzach maluje się głód i pragnienie ucieczki, a przed nieszczęściem i lodowatym wiatrem okrywają się nędznymi płaszczami. Gdy autobus wyjeżdża za miasto, na drogę zatłoczoną uciekinierami, krajobraz staje się apokaliptyczny: oto masa przerażonych mężczyzn i kobiet, starców i dzieci, żołnierzy i cywili przemieszanych ze sobą, objuczonych

tobołami, materacami i sprzętami domowymi, posuwając się piechotą w charakterystycznym dla pokonanych nastroju przygnębienia albo jadąc na rozklekotanych wozach lub ledwo powłóczących nogami mułach, wypełnia szosę i przydrożne rowy; na poboczach leżą gdzieniegdzie trupy zwierząt z rozdętymi brzuchami albo stoją niezdolne do dalszej jazdy samochody. Ciżba ludzka sunie bardzo wolno. Od czasu do czasu staje; od czasu do czasu ktoś wpatruje się długo, z mieszaniną zdumienia, nienawiści i niewyobrażalnego zmęczenia w pasażerów autobusu, nieświadom czekającej ich egzekucji; od czasu do czasu ktoś wykrzykuje obelgi pod ich adresem. Od czasu do czasu także przelatuje nad drogą samolot frankistów, siekąc seriami z karabinów maszynowych albo zrzucając bombę i wywołując panikę wśród uciekinierów, a błysk nadziei wśród pasażerów autobusu. W pewnej chwili uwięzieni zaczynają się nawet ludzić, że zdołają wykorzystać panujący chaos i rzucić się przez pola do ucieczki. Agenci SIM-u pozbawiają ich jednak złudzeń, ich czujność ani na chwilę nie słabnie.

Jest już późna noc, gdy mijają Geronę, a potem Banyoles. Jadą pnącą się w górę bitą drogą, która wiśnie się serpentynami wśród pogrążonych w mroku lasów, i po pewnym czasie zatrzymują się przed kamiennym blokiem, naznaczonym punkcikami świateł, niczym jakiś niezwykły galeon, zatopiony w ciemnościach. Ciszę zakłócają tylko pospieszne

rozkazy więziennych strażników. To sanktuarium Matki Boskiej w Collell. Sánchez Mazas spędzi tu pięć dni razem z dwoma tysiącami innych więźniów zwiezionych z terenów, jakie pozostały z dawnej Hiszpanii republikańskiej; są wśród nich także czerwoni dezercerzy i kilku członków Brygad Międzynarodowych. Przed wojną klasztor był szkołą średnią z internatem, prowadzoną przez zakonników. Lekcje odbywały się w salach o wysokich sklepieniach i niezwykłych, wielkich oknach wychodzących na patio i cyprysowe gaje. Do sal wiodły długie korytarze, a do frontowych drzwi strome schody z drewnianą poręczą. Teraz internat został zmieniony w więzienie, sale lekcyjne w cele, korytarze i schody nie rozbrzmiewają już uczniowską wrzawą; słysząc na nich kroki uwięzionych. Nadzorca więzienia to niejaki Monroy, ten sam, który rządził żelazną ręką statkiem-więzieniem „Uruguay”. W Collell reżim więzienny nie jest jednak tak surowy: nie zabrania się rozmów z personelem wydającym posiłki ani z osobami spotkanymi po drodze do łazienki. Jedzenie nadal jest paskudne, a racje głodowe, ale od czasu do czasu pojawia się w celi jakiś ukradkowy papieros, zachłannie wypalany zbiorowo. Cella zajmowana przez Sancheza Mazasa na ostatnim piętrze dawnego internatu jest obszerna i jasna. Oprócz niego i kilku mężczyzn z Brygad Międzynarodowych, którzy nie mówią w żadnym zrozumiałym języku, umieszczony jest w niej jeszcze lekarz Fernando de Marimón,



kapitan marynarki Gabriel Martín Morito, ksiądz Guiu, Jesús Pascual i José María Poblador, który z trudem się porusza, ponieważ nogi ma pokryte czyrakami. Nazajutrz członkowie Brygad zostają zwolnieni, a ich miejsce zajmują więźniowie frankistowscy schwytani w Teruel i w Belchite; cela się zapełnia. Od czasu do czasu pozwala się im na spacer po patio lub po ogrodach; nie pilnują ich agenci SIM-u ani karabinierzy (choć i jednych, i drugich pełno w sanktuarium), pilnują ich żołnierze tak samo jak oni wygłodzeni i obszarpani, którzy żartują albo nucą pod nosem modne szlagiery, kopiąc z nudów kamienie na patio albo obojętnie przyglądając się więźniom. Godziny spędzone w zamknięciu i bezczynność sprzyjają snuciu domysłów. Wobec bliskości granicy, a nade wszystko z powodu dołączenia do osadzonych w celi takiego dygnitarza jak Sánchez Mazas, wielu z nich żywi nadzieję, że zostaną wkrótce wymienieni. Czas sprzyja też nawiązywaniu przyjaźni. Sánchez Mazas rozmawia głównie z Pascuałem, jakby w jakiś magiczny sposób przewidział, że będzie on jednym z tych, którzy przeżyją uwięzienie, i jedynym, który później opowie o horrorze tych godzin w szczegółowej i manichejskiej narracji. Pascual zna go tylko ze słyszenia i z artykułów publikowanych w „Falange Española”. Sánchez Mazas opowiada mu swoją wojenną odyseję: mówi o więzieniu Modelo, o narodzinach syna Maxima, o pełnych niepewności dniach po rebelii, o Indaleciu Prieto i ambasadzie

Chile, o Samuelu Rosie i *Rosie Krüger*, o potajemnej podróży ciężarówką załadowaną warzywami, w towarzystwie pewnego chłopca z dobrego domu i prostytutki, o Barcelonie i JMB, o piątej kolumnie i swoim aresztowaniu, o procesie i o statku-więzieniu „Uruguay”.

Dwudziestego dziewiątego stycznia o zmierzchu Sánchez Mazas, Pascual i ich towarzysze z celi zostają wyprowadzeni na rozległy taras klasztoru, gdzie nigdy wcześniej nie byli, a gdzie spotykają innych więźniów; jest ich w sumie pięciuset, może więcej. Pascual niektórych zna, ale ledwie zamieni kilka słów z Pedrem Boschem Labrusem, wicehrabią Bosch Labrús, i z kapitanem lotnictwa Emiliem Leuconą, jeden z karabinierów każe wszystkim milczeć i zaczyna czytać listę nazwisk. Pascual, słysząc nazwiska znajomych, pragnie z całej duszy, by i jego nazwisko zostało wyczytane, bo w głowie świta mu nadzieja na wymianę, ale w chwili, gdy karabinier rzeczywiście go wyczytuje, wkrótce po Sanchezie Mazasie i zaraz po Boschu Labrusie, żałuje już, że sobie tego życzył, choć nie ma żadnego dobrego powodu dla tej zmiany nastawienia. Dwudziestu pięciu wyczytanych mężczyzn, wśród nich wszyscy towarzysze z celi Sancheza Mazasa i Pascuala, z wyjątkiem Fernanda de Marimona, zostaje umieszczonych w celi na pierwszym piętrze, w której jedynymi sprzętami są ławki szkolne zsunięte pod odrapane ściany i tablica z nagryzmlonymi kredą datami kroniki patriotycz-

nej. Zamykają się za nimi drzwi; zapada złowieszcza cisza. Ktoś ją przerywa i zaczyna mówić o bliskiej wymianie, na krótko udaje mu się rozwiać lęk domysłami na ten temat, ale nadzieja wkrótce ustępuje miejsca ogólnemu pesymizmowi. Przed kolacją ksiądz Guiu, usiadłszy na ławce w kącie celi, spowiada kilku więźniów, potem udziela im komunii. Nikt w nocy nie śpi, oświetleni kamiennoszarą poświatą wpadającą przez okno i nadającą ich twarzom upiornie trupi wygląd, więźniowie czuwają, nasłuchując odgłosów z korytarza, szukają złudnego pocieszenia we wspomnieniach albo powracają do rozmowy o wymianie jeńców. Sánchez Mazas i Pascual siedzą na podłodze, wsparci plecami o zimną ścianę, z nogami przykrytymi za krótkim kocem. Żaden z nich nie będzie dokładnie pamiętał, o czym rozmawiali owej najkrótszej ze wszystkich nocy, zapamiętają jednak długie chwile milczenia przerywane ciągiem ich tajemnych wynurzeń, szepty towarzyszy, czujne odkaszlnięcia i dźwięk obojętnych, wytrwałych, ciemnych i lodowatych kropli deszczu uderzających o płyty na patio, padających na cyprysy w ogrodzie, gdy tymczasem brzask trzydziestego stycznia rozjaśnia powoli ciemność za oknami. Światło przybiera odcień chorobliwej albo widmowej bieli, która, niczym złe przeczucie, ogarnia wnętrze celi właśnie w chwili, kiedy głos strażnika każe im wychodzić.

Nikt nie spał, wydaje się, że wszyscy czekali na tę chwilę, i jakby gnani palącą potrzebą rozwiania

niepewności co do dalszych losów, wykonują polecenie z lunatyczną gorliwością, by dołączyć na patio do innej, takiej samej grupy więźniów. Jest ich w sumie pięćdziesięciu. Kilka minut czekają posłusznie, milczący, mokrzy, stojąc na drobnym deszczu, pod niebem zaciągniętym gęstymi chmurami. Wreszcie pojawia się młody mężczyzna; w jego niewyraźnych rysach twarzy Sánchez Mazas rozpoznaje niewyraźne rysy nadzorcy więziennego ze statku „Uruguay”. Nadzorca oznajmia im, że będą pracować przy budowie lotniska w Banyoles, i każe ustawić się w dziesięciu szeregach, po pięciu w każdym. Sánchez Mazas wykonuje polecenie, zajmując bezwiednie pierwsze miejsce z prawej strony w drugim szeregu, i czuje, że serce wali mu jak oszalałe; wpada w panikę, rozumie, że historia o lotnisku może być zwykłym wymysłem, bo przecież nie ma sensu budowanie go w chwili, gdy oddziały frankistowskie są w odległości kilku kilometrów i prowadzą ostateczną ofensywę. Zaczyna iść na czele grupy, wytrącony z równowagi i roztrzęsiony, niezdolny do jasnego myślenia, daremnie próbując wyczytać z beznamiętnego wyrazu twarzy uzbrojonych żołnierzy, stojących po obu stronach drogi, jakiś znak nadziei, i upewnić się, że na końcu tego pochodu nie czeka ich śmierć. Obok niego, albo za nim, ktoś usiłuje coś wyjaśnić albo wytłumaczyć, on jednak nie słyszy albo nie rozumie, każdy krok wymaga bowiem od niego skoncentrowania całej uwagi, jakby mógł być krokiem ostatnim; obok

niego, albo za nim, chore nogi José Marii Pobladora odmawiają posłuszeństwa i więzień pada w kałużę, dwaj żołnierze podnoszą go i wloką z powrotem do klasztoru. Po przejściu jakichś stu pięćdziesięciu metrów grupa skręca w lewo, schodzi z szosy i zagłębia się w las ścieżką biegnącą w górę po wapiennym podłożu i prowadzącą na obszerną polanę otoczoną sosnami. Wówczas z gęstwiny dobiega rozkaz, by stanąć i zrobić zwrot w lewo. Strach paraliżuje całą grupę, która zatrzymuje się w jednej chwili, jak automat; niemal wszyscy więźniowie robią zwrot w lewo, ale niektórym, na przykład kapitanowi Gabrielowi Martinowi Morito, kierunki mylą się z przerażenia i robią zwrot w prawo. Mija nieskończenie długa chwila, podczas której Sánchez Mazas myśli, że zaraz umrze. Myśli, że kule, od których zginie, dosięgną go z tyłu, czyli z kierunku, z którego wcześniej dobiegł rozkaz, i że przedtem muszą dosięgnąć czterech mężczyzn, którzy stoją za nim. Myśli, że nie umrze, że ucieknie. Myśli, że nie może uciec do tyłu, bo stamtąd będą strzelać; ani w lewo, bo tym sposobem wróciłby do szosy, gdzie są żołnierze; ani do przodu, bo musiałby pokonać mur ośmiu przerażonych mężczyzn. Ale (myśli) może uciec w prawą stronę, gdzie nie dalej niż o sześć albo siedem metrów jest zagajnik porośnięty sosnami i gęstymi zaroślami, który daje szansę ukrycia się. „W prawo”, myśli. I myśli: „Teraz albo nigdy”. W tej chwili karabiny maszynowe ustawione za plecami grupy, dokładnie tam, skąd wcześ-

niej dobiegł rozkaz, zaczynają wymiatać seriami polanę; więźniowie, w instynktownym odruchu obrony, rzucają się na ziemię. Tymczasem Sánchez Mazas wpadł już do zagajnika, biegnie wśród drzew, których gałęzie drapią mu twarz, i wciąż słyszy bezlitosny terkot karabinów maszynowych, potyka się na jakiejś opatrnościowej nierówności, pada na ziemię, turla się po błocie i mokrych liściach wąwozem, w który opada polana, trafiając w zagłębienie wypełnione wodą ze strumyka. Wyobraża sobie słusznie, że jego prześladowcy wyobrażają sobie, że ucieknie od nich jak najdalej, dlatego postanawia zostać w mokrej jamie, względnie blisko polany, skulony, zadyszany, oblepiony błotem, z sercem skaczącym mu do gardła. Przykrywa się, jak może, liśćmi oraz gliniastą ziemią i sosnowymi gałązkami, słysząc pojedyncze wystrzały żołnierzy, którzy dobijają jego nieszczęsnych towarzyszy, a potem wściekłe ujadanie psów i krzyki karabinierów ponagających żołnierzy, żeby łapali zbiega lub zbiegów (bo Sánchez Mazas nie wie jeszcze, że Pascual, zachęcony jego przykładem, również zdołał ujść z życiem). Przez pewien czas – nie wie, czy liczyć ten czas w minutach, czy w godzinach – gdy bez wytchnienia zagarnia ziemię krwawiącymi palcami, by się nią przykryć, i myśli, że padający ciągle deszcz zatrze jego ślady dla tropiących psów, nadal słyszy krzyki i szczekanie, i strzały, aż nagle czuje, że coś się porusza za jego plecami, i odwraca się z gwałtownością osaczonego zwierzęcia.

Wtedy go dostrzega. Stoi nieopodal krawędzi dołu, wysoki i silny, odcina się wyraźnie od zieleni drzew i ciemnoniebieskich chmur, trochę dyszy, wielkie dłonie ściskają brunatnoszary karabin, jest w wyświechtanym polowym mundurze ściągniętym pasem z metalową klamrą. Sparaliżowany rezygnacją kogoś, kto wie, że wybiła jego godzina, Sánchez Mazas spogląda przez zalane wodą szkła krótkowidza na żołnierza, który ma go zabić albo schwytać – młodego mężczyznę, o zmoczonych deszczem włosach przyklejonych do głowy, chyba szarych oczach, zapadniętych policzkach i wystających kościach policzkowych – i przypomina go sobie, albo wydaje mu się, że sobie przypomina, jako jednego z obszarpanych żołnierzy pilnujących go w klasztorze. Rozpoznaje go, albo wydaje mu się, że go rozpoznaje, ale nie przynosi mu ulgi myśl, że to on, a nie agent SIM-u wybawi go od tej niekończącej się agonii i strachu. Czuje, że w jego kilkuletnim życiu zbiega spotyka go kolejna upokarzająca obelga: dlaczego nie zginął razem z towarzyszami z celi albo nie poniósł śmierci na otwartym polu, w blasku słońca, walcząc z odwagą, której jest pozbawiony, zamiast dawać się zabić teraz, oblepiony błotem, samotny, dygocący z przerażenia i wstydu, w jakimś idiotycznym leśnym wykrocie. W takim stanie rozpacz, pomieszania i rozgorączkowania Rafael Sánchez Mazas – wyborny poeta, ideolog faszystowski, przyszły minister w rządzie Franco – czeka na strzał,

który ma położyć kres jego życiu. Ale strzał nie pada i Sánchez Mazas, jakby już był trupem i, przekroczywszy próg śmierci, przypominał sobie scenę z marzeń sennych, przygląda się bez zdumienia żołnierzowi, który podchodzi powoli na skraj dołu wśród nieustającego deszczu i wrzawy uczestniczących w obławie żołnierzy i karabinierów, odległych o kilka zaledwie kroków. Żołnierz mierzy do niego z karabinu bez przekonania, raczej badawczo niż w napięciu, niczym początkujący myśliwy, który przygląda się pierwszej zdobyczy, i kiedy zatrzymuje się na skraju wgłębienia, gdzieś z bliska, poprzez zmieszany z szumem lasu szmer deszczu, dobiega ich krzyk:

- Znalazłeś kogoś?

Żołnierz patrzy na niego; Sánchez Mazas też patrzy na żołnierza, ale nie rozumie tego, co widzą jego oczy krótkowidza: spojrzenie żołnierza spod mokrych włosów, spod szerokiego czoła i brwi obsypanych kroplami wody nie wyraża współczucia ani nienawiści, nawet pogardy, lecz jakąś tajemną lub niezgłębioną radość, coś, co graniczy z okrucieństwem i opiera się rozumowi, ale nie jest też instynktem, coś, co żyje w tym spojrzeniu z takim samym ślepym uporem, z jakim krew pulsuje w żyłach, Ziemia krąży po niezmiennej orbicie, a wszystkie istoty trwają w swej upartej kondycji istot, coś, co wymyka się słowom, niczym strumień wymyka się kamieniom, bo słowa są stworzone tylko po to, by mówić same siebie, by mówić to, co daje się powiedzieć,



to znaczy wszystko oprócz tego, co nami rządzi albo co sprawia, że żyjemy, albo co nas dotyczy, albo czym jesteśmy, albo czym jest ten bezimienny i przegrany żołnierz, co spogląda teraz na mężczyznę – którego ciało niemal zlewa się z ziemią i brązową wodą wypełniającą zagłębienie – i wydaje z siebie donośny krzyk, nie odrywając oczu od mężczyzny:

– Nie, nikogo tu nie ma!

Potem odwraca się i odchodzi.

Przez dziewięć dni i nocy surowej zimy 1939 roku Rafael Sánchez Mazas błąkał się po okręgu Banyoles, próbując przekroczyć linie cofającego się wojska republikańskiego i przedostać się do strefy frankistowskiej. Wielokrotnie myślał, że mu się nie uda: zdany sam na siebie, wiedziony jedynie wolą przetrwania, zagubiony w nieznanym sobie terenie, porośniętym dziewiczym, gęstym lasem, osłabiony do granic wyczerpania przez bezustanny marsz, zimno, głód i trzy lata nieprzerwanej niewoli, wielokrotnie musiał mobilizować siły, aby nie poddać się zwątpieniu. Pierwsze trzy dni były okropne. Spał w ciągu dnia i szedł nocami, unikając pokazywania się na drogach i we wsiach, zebrząc o jedzenie i dach nad głową w wiejskich zagrodach, i choć nigdzie nie odważył się wyjawić swego prawdziwego nazwiska, przedstawiając się zawsze jako zbłąkany żołnierz republikański, i choć niemal wszyscy, których o to prosił, dawali mu coś do jedzenia, pozwalali chwilę odpocząć i o nic nie

pytając, wskazywali dalszą drogę, strach nie pozwolił nikomu się nim zaopiekować. Czwartego dnia o świcie, po trzygodzinnym błędzeniu po lasach w ciemnościach, Sánchez Mazas dostrzegł w oddali gospodarstwo. Z wyczerpania raczej niż pod wpływem jakiejś racjonalnej decyzji położył się na przykrytym sosnowymi igłami leśnym poszyciu i leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, słysząc jedynie szmer własnego oddechu i czując woń ziemi mokrej od rosy. Od poprzedniego ranka nie miał nic w ustach, czuł się wycieńczony i chory, bolały go wszystkie mięśnie. Cudowne ocalenie i nadzieja na spotkanie oddziałów frankistowskich dodawały mu do tej pory wytrwałości i siły, których nie spodziewał się z siebie wykrzesać; teraz jednak zrozumiał, że jego energia jest na wyczerpaniu i jeśli nie zdarzy się znowu jakiś cud lub ktoś nie przyjdzie mu z pomocą, jego przygoda niebawem dobiegnie kresu. Po pewnym czasie, gdy trochę odpoczął, a promienie słońca przezierające między gałęziami drzew natchnęły go odrobiną optymizmu, zebrał wszystkie siły, wstał i ruszył w stronę zabudowań.

Maria Ferré miała nigdy nie zapomnieć tego promiennego lutowego poranka, kiedy po raz pierwszy ujrzała Rafaela Sancheza Mazasa. Jej rodzice byli w polu, a ona zamierzała właśnie nakarmić krowy, gdy na podwórzu pojawił się mężczyzna – wysoki, wygłodzony, wyglądający jak upiór, w przekrzy-

wionych okularach i z wielodniowym zarostem, w kurtce z barankowym kołnierzem i w dziurawych spodniach, ubrudzonych ziemią i sokiem traw – i poprosił o kawałek chleba. Maria nie przestraszyła się. Niedawno skończyła szesnaście lat i była hożą, pracowitą dziewczyną, analfaberką, której wojna wydawała się tylko jakimś odległym pomrukiem w listach nadsyłanych z frontu przez brata i bezsensowną nawałnicą, winną śmierci, dwa lata wcześniej, pewnego chłopca z Palol de Revardit, za którego Maria pragnęła niegdyś wyjść za mąż. W czasie wojny jej rodzina nie doświadczyła głodu ani strachu, bo ziemi uprawne otaczające zagrodę, a także trzymane w gospodarstwie krowy, świnie i kury dostarczały im dostatecznie dużo pożywienia, i dlatego, że – choć Mas Borrell, ich dom, znajdował się w połowie drogi między Palol de Revardit i Cornellà de Terri – nie dotarła tam przemoc czasów rewolucji, a podczas bezładnego odwrotu republikanów zdarzało się, co najwyżej, że pojawiał się u nich jakiś zagubiony i nieuzbrojony żołnierz, raczej przerażony niż groźny, prosił o coś do jedzenia albo kradł kurę. Możliwe, że początkowo Maria Ferré wzięła Sancheza Mazasa za jednego z owych licznych dezertersów, którzy błakali się wówczas po okolicy, i że właśnie dlatego nie poczuła strachu, jednak ona sama utrzymywała zawsze, że ujrawszy na ciemnej, bitej drodze prowadzącej na podwórze godną pożałowania postać, od razu dostrzegła, że to musi być ktoś znaczny,

mimo łachmanów i odstręczającego wyglądu po trzech dniach spędzonych pod gołym niebem. Jakkolwiek było naprawdę, Maria zachowała się wobec niego równie litościwie jak wobec innych uciekinierów.

- Nie mam chleba - odpowiedziała. - Ale dam panu coś gorącego.

Wdzięczny i wzruszony Sánchez Mazas poszedł za nią do kuchni i podczas gdy Maria stawiała na ogień kociołek z jedzeniem pozostałym z kolacji z poprzedniego wieczoru - ciemny, esencjonalny wywar, w którym pływała soczewica, wielkie kawałki boczku, kiełbasy i *chorizo* oraz ziemniaki i inne warzywa - on usiadł na ławie, rozkoszując się bliskością ognia i czekającym go dobrodziejstwem gorącego posiłku; zrzucił kurtkę, zdjął buty, mokre skarpety i poczuł nagle straszliwy ból w stopach i nieskończone zmęczenie w wychudłych barkach. Wręczywszy mu czystą ścierkę i chodaki, Maria zerkała z ukosa, jak wyciera sobie szyję, włosy, potem stopy i kostki u nóg, wpatrując się równocześnie nieruchomymi, zdumionymi oczami w płomienie tańczące między szczapami drewna. Kiedy podała mu zupę, widziała, jak - wygłodniały - zjadł ją szybko, w skupieniu, nie zapominając wszakże o manierach właściwych człowiekowi przyzwyczajonemu niegdyś do lnianych obrusów i srebrnych nakryć. Maniery te i instynktowna uprzejmość, bardziej niż świeżo wyuczony strach, kazały mu odłożyć łyżkę, odstawić koło paleniska cynowy talerz i podnieść się na widok wkracza-

jących w półmrok kuchni rodziców Marii, którzy stanęli, wpatrując się w niego z charakterystyczną dla zwierząt mieszaniną bierności i obawy. Maria opowiedziała ojcu o tym, co się stało, po katalońsku, może w przekonaniu, zresztą złudnym, że nieznajomy nie rozumie tego języka; ojciec poprosił Sancheza Mazasa, aby skończył jeść i, nie odrywając od niego wzroku, położył obok ławy przyniesione z pola narzędzia, umył ręce w miednicy i podszedł do ognia. Sánchez Mazas wyjadł wszystko do czysta z talerza, czując na sobie jego spojrzenie. Zaspokoiwszy głód, podjął decyzję: rozumiał, że jeśli nie wyjawí swego prawdziwego nazwiska, tu również nie będzie mógł liczyć na schronienie, rozumiał także, że lepiej przyjąć ewentualne ryzyko denuncjacji niż realne ryzyko śmierci z głodu i wyziębienia.

- Nazywam się Rafael Sánchez Mazas i jestem najstarszym stażem przywódcą Falangi w Hiszpanii – powiedział wreszcie do słuchającego go mężczyzny.

Sześćdziesiąt lat później, gdy nie było już na świecie Sancheza Mazasa ani rodziców Marii, ona sama pamiętała wciąż dokładnie tamte słowa – może dlatego, że pierwszy raz usłyszała wówczas o Falandze i pamiętała także, że w chwilę potem Sánchez Mazas opowiedział o swojej niewiarygodnej przygodzie w Collell, o późniejszym kilkudniowym błakaniu się i, zwracając się cały czas do jej ojca, dodał:

- Wie pan równie dobrze jak ja, że frankiści wkrótce tu będą. To kwestia dni, może nawet godzin. Ale jeśli złapią mnie czerwoni, to po mnie. Jestem pań-

stwu bardzo wdzięczny za gościnność i nie chcę nadużywać państwa dobrej woli, ale proszę dać mi raz dziennie do jedzenia to, czym poczęstowała mnie córka, i pozwolić schronić się nocą pod dachem, a będę państwa dłużnikiem na wieki. Niech pan się zastanowi. Jeśli wyświadczy mi pan tę przysługę, będę się umiał odwdzięczyć.

Ojciec Marii Ferré nie musiał się zastanawiać. Odpowiedział, że nie może umieścić go w swoim domu, bo byłoby to nazbyt ryzykowne, ale zaproponował lepsze rozwiązanie: za dnia może ukrywać się w lesie, na położonej w pobliżu i bezpiecznej łące, obok Mas de la Casa Nova – gospodarstwa opuszczonego przez właścicieli na początku wojny – nocą zaś będzie sypiał ciepło w stogu siana, jakieś dwieście metrów od domu, a oni zadbają, żeby zawsze czekało tam na niego jedzenie. Sánchez Mazas przyjął ten plan entuzjastycznie, wziął koc i paczkę z prowiantem, którą przygotowała mu Maria, pożegnał się z dziewczyną i z jej matką i ruszył w ślad za ojcem polną drogą, biegnącą koło domu, a potem wijącą się między zasiewami, z której widać było w krystalicznie czystym powietrzu słonecznego poranka drogę do Banyoles i porozrzucane w dolinie gospodarstwa, a dalej ostry zarys odległych Pirenejów. Ojciec Marii Ferré wskazał mu w oddali stóg siana, w którym miał nocować, po czym przeszli na przełaj przez otwarte, leżące odłogiem pole i zatrzymali się na skraju lasu, w miejscu, gdzie droga kurczyła się do wąskiej ścież-

ki; tam mężczyzna powiedział mu, że ścieżka doprowadzi go do Mas de la Casa Nova, i przypomniał raz jeszcze, by nie wracał przed zapadnięciem nocy. Sánchez Mazas nie zdążył nawet ponownie podziękować mu za pomoc, bo ojciec Marii Ferré odwrócił się i ruszył z powrotem do Mas Borrell. Stosując się do jego wskazówek, Sánchez Mazas wszedł w las porośnięty jesionami i wysokimi dębami, których korony niemal nie przepuszczały promieni słońca; las robił się coraz bardziej gęsty, w miarę jak ścieżka opadała zboczem wzgórza. Szedł już dość długo i jakiś wewnętrzny głos zaczął mu sączyć do ucha truciznę zwątpienia, gdy wyszedł na polanę, gdzie wznosił się Mas de la Casa Nova. Był to jednopiętrowy, zbudowany z kamienia wiejski dom, z wielkimi drewnianymi drzwiami frontowymi i studnią artezyjską. Upewniwszy się, że od dawna jest niezamieszkały, Sánchez Mazas rozważał przez chwilę, czy nie wyważyć drzwi i nie schronić się w środku, ale po chwili zastanowienia postanowił zastosować się do zaleceń ojca Marii Ferré i poszukać wspomnianej przez niego łąki. Znalazł ją nieopodal, po drugiej stronie głębokiego, kamienistego i wyschniętego łożyska strumienia, ocienionego rzędem topoli. Tam położył się w wysokiej trawie, pod bezchmurnym i cudownie błękitnym niebem, w promiennym słońcu, które ogrzewało zimne i nieruchome powietrze poranka. Choć bolały go wszystkie kości, a bezbrzeżne znużenie zamykało powieki, po raz pierwszy od dawna po-

czuł się bezpieczny i pogodzony z losem, niemal szczęśliwy. Czuł miłe ciepło słońca na powiekach i na skórze i nieuchronnie zanurzał się pod powierzchnię snu, a jego wargi, w jakimś nieadekwatnym przypiływie niezrozumiałego poczucia pełni, złożyły się w strofy, których lektury nawet nie pamiętał:

*Do not move*

*Let the wind speak*

*That is paradise*

Po kilku godzinach obudził się z poczuciem dręczącego niepokoju. Słońce lśniło wysoko na niebie. Nadal był obolały, lecz sen go pokrzepił, pomógł odzyskać częściowo energię i siły stracone przez ostatnie dni na rozpaczliwe utrzymywanie się przy życiu. Wyszedłszy spod koca podarowanego przez Marię Ferré, usłyszał wśród ciszy łąki zwielokrotniony i odległy warkot silników i wtedy poznał powód swego zaniepokojenia. Ze skraju łąki, gdzie stanął, kryjąc się bez potrzeby, obserwował przejeżdżającą w oddali długą kolumnę ciężarówek i żołnierzy republikańskich, która zajmowała całą szerokość drogi do Banyoles. W najbliższych dniach nieraz jeszcze miał poczuć groźną bliskość nieprzyjacielskich oddziałów, ale tylko tamtego popołudnia odebrał tę bliskość jak niebezpieczeństwo, wrócił więc do tymczasowego legowiska, wziął koc i pakunek z jedzeniem i ukrył się na granicy lasu. W kryjówce zbudowanej tam nazajutrz z kamieni i gałęzi przesie-



dział niemal bez ruchu większą część następnych trzech dni. Początkowo zajęty był budową, potem przeważnie leżał na ziemi, przysypiając od czasu do czasu. Starał się odzyskać siły, bo w każdej chwili mógł ich znowu potrzebować, i odtwarzał w pamięci każdy zapomniany szczegół wojennej przygody, nade wszystko zaś wyobrażał sobie, jak będzie o niej opowiadał, gdy już doczeka się wybawienia przez swoich: własna niecierpliwość kazała mu widzieć to wybawienie jako bardzo odległe, logika faktów natomiast podpowiadała, że jest coraz bliższe. Z nikim nie rozmawiał, jeżeli nie liczyć Marii Ferré i jej ojca, choć i z nimi zamieniał tylko kilka słów, gdy przynosili mu po ciemku jedzenie do stogu siana. Tylko jednego wieczoru, zaproszony przez starego na wspólną kolację do domu, rozmawiał tam także z dwoma deserterami z oddziałów republikańskich, znajomymi rodziny, którzy posilali się i ogrzewali przy ogniu przed dalszą drogą w stronę Banyoles. Od nich dowiedział się, że tego ranka oddziały frankistowskie wkroczyły do Gerony.

Następny dzień upłynął spokojnie; a kolejny przyniósł zdecydowaną zmianę. Sánchez Mazas wstał o wschodzie słońca, jak co rano, wziął pakunek z jedzeniem, przyniesiony mu z Mas Borrell, i ruszył w stronę Mas de la Casa Nova. Przechodząc przez wyschnięty strumień, potknął się i upadł. Nie zrobił sobie krzywdy, stłukł jednak okulary. W normalnych okolicznościach fakt ten rozzłościłby go, teraz nato-

miast wprawił go w prawdziwą rozpacz: był krótkowidzem ze znaczną wadą i bez szkieł postrzegał świat dookoła jako mozaikę niewyraźnych plam. Usiadł na ziemi i trzymając w ręku potłuczone okulary, przeklinał własną głupotę, mało brakowało, a rozpląkałby się z wściekłości. Wreszcie wziął się w garść, przeszedł na czworakach przez koryto strumienia, a potem, po omacku i na pamięć, kierując się nawykami wyrobionym w ostatnich dniach, ruszył w stronę łąki.

Wtedy właśnie dobiegł go okrzyk „Stać!” Stanął jak wryty i instynktownie podniósł ręce do góry: w odległości jakichś piętnastu metrów, na niewyraźnym tle zielonego lasu, z trudnością dojrzał trzy rozmazane postacie, które powoli i nieufnie zaczęły się do niego zbliżać. Gdy podeszły bliżej, Sánchez Mazas zauważył, że to żołnierze republikańscy, wszyscy trzech bardzo młodzi. Mierzyli do niego z dwóch długich pistoletów kalibru dziewięć milimetrów, byli tak samo zdenerwowani i przestraszeni jak on, ich obszarpany wygląd i niejednakowe mundury skłoniły go do przypuszczenia, że to dezercerzy. Nie miał jednak czasu pomyśleć, jak mógłby się tego dowiedzieć, bo ten, który wydawał się im przewodzić, przez następne pół godziny poddawał go pełnemu napięciu, niedopowiedzeń i podejrzliwości przesłuchaniu, aż wreszcie Sánchez Mazas doszedł do wniosku, że to przypadkowe spotkanie, w chwilę po tym, jak stłukł sobie okulary, może być tylko podarunkiem od losu,

i stawiając wszystko na jedną kartę, przyznał, że od sześciu dni ukrywa się w lesie w oczekiwaniu na nadejście wojsk frankistowskich.

To wyznanie rozwiało wszystkie wątpliwości. Trzej żołnierze, choć ich problemy dopiero się rozpoczęły, tkwili w lesie w tym samym celu, co Sánchez Mazas. Dwaj z nich, Pere i Joaquim Figuerasowie, byli braćmi, trzeci nazywał się Daniel Angelats. Pere był z nich najstarszy i najbardziej inteligentny. Jako dorastający chłopak nie zdołał przekonać ojca – nie zawsze uczciwego, lecz bardzo szanowanego w Cornellà de Terri kupca – aby opłacił jego studia prawnicze w Barcelonie, i dlatego musiał zostać na wsi i pomagać rodzinie w prowadzeniu sklepiku z czosnkiem, ale dzięki zamiłowaniu do książek, które czytał zachłannie od dzieciństwa, wypożyczając je najpierw ze szkolnej biblioteki, a potem z Ludowego Ośrodka Kultury, wyćwiczył umysł i zyskał poziom wiedzy o wiele wyższy niż przeciętny. Zbiorowy entuzjazm wywołany proklamowaniem Republiki skłonił go do zainteresowania się polityką, ale dopiero po wydarzeniach października trzydziestego czwartego roku stał się czynnym działaczem Esquerra Republicana de Catalunya, a pucz wojskowych latem trzydziestego szóstego roku zastał go w koszarach piechoty w Pedralbes, gdzie kończył właśnie służbę wojskową. Dziewiętnastego lipca obudzono go wcześniej niż zwykle, podano całkiem niestosowną w porze śniadania porcję koniaku i zakomuni-

kowano, że przemaszeruje rano przez Barcelonę, by uczcić Ludową Olimpiadę; nie minęło jednak południe, gdy z całym uzbrojeniem i wyposażeniem, wraz z innymi żołnierzami z oddziału, przystał do grupy robotników-anarchistów, którzy na jednej z centralnych ulic miasta wezwali żołnierzy, by do nich dołączyli. Przez całe popołudnie i wieczór owego straszliwego poniedziałku walczył w szeregach anarchistów, by zdusić rebelię wojskowych, a w następnych dniach, ogarnięty rewolucyjną gorączką i rozjątrzony asekuranctwem i niezdecydowaniem władz Generalitat, dał się porwać wyzwolńczemu impetowi oddziału Durrutiego i ruszył wraz z nim, żeby odbić Saragossę. Ani upojenie zwycięstwem nad puczystami, ani ideowe rozgorączkowanie wyniesione z licznych lektur nie pozbawiły go jednak poczucia zdrowego rozsądku, charakterystycznego dla katalońskiego chłopca, szybko więc zorientował się, że popełnia błąd. Kolejne zdarzenia utwierdziły go w przekonaniu, że nie wygrywa się wojny przy pomocy pełnych entuzjazmu amatorów, przy pierwszej nadarzącej się okazji wstąpił zatem do regularnego wojska republikańskiego. Walczył w jego szeregach w Miasteczku Uniwersyteckim w Madrycie i w Maestrazgo, wreszcie w maju trzydziestego ósmego roku zbłąkana kula raniła go w udo, skazując na wielomiesięczną rekonwalescencję, początkowo w prowizorycznych szpitalach polowych, potem w szpitalu wojskowym w Geronie. Tam, pośród apokaliptycznego zamiesza-

nia panującego w mieście w dniach wycofywania się wojska, odnalazła go matka. Choć Pere Figueras skończył właśnie dwadzieścia pięć lat, był już w owym czasie starym, zmęczonym i pozbawionym złudzeń człowiekiem, poruszał się trochę niepewnie, ale przestał utykać, mógł więc wrócić z matką do domu. Ku jego zdziwieniu w Can Pigem oprócz sióstr czekał na niego brat Joaquim i Daniel Angelats: tego ranka w Geronie wykorzystali panikę spowodowaną trafieniem bomby w fabrykę Grobera, przy której stanął ich oddział, aby zatankować benzynę, i zmyliwszy czujność komisarza politycznego swojej kompanii, uciekli uliczkami starej części miasta w kierunku Cornellà de Terri. Joaquim i Angelats poznali się dwa lata wcześniej, gdy jako dziesięcioletkowie zostali wcieleni do wojska i, po trzymiesięcznym szkoleniu wojskowym w sanktuarium w Collell, wysłano ich na front aragoński w szeregach Brygady Garibaldi. Dzięki swemu nieobeznaniu z wojskiem uniknęli wielu nieprzyjemności, bo właśnie brak doświadczenia i fakt, że wyglądali na niedojrzałych do walki wyrostków, zdecydowały o natychmiastowym odesłaniu ich na tyły – początkowo do Binéfar, potem do Barcelony, wreszcie do Vilanovy i la Geltrú, gdzie zostali wcieleni do nadmorskiego batalionu artylerii, składającego się w większości z rannych i kalek, i tam przez kilka miesięcy bawili się tylko w wojnę. Kiedy jednak Republika zrozumiała, że na brzegach Ebro ważą się jej losy, nawet takich

wyrostków posłano na front i kazano im w desperackiej walce, za pomocą starych i niesprawnych dział, powstrzymać ofensywę wojsk frankistowskich. Po przełamaniu frontu przez frankistów rozpoczęła się bezładna ucieczka: wzdłuż całego wybrzeża Morza Śródziemnego obszarpane niedobitki wojska republikańskiego wycofywały się w nieładzie w kierunku granicy, nękane ciągłymi atakami niemieckich samolotów i zagrożone manewrami oskrzydłającymi oddziałów Yagüe, Solchagi i Gambary, którzy raz za razem zamykali w okrążeniu (z jedyną drogą ucieczki w stronę otwartego morza) setki jeńców przerażonych wrzaskami służących w armii frankistowskiej Marokańczyków. Pozbawieni już jakichkolwiek przekonań politycznych, wygłodzeni, pokonani i wycieńczeni wojną, nie godząc się na agonię wygnania, przekonani przez frankistowską propagandę, że jeśli tylko nie mają rąk splamionych krwią, nie muszą się obawiać zwycięzców, którzy pragną przecież odbudować zburzony przez Republikę porządek, Figueras i Angelats chcieli już tylko ocalić własną skórę, uniknąć spotkania z nieobliczalnymi Marokańczykami i przy pierwszej okazji, wrócić do domów, by tam czekać nadejścia frankistów.

Tak też postąpili. Gdy po południu dotarli do gospodarstwa Figuerasów, zdarzyło się jednak coś, co przekonało ich, że dom położony przy drodze do Banyoles i naprzeciwko stacji kolejowej nie jest bezpiecznym schronieniem dla dezerterów. Nie zdją-

wszy nawet żołnierskich mundurów, siedzieli właśnie przy stole i, zasypywani pytaniami przez rodzinę, jedli posiłek razem z Pere Figuerasem, starając się zaspokoić wielodniowy głód, kiedy usłyszeli warkot motorów zatrzymujących się przed Can Pigem. Według słów Joaquina Figuerasa to matka, wyczuwając grożące im niebezpieczeństwo, kazała całej trójce wbiec na piętro i schować się pod wielkim małżeńskim łóżem w sypialni. Stamtąd słyszeli walenie do drzwi, nieznajome głosy dochodzące z jadalni, w której matka zdążyła zebrać ze stołu naczynia, a potem odgłos wojskowych butów na schodach i w korytarzu na piętrze, wreszcie w sypialni. Były to dwie pary butów: jedne, podarte i zakurzone, zatrzymały się w progu, drugie, stare, lecz niedawno wypolerowane, trzymające jeszcze wojskowy fason, postukały obcasami po wyłożonej terakotą podłodze, a w końcu bracia Figueras i Angelats, wstrzymując oddech pod łóżkiem, usłyszeli łagodny, lecz nawykły do wydawania rozkazów głos proszący o przygotowanie sypialni, by można w niej było spędzić noc. Gdy znów zostali sami, podjęli bez słowa jedyną możliwą decyzję i wiedzeni instynktownym przekonaniem, że tylko szybkie działanie może zrównoważyć oczywistą zuchwałość planowanego manewru, wyskoczyli z kryjówki i nie rozglądając się na boki i starając się, by nie zdradziła ich nerwowość pośpiesznych ruchów, zeszli po schodach, przeszli przez kuchnię i minęli podwórze i drogę, chronieni

anonimowością swych mundurów, dzięki którym wyglądali tak samo jak żołnierze kręcący się wokół domu w oczekiwaniu na posiłek albo odpoczywający i porządkujący swój ekwipunek z pełnym rezygnacji spokojem przyszłych wygnańców.

Od tego popołudnia bracia Figueras i Angelats zaczęli ukrywać się w lesie. Bez wątpienia nie było to dla nich takie trudne jak dla Sancheza Mazasa: byli młodzi, uzbrojeni, znali okolicę, znali wielu ludzi w tej okolicy, poza tym gdy oddział republikański następnego dnia opuścił Can Pigem, matka Figuerasów zaczęła regularnie zaopatrywać ich obficie w jedzenie, przyniosła też ubranie. Za dnia siedzieli w lesie, niedaleko Cornellà de Terri i drogi do Banyoles, śledząc uważnie ruchy wojsk, a nocą spali w opuszczonym spichlerzu opodal Mas de la Casa Nova. Aż trudno uwierzyć, że natknęli się na Sancheza Mazasa dopiero po trzech dniach, odkąd zamieszkali (to czasownik nieco na wyrost) w pobliżu Mas de la Casa Nova, bo znaleźli się tam tego samego dnia. Tak jednak było. Sześćdziesiąt lat później zarówno Joaquim Figueras, jak i Daniel Angelats pamiętali nadal z całkowitą jasnością tamten ranek, gdy zobaczyli go po raz pierwszy: trzask łamanych gałęzi, który obudził ich czujność w leśnej ciszy, a potem rosła postać ślepcy, w zimowej kurtce z barankowym kołnierzem i ze stłuczonymi okularami w ręce, szukająca po omacku wyjścia z kamienistego i krętego koryta rzeczki. Pamiętali też chwilę, w której zatrzy-



mali nieznanego, mierząc do niego z pistoletów, oraz ciągnące się w nieskończoność minuty niepewności i podejrzeń, kiedy to zarówno oni, jak i Sánchez Mazas – którego zachowanie podczas tej pierwszej rozmowy i przesłuchania zmieniło się nie wiedzieć kiedy z błagalnie tchórzliwego w pewne siebie i niemal paternalistyczne, właściwe komuś, kto góruje nad rozmówcą nie tylko wiekiem, lecz także inteligencją i sprytem – starali się odgadnąć intencje drugiej strony. Gdy się przekonali, że nic im nie grozi, Sánchez Mazas przedstawił się, oferując im ogromną nagrodę, jeżeli pomogą mu przekroczyć linię frontu. Joaquim Figueras i Daniel Angelats zgadzają się także co do innej sprawy: gdy Sánchez Mazas wyjawiał swoje nazwisko, Pere Figueras od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Ten zadziwiający na pozór fakt wcale nie jest niewiarygodny: od wielu lat Sánchez Mazas był znany w całej Hiszpanii jako pisarz i jako polityk i chociaż Pere Figueras opuścił rodzinną wioskę tylko po to, żeby walczyć w obronie Republiki, to bardzo możliwe, że widział wcześniej w prasie jego nazwisko i zdjęcie i czytał jego artykuły. Jakkolwiek było, Pere – samozwańczy dowódca całej trójki – odpowiedział, że wprawdzie nie mogą przeprowadzić go na drugą stronę, lecz proponują, by pozostał z nimi aż do nadejścia frankistów. Ukryty, czy też oczywisty, sens tego układu był następujący: teraz oni będą go chronić własnymi pistoletami, własną młodością, znajomością okolicy i jej miesz-

kańców, a potem on im zapewni opiekę, jako dostojnik nowego reżimu. Była to propozycja nie do odrzucenia i wprawdzie Joaquim trochę początkowo oponował przeciwko temu, by w tych niepewnych dniach brać sobie na głowę na pół ślepego mężczyznę, argumentując, że gdyby wpadli z nim w ręce żołnierzy republikańskich, ci postawiliby ich niechybnie pod ścianą i rozstrzelali, jednak koniec końców podporządkował się decyzji brata.

Od tamtej chwili życie trzech dezertków nie zmieniło się w istotny sposób, jeśli nie liczyć faktu, że dzielili teraz na czterech przynoszone przez matkę Figuerasów jedzenie i we czterech też spali w opuszczonym spichlerzu opodal Mas de la Casa Nova, ponieważ uznali, że tak będzie bezpieczniej, niż gdyby Sánchez Mazas miał wracać na noc do stogu siana przy Mas Borrell. To dziwne (a może właśnie nie: może zapomnienie najbardziej żarłocznie pochłania decydujące chwile w życiu), że ani Joaquim Figueras, ani Daniel Angelats nie zachowali wyraźnego wspomnienia tamtych dni. Figueras, który ma sprawną, lecz chaotyczną pamięć i często gubi się w meandrach przeszłości, przypomina sobie, że spotkanie z Sanchezem Mazasem wyrwało ich na chwilę z codziennej monotonii, bo nowy znajomy opowiedział im ze szczegółami i uroczystym tonem (wówczas ten ton wywarł na nim wielkie wrażenie, chociaż z czasem uznał go za odrobinę afektowany) swoją wojenną przygodę. Pamięta jednak także, że gdy oni ze swej

strony opowiedzieli o sobie – w sposób niewątpliwie bardziej zwięzły i bezpośredni – ogarnęło ich ponownie nerwowe i niecierpliwe znużenie poprzednich dni. Przynajmniej jego i Daniela Angelatsa. Joaquim Figueras przypomina sobie bowiem równie dobrze, że gdy on sam i Angelats znowu próbowali zabić czas, jego brat Pere i Sánchez Mazas prowadzili niekończące się rozmowy, siedząc oparci o pień dębu na skraju lasu. Miał ich wciąż przed oczami: siedzą bezwolni, z wielodniowym zarostem, opatuleni, w miarę upływu czasu ich kolana przesuwają się coraz wyżej, a głowy coraz niżej, wreszcie siedzą niemal tyłem do siebie, paląc pokruszony tytoń albo strugając gałązki, zwracają się w swoją stronę od czasu do czasu, chociaż na siebie nie patrzą i, oczywiście, nigdy się nie uśmiechają, jakby żadnemu z nich nie zależało na zgodzie czy przekonaniu rozmówcy, lecz tylko na upewnieniu się, że słowa nie trafiają w pustkę. Nigdy się nie dowiedział, o czym rozmawiali, może zresztą nie chciał się dowiedzieć; wiedział, że tematem nie była polityka ani wojna, pewnego razu powziął podejrzenie (nie mając szczególnych podstaw po temu), że rozmawiają o literaturze. Prawdą jest, że Joaquim Figueras, który nigdy nie miał dobrych relacji z Pere (nieraz naśmiewał się z niego przy innych, ale w skrytości ducha zawsze czuł wobec niego podziw), odkrył – z ukłuciem zazdrości w sercu – że Sánchez Mazas zdołał w kilka godzin zdobyć sobie przyjaźń brata, o którą on zabiegał na próżno

przez całe życie. Co się tyczy Angelatsa, obdarzonego bardziej zawodną pamięcią, jego wspomnienia nie przeczą słowom nadal bliskiego mu przyjaciela sprzed lat, co najwyżej uzupełniają je różnymi anegdotycznymi szczegółami (Angelats pamięta na przykład, że Sánchez Mazas zapisywał coś małym ołówkiem w notesie w ceratowej okładce ciemnozielonego koloru, co może dowodzić, że dziennik pisarza powstawał równoległe z opisywanymi w nim zdarzeniami) oraz pewną reminiscencją, która chyba do takich nie należy. Często się zdarza, że starzy ludzie, znajdując się o krok od całkowitej utraty pamięci, wyraźniej widzą jakieś popołudnie ze swego dzieciństwa niż zdarzenie sprzed kilku godzin. Podobnie było z pamięcią Angelatsa – w tym konkretnym przypadku przechowała obfitość detali. Nie wiem, czy czas ubarwił tę scenę kolorami powieści; choć nie mogę być tego pewny, skłaniam się ku przekonaniu, że nie, ponieważ wiem, że Angelats jest człowiekiem bez wyobraźni; nie przychodzi mi też do głowy żadna korzyść, jaką mógłby odnieść – on, człowiek chory i zmęczony, któremu nie zostało już wiele lat życia – z wymyślenia takiej sceny.

Scena jest następująca:

Drugiej nocy, którą spędzali we czterech w spichlerzu, Angelatsa obudził jakiś szmer. Poderwał się gwałtownie i zobaczył Joaquima Figuerasa śpiącego spokojnie obok siebie na sianie pod kocem. Nie było Pere i Sancheza Mazasa. Miał już wstać (a może obu-

dzić Joaquina, mniej tchórzliwego albo bardziej zdecydowanego niż on), gdy usłyszał ich głosy i zrozumiał, że to one go obudziły. Mówili szeptem, lecz słyszał ich dobrze w niezmaconej niczym ciszy. Siadzieli na drugim końcu spichlerza, bo tuż nad ziemią, obok półotwartych drzwi Angelats dostrzegł dwa żarzące się w ciemnościach papierosy. Pomyślał, że Pere i Sánchez Mazas wyszli ze wspólnego dla całej czwórki legowiska w sianie, żeby wypalić bezpiecznie papierosa, zastanowił się, która może być godzina, i przypuszczając, że Pere i Sánchez Mazas już pewnie dłuższą chwilę nie śpią i rozmawiają, znowu się położył i chciał zasnąć. Sen jednak nie przychodził. Rozbudzony zaczął chwycić wątek rozmowy – początkowo bez specjalnego zainteresowania, tylko w oczekiwaniu na sen – rozumiał słowa, które słyszał, nie rozumiał jednak ich znaczenia ani intencji. Potem wszystko się zmieniło. Usłyszał, jak Sánchez Mazas niskim, nieco chrapliwym głosem opowiada niespiesznie o dniach spędzonych w Collell, o godzinach, o minutach, o zdumiewających sekundach poprzedzających jego egzekucję i o tych, które nastąpiły potem; Angelats znał tę historię, ponieważ Sánchez Mazas opowiedział ją pierwszego ranka po ich spotkaniu, teraz jednak – może z powodu nieprzeniknionej ciemności spichlerza i starannego doboru słów, co przydawało zdarzeniom realności – słuchał jej, jakby dopiero ją poznawał, albo jakby nie tyle jej słuchał, ile ją ponownie przeżywał, pełen wy-

czekiwania, ze ściśniętym sercem, może z odrobiną niedowierzania, bo też po raz pierwszy – Sánchez Mazas nie wspomniał o tym poprzednio – ujrzał, jak żołnierz stoi na skraju zagłębienia, w strugach deszczu, wysoki, silny i przemoczony do suchej nitki, jak patrzy na Sancheza Mazasa szarymi, a może zielonkawymi oczami spod wygiętych, gęstych brwi, ma zapadnięte policzki i wystające kości policzkowe, jego postać rysuje się wyraźnie na tle ciemnej zieleni sosen i ciemnoniebieskich chmur, trochę dyszy, wielkimi dłońmi trzyma kurczowo brunatnoszary karabin, ubrany jest w polowy mundur ściągnięty pasem, wypłowieły od słońca i wiatru. Był bardzo młody, usłyszał Angelats słowa Sancheza Mazasa. W twoim wieku, może młodszy, chociaż miał rysy i wyraz twarzy dorosłego mężczyzny. Kiedy na mnie patrzył, przez chwilę wydało mi się, że wiem, kto to jest; teraz jestem pewny, że wiem. Zapadła cisza, jakby Sánchez Mazas czekał na pytanie Pere, które nie nastąpiło. Angelats ledwie dostrzegł przy drzwiach spichlerza dwa żarzące się punkciki; jeden z nich na chwilę rozbłysnął i oświetlił twarz Pere łagodnym czerwonym blaskiem. Nie był karabinierem, nie był też, oczywiście, agentem SIM-u, podjął wątek Sánchez Mazas. W przeciwnym razie nie siedziałbym tu teraz. Nie, był zwykłym żołnierzem. Jak ty. Albo jak twój brat. Jednym z tych, którzy nas pilnowali, gdy wychodziliśmy na spacer do ogrodu. Od razu zwróciłem na niego uwagę i myślę, że on też zwrócił uwa-

gę na mnie, albo tak mi się przynajmniej teraz wydaje, bo nigdy nie zamieniliśmy przecież ani słowa. Zwróciłem na niego uwagę, tak jak i wszyscy moi towarzysze, bo ilekroć spacerowaliśmy po ogrodzie, on zawsze siedział na ławce i coś sobie podśpiewywał, modne szlagiery i tym podobne rzeczy, a któregoś popołudnia wstał z ławki i zaczął śpiewać *Westchnienie za Hiszpanią*. Znasz to? Jasne, powiedział Pere. To ulubione paso doble Liliany, powiedział Sánchez Mazas. Mnie wydaje się bardzo smutne, ale ją nogi same niosą do tańca, gdy tylko usłyszy pierwsze takty. Tańczyliśmy to tyle razy... Angelats zobaczył, że czubek papierosa Sancheza Mazasa rozżarzył się i gwałtownie zgasł, a potem usłyszał jego chrapliwy i niemal ironiczny głos brzmiący nieco głośniej i w nocnej ciszy rozpoznał melodię i słowa paso doble, i nagle bardzo zachciało mu się płakać, ponieważ te słowa i muzyka wydały mu się raptem najsmutniejsze na świecie i ujrzał w nich, jak w lustrze, swą nieudaną młodość i czekającą go żalosną przyszłość: „Zapraǳnął Bóg, w swej wszechmocy, / stopić cztery promyki słońca / i stworzyć z nich kobietę. / Tak oto, by wola jego się wypełniła, / urodziłam się w ogrodzie Hiszpanii, / jako kwiat w różanym klombie. / O, szczęśliwa ziemio mej miłości, / błogosławiona ziemio woni i namiętności, / Hiszpanio, u twych stóp / wzdycha tęsknie serce. / I czuję śmiertelny ból, / bo oddalam się, Hiszpanio, od ciebie, / bo wyrrywają mnie z klombu róż”. Sánchez Mazas przestał nucić. Znasz całą?, spytał Pere. Co takiego?,

spytał Sánchez Mazas. Piosenkę, odpowiedział Pere. Mniej więcej, odpowiedział Sánchez Mazas. Znowu zapadła cisza. No, tak, powiedział Pere. I co dalej z tym żołnierzem? Nic, powiedział Sánchez Mazas. Tyle że zamiast siedzieć na ławce i nucić coś jak zwykle pod nosem, tamtego popołudnia zaczął śpiewać na głos *Westchnienie za Hiszpanią* i z uśmiechem, jakby dawał się porwać jakiejś niewidzialnej sile, wstał i ruszył do tańca po ogrodzie z przymkniętymi oczami, obejmując karabin w taki sam sposób i równie delikatnie jak kobietę, a ja i moi towarzysze, i pozostali pilnujący nas żołnierze, a nawet karabinierzy wpatrywaliśmy się w niego bez słowa, smutni lub rozbawieni, ale wszyscy w kompletnej ciszy. On tymczasem posuwał ciężkimi, wojskowymi butami po usłanym petami i resztkami jedzenia żwirze, jakby tańczył w baletkach po nieskazitelnym parkiecie sceny, a potem, nim skończył tańczyć piosenkę, ktoś go zawołał, żartując z niego, i wtedy jakby czar nagle przysł, wielu roześmiało się albo uśmiechnęło, wszyscy zaczęliśmy się śmiać, więźniowie i strażnicy. Myślę, że śmiałem się wtedy po raz pierwszy od bardzo dawna. Sánchez Mazas umilkł. Angelats poczuł, że Joaquim przewrócił się z boku na bok, i zastanowił się, czy on też słucha rozmowy, ale chrapliwy, równy oddech kolegi przekonał go, że to niemożliwe. I to wszystko?, spytał Pere. Tak, to wszystko, odpowiedział Sánchez Mazas. Chyba tak. Jak się nazywał?, spytał Pere. Powiedziałeś, że ktoś zawołał go po imieniu. Nie wiem, odpo-



wiedział Sánchez Mazas. Może nie dosłyszałem. Albo usłyszałem i od razu zapomniałem. Ale to był on. Zastanawiam się, dlaczego mnie nie wydał, dlaczego pozwolił mi uciec. Zadawałem sobie to pytanie już wiele razy. Znowu zamilkli i tym razem Angelats poczuł, że milczenie jest głębsze i dłuższe, więc pomyślał, że rozmowa dobiegła końca. Przyglądał mi się przez chwilę, stojąc na skraju dołu, ciągnął Sánchez Mazas. Dziwnie na mnie patrzył, nikt nigdy nie patrzył na mnie w taki sposób, jakby znał mnie od bardzo dawna, nie pamiętał, jak się nazywam, i usiłował sobie przypomnieć, albo tak jak spogląda entomolog, zastanawiając się, czy ma przed sobą okaz nieznanego owada, albo jak ktoś, kto na próżno stara się odgadnąć z kształtu chmury jakąś niemożliwą do uchwycenia, bo ulotną tajemnicę. Ale nie: w gruncie rzeczy spoglądał na mnie... radośnie. Radośnie?, zdziwił się Pere. Tak, odpowiedział Sánchez Mazas. Wesoło. Nie rozumiem, powiedział Pere. Ani ja, powiedział Sánchez Mazas. A zresztą, dodał po chwili, sam nie wiem. Chyba plotę głupstwa. Musi być bardzo późno, powiedział Pere. Lepiej postarajmy się zasnąć. Tak, powiedział Sánchez Mazas. Angelats poczuł, że podnoszą się, kładą się na sianie obok siebie, obok Joaquima, i poczuł też (a może wyobraził to sobie), że – podobnie jak on – na próżno starają się zasnąć, przewracają się pod kocami, niezdolni uwolnić się od piosenki, która obudziła w nich wspomnienia, ani od obrazu owego

obejmującego karabin żołnierza, tańczącego w jej rytm wśród cyprysów i więźniów, w ogrodzie sanktuarium w Collell.

To była noc z czwartku na piątek. W piątek nadeszli frankiści. Od wtorku ciągnęły nieprzerwanie ostatnie kolumny wojskowe i rozbrzmiewały wybuchy. To republikanie – wysadzając w powietrze mosty, przerywając łączność – usiłowali zabezpieczyć sobie odwrót. Dlatego Sánchez Mazas oraz jego trzech towarzysze przez całe piątkowe przedpołudnie ze swojego punktu obserwacyjnego na skraju łąki śledzili niecierpliwie, co dzieje się na drodze, aż wreszcie, wczesnym popołudniem, dostrzegli oddziały zwiadowcze frankistów. Ogarnęła ich wielka radość. Nim ruszyli na spotkanie wyzwolicieli, Sánchez Mazas przekonał jednak swych towarzyszy, by poszli razem do Mas Borrell, ponieważ chciał podziękować Marii Ferré i jej rodzinie. W Mas Borrell zastali ojca i matkę Marii Ferré, ale dziewczyny nie było. Maria Ferré dobrze pamięta, że tamtego dnia, z miejsca niezbyt odległego od kryjówki Sancheza Mazasa i jego towarzyszy, również przyglądała się marszowi pierwszych oddziałów frankistowskich i że po krótkiej chwili przybiegła sąsiadka z wiadomością od rodziców, żeby wracała do domu, bo są u nich żołnierze. Trochę zaniepokojona Maria ruszyła w stronę domu razem z sąsiadką, ale uspokoiła się, gdy ta dodała, że wśród żołnierzy są chłopcy z Can Pigem. Choć z Pere i Joaquimem nie zamieniła nigdy wię-

cej niż kilka słów, znała ich od zawsze, i gdy tylko dostrzegła młodszego z Figuerasów na podwórzu domu, rozmawiającego z Angelatsem, od razu go poznała. W kuchni siedzieli Pere i Sánchez Mazas z jej rodzicami. Sánchez Mazas uściskał ją z radością, podniósł do góry i ucałował. Potem opowiedział rodzinie Ferré, co działo się przez te dni, kiedy nie dawał znaku życia; nie posiadał się z wdzięczności i podziwu dla Angelatsa i braci Figuerasów. Wreszcie powiedział:

- Teraz są moimi przyjaciółmi. - Nie pamiętają tego Maria ani Joaquim Figueras, ale pamięta Angelats. Według niego to właśnie wtedy Sánchez Mazas po raz pierwszy wypowiedział słowa, które miał w nadchodzących latach powtarzać wielokrotnie. W pamięci chłopców będą pobrzmiewać sekretnym hasłem przygody. - „Przyjaciółmi z lasu”. - A potem, wedle słów Angelatsa, dodał uroczyście: - Pewnego dnia napiszę o tym książkę, dam jej tytuł *Żołnierze spod Salaminy*.

Przed odejściem jeszcze raz zapewnił rodzinę Ferré o swej dozgonnej wdzięczności za udzielenie mu pomocy, poprosił, by nie wahali się z nim skontaktować, gdyby uważali, że może im w czymś pomóc, i na wypadek ewentualnych problemów z nowymi władzami opisał zwięźle na kawałku papieru to, co dla niego zrobili. Wręczył im ten papier w charakterze listu żelaznego. Potem wszyscy czterej wyszli, a Maria i jej rodzice, stojąc w furtce na

podwórze, widzieli, jak się oddalają polną drogą w kierunku Cornellà, na przodzie Sánchez Mazas, wyprostowany, jak kapitan na czele radosnych i obzarpanych maruderów zwycięskiego wojska, tuż za nim Joaquim i Angelats, a Pere nieco dalej, niemal przygnębiony, jakby nie udzielała mu się radość pozostałych, lecz jakby starał się usilnie nie zostać z niej wykluczonym. W następnych latach Maria wielokrotnie pisała do Sancheza Mazasa, a on zawsze odpowiadał jej własnoręcznie. Listy od niego nie zachowały się, bo Maria, idąc za radą matki, obawiającej się z jakiegoś powodu, że mogą ją skompromitować, w końcu je zniszczyła. Co się tyczy listów Marii, to pisał je dla niej sekretarz magistratu w Banyoles. Prosiła w nich zawsze o wypuszczenie na wolność aresztowanych krewnych, przyjaciół albo znajomych i uzyskiwała to prawie niezawodnie, co sprawiło, że z upływem lat zaczęła chodzić w nimbie świętej lub dobrej czarodziejki opiekującej się w okręgu ludźmi dotkniętymi nieszczęściem, toteż rodziny zwracały się do niej, szukając pomocy dla licznych ofiar okresu powojennych porachunków, co do którego nikt nie mógł wówczas przypuszczać, że będzie trwał bardzo długo. Wyjąwszy rodzinę, nikt nie wiedział, że powodem owych łask nie był tajemny kochanek Marii ani żadna moc nadnaturalna, którą jakoby zawsze miała posiadać, a dopiero teraz uznała za konieczne wykorzystać, lecz żebrzący o wsparcie uciekinier, któremu pewnego dnia o świcie dała tro-

chę ciepłej strawy i którego od owego lutowego popołudnia, kiedy to odszedł polną drogą w towarzystwie Figuerasów i Angelatsa, nigdy już więcej nie zobaczyła.

Sánchez Mazas zatrzymał się na jakiś czas w Can Pigem w oczekiwaniu na środek transportu, którym mógłby wrócić do Barcelony. Były to bardzo szczęśliwe dni. W niektórych miejscach w Hiszpanii wojna wprawdzie toczyła się nadal, dla niego jednak i dla jego towarzyszy już się zakończyła, a straszne wspomnienia miesięcy niepewności i niewoli oraz bliskości śmierci potęgowały jego radość, podobnie jak świadomość bliskiego spotkania z rodziną i z przyjaciółmi oraz z nowym krajem, do którego ukształtowania tak decydująco się przyczynił. W ramach zabiegów o pozyskanie sobie przychylności nowej władzy – w ramach zabiegów nowej władzy o pozyskanie sobie przychylności ludzi – ten aktywnie republikański okręg uczcił okazale wkroczenie wojsk frankistowskich, organizując biesiady i zabawy ludowe, na których nigdy nie zabrakło Sancheza Mazasa ani jego trzech towarzyszy, nadal noszących mundury czerwonych żołnierzy i uzbrojonych w pistolety kaliber dziewięć, nade wszystko jednak chronionych budzącą postrach obecnością dostojnika, który z lekką ironią, nieodmiennie przedstawiał ich jako swoją straż przyboczną. Ten okres radosnej bezkarności skończył się dla nich w dniu, kiedy porucznik wojsk frankistowskich wpadł rankiem do Can Pigem z wieś-

cią, że w samochodzie, którym rusza właśnie do Barcelony, jest wolne miejsce dla Sancheza Mazasa. Nie mając czasu na pożegnanie się z rodziną Figuerasów i z Angelatsem, Sánchez Mazas wręczył tylko Pere notes w zielonej okładce, gdzie do codziennych zapisków z dni spędzonych w lesie dodał kilka słów o swej dozgonnej wdzięczności dla tych, którzy przyszli mu z pomocą. Joaquim i Daniel Angelats dobrze pamiętają, że ostatnie słowa, jakie do nich skierował, machając na pożegnanie ręką wystawioną przez okno samochodu, który oddalał się drogą do Gerony, brzmiały:

- Kiedyś się zobaczymy!

Ale Sánchez Mazas mylił się: nigdy już nie zobaczył Pere i Joaquima Figuerasów ani Daniela Angelatsa. Daniel Angelats i Joaquim Figueras – owszem, widzieli go, choć on nigdy się o tym nie dowiedział.

Działo się to kilka miesięcy później, w Saragossie. Sánchez Mazas był już wtedy innym człowiekiem niż ten, którego poznali. Uskrzydłony ocaleniem, działał z niespożytą energią: odwiedził Barcelonę, Burgos, Salamankę, Bilbao, Rzym, San Sebastián; wszędzie przyjmowano go życzliwie, cieszą się z jego uwolnienia i akcesu do władz frankistowskiej Hiszpanii jako wydarzenia o wielkim znaczeniu dla przyszłości kraju; wszędzie publikował artykuły, udzielał wywiadów, wygłaszał wykłady, przemówienia i pogadanki radiowe, w których w zawołowany sposób nawiązywał często do wydarzeń ze swego długiego pobytu

w więzieniu i z niezachwianą wiarą oddawał się do dyspozycji nowemu reżimowi. Mimo to, odkąd dzień po wyjeździe z Can Pigem do Barcelony zaczął być częstym gościem w gabinecie Dionisia Ridrueja, szefa Prasy i Propagandy zbuntowanych wojsk, gdzie stale spotykali się starzy i nowi towarzysze z intelektualnej frakcji Falangi, mógł już wyczuć – mimo pełnej triumfalizmu atmosfery braterstwa – obawy i podejrzliwość, jakie wśród zwycięzców zasiały przebiegłość Franco i trzy lata konspiracyjnych spotkań na tyłach wojsk. Mógł wyczuć, ale nie wyczuł, a może nie chciał wyczuć. Można to łatwo wytłumaczyć: bezpośrednio po odzyskaniu wolności Sánchez Mazas podchodził do wszystkiego entuzjastycznie, bo nie mógł sobie wyobrazić, by rzeczywistość Hiszpanii frankistowskiej miała różnić się choćby na jotę od jego pragnień; niektórzy jego starzy towarzysze z Falangi nie podzielali jednak tego optymizmu. Dziewiętnastego kwietnia 1937 roku został wydany Dekret Zjednoczeniowy, czyli dokonano się prawdziwy zamach stanu *à rebours* (jak po latach nazwie to Ridruejo), w następstwie czego wszystkie siły polityczne, które poparły pucz, stały się jedną partią pod przywództwem Generalissimusa. Od tej chwili stara gwardia Falangi zaczęła się już domyślać, że nigdy nie nastąpi wymarzona przez nią rewolucja faszystowska, ponieważ falangistowska doktryna – wybuchowa mieszanka koktajlowa, która, niczym podniecający, demagogiczny amalgamat łączyła w sobie

poszanowanie tradycyjnych wartości z postulatami głębokich przemian struktury społecznej i gospodarczej kraju, a także strach klas średnich przed proletariacką rewolucją z witalnym nietzscheańskim irracjonalizmem wobec mieszczańskiego *vivere cauto* propagującym romantyczne *vivere pericoloso* – miała stać się mętną ideologiczną lurą, o świętoszkowatym, przewidywalnym i konserwatywnym posmaku. Gdzieś koło 1937 roku Falanga, pozbawiona przywództwa wraz ze śmiercią José Antonia, oswojona jako ideologia i rozbita jako niezależny aparat władzy, razem ze swą retoryką i obrzędowością, mogła już być używana przez Franco jako narzędzie upodabniające reżim panujący w Hiszpanii do hitlerowskich Niemiec i Włoch Mussoliniego (od których Franco już otrzymał, otrzymywał i miał nadzieję nadal otrzymywać znaczącą pomoc). Ponadto, tak jak przewidział to dużo wcześniej i jak się tego obawiał José Antonio, Franco mógł wykorzystywać Falangę „jako pomocniczy element uderzeniowy, jako szturmową gwardię reakcji, młodzieżową milicję, która ma defilować przed pyszałkami wyniesionymi do władzy”. Wszystko się sprzysięgło, by osłabić pierwotną organizację, począwszy od tego, że Franco podpierał się nią jak laską, a skończywszy na zasadniczym fakcie, że podczas wojny masowo zasilali jej szeregi nie tylko ludzie podzielający jej ideały, lecz także ci, którzy pragnęli w ten sposób ukryć swą republikańską przeszłość. Starzy członkowie Falangi



(tzw. stare koszule) stawali wcześniej czy później przed dramatycznym wyborem: napiętnować rażąco rozbieżność między ich własnym projektem politycznym a tym wcielaniem w życie przez nowy rząd albo podjąć próbę przystosowania się, jak najmniejszym kosztem, do nowej sytuacji i żywić się okruchami z uczty nowej władzy. Między tymi skrajnymi postawami było oczywiście nieskończenie wiele stanowisk pośrednich, trzeba jednak powiedzieć, że mimo różnych wystąpień krytycznych, zazwyczaj asekuranckich i często wymyślonych po czasie – wyjąwszy Ridrueja, który wiele razy się mylił, ale zawsze był odważny i uczciwy do szpiku kości – niemal nikt otwarcie nie wybrał pierwszego rozwiązania.

Na pewno nie zrobił tego Sánchez Mazas. Ani tuż po wojnie, ani nigdy potem. Ale dziewiątego kwietnia 1939 roku (osiemnaście dni przedtem, nim Pere Figueras i jego ośmiu kolegów z Cornellà de Terri zostało osadzonych w więzieniu w Geronie, i dokładnie w tym samym dniu, w którym Ramón Serrano Súñer – ówczesny minister spraw wewnętrznych, szwagier Franco i główny protektor falangistów w rządzie – przewodniczył zorganizowanej przez siebie uroczystości na cześć Sancheza Mazasa w Saragossie) nie miał jeszcze żadnych poważnych powodów, by podejrzewać, że kraj, który kiedyś chciał budować, nie jest tym samym krajem, który pragnęła budować nowa władza. Tym bardziej nie podejrzewał, że Joaquim Figueras i Daniel Angelats także są w Saragossie.

W rzeczywistości już od miesiąca odbywali tam służbę wojskową. Usłyszeli przez radio, że Sánchez Mazas zatrzymał się w „Gran Hotelu” i wieczorem wygłosi przemówienie do przywódców Falangi w Aragonii. Po trosze z ciekawości, a po trosze wiedzeni nadzieją, że Sánchez Mazas użyje swych wpływów, aby złagodzić surową dyscyplinę obowiązującą szeregowych żołnierzy w koszarach, Figueras i Angelats zjawili się w „Gran Hotelu”, oświadczając portierowi, że są przyjaciółmi Sancheza Mazasa i chcą się z nim zobaczyć. Figueras dobrze pamięta tamtego jowialnego i korpulentnego portiera, ubranego w liberię z niebieskiego sukna ze złożonymi frędzlami i szamerunkiem, które błyszcząły pod kryształowymi żyrandolami we foyer pełnym wchodzących i wychodzących ciągle dostojników w mundurach, a przede wszystkim pamięta jego na pół kpiącą, na pół sceptyczną minę, gdy przyglądał się złachanym mundurom prostych żołnierzy. Na koniec portier poinformował ich, że Sánchez Mazas odpoczywa w pokoju, a on nie jest upoważniony, żeby mu przeszkadzać albo ich wpuścić.

– Możecie tutaj na niego poczekać – zwrócił się do nich, wskazując krzesła z błyskiem okrucieństwa w oku. – Jak się pojawi, przerwiecie kordon falangistów i przywitacie się z nim: jeśli was pozna, to w porządku, ale jeśli nie, to... – z uśmiechem przejechał wskazującym palcem po szyi.

– Poczekamy – przerwał mu z godnością Figueras i pociągnął Angelatsa w stronę krzesel.

Czekali prawie dwie godziny, ale w miarę upływu czasu czuli się coraz bardziej zaniepokojeni ostrzeżeniem portiera, onieśmieleni przepychem hotelu i jego przytłaczającym faszystowskim wystrojem. Kiedy hol wypełnił się niebieskimi koszulami, czerwonymi beretami i zaczął rozbrzmiewać wojskowymi pozdrowieniami, Figueras i Angelats odstąpili od swego zamiaru i postanowili wracać do koszar. Nim jednak zdążyli wyjść z hotelu, zagroził im drogę rząd falangistów ustawiony między schodami i obrotowymi drzwiami wejściowymi, a potem ujrzeni przez chwilę i po raz ostatni w życiu, jak z wystudiowaną, marsową miną kondotiera przesuwają się pośród czerwonych beretów i lasu uniesionych ramion dobrze im znany semicki profil kroczącego teraz w glorii władzy człowieka, który trzy miesiące wcześniej, w łachmanach i bez okularów, zgębiony głodem i strachem, gdzieś na odludziu błagał ich o pomoc i który nigdy już nie będzie mógł odwdziżyć się za tamtą przysługę dwóm ze swoich „przyjaciół z lasu”.

Wygłoszone podczas uroczystości w Saragossie „Wielkosobotnie przemówienie”, w którym Sánchez Mazas żarliwie wzywał swoich towarzyszy falangistów do dyscypliny i ślepego posłuszeństwa wobec Caudilla (niewątpliwie dlatego, że czuł już narastające zniechęcenie), było jednym z wielu jego wystąpień publicznych w owych miesiącach. Ledesma Ramos,

José Antonio i Ruiz de Alda zostali rozstrzelani na początku wojny, Sánchez Mazas był więc najstarszym stażem falangistą pozostałym przy życiu. Wraz z faktem, że przyjaźnił się blisko z José Antoniem i że od początku odgrywał w Falandze decydującą rolę, dawało mu to wielką przewagę nad towarzyszami z partii i kazało Franco traktować go z rewerencją. Caudillo chciał zaskarbić sobie jego lojalność i skłonić do tego, by łagodził napięcia pojawiające się między nim i mniej ugodowymi falangistami. Kulminacyjny moment tej prostej, lecz skutecznej strategii, obliczonej na pozyskanie go i niebędącej niczym innym jak przekupstwem w zamian za wymierne korzyści i pochlebstwa – a trzeba stwierdzić, że w tym procederze Caudillo był niedoścignionym mistrzem, czemu po części zawdzięczał swój tak długi monopol władzy – nastąpił w sierpniu 1939 roku, w chwili formowania pierwszego po zakończeniu wojny rządu. Sánchez Mazas, sprawujący od maja funkcję krajowego delegata Falangi na zagranicę, został w nim mianowany ministrem bez teki. Nie było to, naturalnie, jego jedyne zajęcie lub też nie potraktował tej nominacji bardzo poważnie. W każdym razie sprawował funkcję ministerialną bez uszczerbku dla ponownie w sobie odkrytego powołania literackiego: w owym czasie często zamieszczał artykuły w gazetach i czasopismach, uczestniczył w spotkaniach literackich, czytał publicznie własne teksty, a w lutym 1940 roku, wraz ze swym przyjacielem Eugeniem

Montesem, został wybrany na członka Królewskiej Akademii Języka, jako „orędownik poezji i języka rewolucyjnego Falangi”, według dziennikarza „Abc”. Sánchez Mazas był wprawdzie człowiekiem próżnym, lecz nie był głupi, jego próżność nie przewyższała więc dumy. Wiedząc, że wybór do Akademii zawdzięcza względom politycznym, a nie literackim, nigdy nie wygłosił regulaminowego odczytu związanego z ingresem. Na tę decyzję, którą wszyscy postanowili interpretować, i może nie całkiem bezpodstawnie, jako elegancki gest wzgardy pisarza dla ziemskiej chwały, musiały mieć wpływ różne czynniki. Trudniej byłoby podobnie interpretować – choć zawsze tak czyniono – inne zdarzenie, jedno z tych, którym Sánchez Mazas zawdzięczał towarzyszącą mu aż do śmierci opinię człowieka w arystokratycznym stylu, niezaangażowanego i obojętnego.

Według legendy, powtarzanej przez rozmaite źródła, podczas posiedzenia Rady Ministrów pod koniec lipca 1940 roku Franco, zirytowany ciągłą nieobecnością Sancheza Mazasa na posiedzeniach rządu, powiedział, wskazując na niezmiennie puste krzesło pisarza: „Proszę usunąć stąd to krzesło”. Dwa tygodnie później Sánchez Mazas został zdymisjonowany, czym – znów jak głosi legenda – zbytnio się nie przejął. Przyczyny odwołania nie są jasne. Jedni utrzymują, że Sánchez Mazas nudził się na posiedzeniach Rady Ministrów jak mops, bo jego stanowisko ministra bez teki nie nakładało na niego żadnych

konkretnych obowiązków oraz dlatego, że nie umiał wykrzesać z siebie zainteresowania dla spraw biurokratycznych i administracyjnych, które każdemu politykowi zajmują najwięcej czasu. Inni twierdzą, że to Franco nudził się jak mops, wysłuchując erudycyjnych rozważań Sancheza Mazasa na najbardziej ekscentryczne tematy (przyczyny klęski wojsk perskich pod Salaminą, dajmy na to, albo właściwe użycie hebla), i że dlatego postanowił pozbyć się nieprzydatnego i dziwaczego literata, który pełnił w rządzie właściwie tylko rolę ozdoby. Są i tacy, którzy – szczerze lub kierowani jakimś własnym interesem – przypisują brak zaangażowania Sancheza Mazasa rozczarowaniu falangisty wiernego prawdziwym ideałom partii. Wszyscy zgadzają się co do tego, że kilkakrotnie składał dymisję i że nigdy jej nie przyjmowano, wreszcie został odwołany z powodu powtarzającej się, choć zawsze usprawiedliwianej służbowymi podróżami nieobecności na rządowych posiedzeniach. Jakkolwiek na to spojrzeć, dla Sancheza Mazasa legenda ta jest korzystna, tworzy bowiem obraz człowieka prawego i nieulegającego mirażom władzy. Najprawdopodobniej nie jest prawdziwa.

Dziennikarz Carlos Sentís, w owym czasie osobisty sekretarz Sancheza Mazasa, utrzymuje, że przestał on uczestniczyć w posiedzeniach rządu, ponieważ przestano go o nich zawiadamiać. Jego kłopotliwe i niefortunne wypowiedzi na temat Gibraltaru, a także niechęć, jaką żywił do niego wielce wpływowy wówczas Serrano Súñer, doprowadziły do tego, że

popadł w niełaskę. Moim zdaniem, ta wersja wydarzeń jest wiarygodna, nie tylko dlatego, że Sentís był najbliższym współpracownikiem Sancheza Mazasa przez cały rok jego ministerialnej posady. Wydaje się także sensowne założenie, że Serrano Súñer w gafach popełnianych przez Sancheza Mazasa – który wielokrotnie intrygował przeciwko Suñerowi, by zaskarbić sobie przychylność Franco, podobnie jak wiele lat wcześniej intrygował przeciwko Gimenezowi Caballero, aby zaskarbić sobie przychylność José Antonia – dostrzegł znakomity pretekst, aby pozbyć się człowieka, który, jako najstarszy stażem falangista, mógł zagrozić jego władzy i podważyć autorytet wśród ortodoksyjnych falangistów i u samego Caudilla. Sentís twierdzi, że Sánchez Mazas został po zdymisjonowaniu pozbawiony ministerialnej pensji i zesłany na kilka miesięcy do podmiejskiego osiedla willowego Viso, gdzie miał dom przy ulicy Serrano, kupiony kilka lat wcześniej na spółkę z przyjacielem, komunistą José Bergaminem, należący zresztą nadal do rodziny. Położenie materialne Sancheza Mazasa stawało się chwilami rozpaczliwe, wreszcie w grudniu, gdy bez żadnych wyjaśnień odwołano areszt domowy, postanowił udać się do Włoch i zwrócić się o pomoc do rodziny żony. Przejeżdżając przez Barcelonę, zatrzymał się u Sentisa. Sentís nie pamięta dokładnie tamtych dni ani stanu ducha Sancheza Mazasa, pamięta natomiast, że w dzień Bożego Narodzenia, zaraz po świątecznym posiłku, pisarz

odebrał przez telefon opatrnościową wiadomość: zmarła jego ciotka, Julia Sánchez, zostawiając Sanchezowi Mazasowi w spadku okazały majątek, obejmujący pałac i kilka posiadłości w Corii, w prowincji Cáceres.

„Do tej pory byłeś pisarzem i politykiem, Rafaelu – powiedział mu wówczas Agustín de Foxá. – Teraz jesteś tylko milionerem”. Foxá był pisarzem, politykiem i milionerem, i jednym z niewielu przyjaciół, którzy z czasem nie odsunęli się od Sancheza Mazasa. Był też mądrym człowiekiem i, jak to bywa z mądrymi ludźmi, często miewał rację. Choć po otrzymaniu spadku po ciotce Sánchez Mazas sprawował jeszcze różne funkcje polityczne – poczynając od członka Rady Politycznej Falangi, poprzez przewodniczącego Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum del Prado, a kończąc na deputowanym do Korteżów – były to zawsze stanowiska podrzędne lub dekoracyjne i nie przysparzały mu wielu zajęć. Od połowy lat czterdziestych porzucał je stopniowo, jak ktoś, kto pozbywa się kłopotliwego balastu, a wreszcie wycofał się na dobre z życia publicznego. Nie oznaczało to jednak, by w latach czterdziestych i pięćdziesiątych Sánchez Mazas był w jakimś sensie utajonym przeciwnikiem frankizmu: bez wątpienia gardził pospolitością i przeciętnością reżimu Franco, nie czuł się natomiast w tym systemie niewygodnie ani nie wahał się wygłaszać publicznie żenujących dytyrambów na cześć dyktatora, a jeżeli było trzeba, rów-



nież na cześć jego żony, chociaż w prywatnych rozmowach nie zostawiał na nich suchej nitki, drwiąc z ich głupoty i złego smaku. Nie miał też, oczywiście, wyrzutów sumienia, że sam przyczynił się ochoczo do rozpętania wojny, która położyła kres legalnie ustanowionej republice, nie wprowadzając bynajmniej dyktatury poetów i renesansowych kondotierów, jak to sobie wymarzył, lecz ustanawiając rządy oszustów, prymitywów i dewotów. „Ani niczego nie żałuję, ani nie zapominam” – to słynne zdanie napisał odręcznie na całą szerokość frontyspisu książki *Założenie, organizacja, cel*, zawierającej niektóre z jego najbardziej wojowniczych artykułów na temat idei falangistowskiej, publikowanych w latach trzydziestych w „Arriba” i „F.E.”. Zdanie zostało napisane wiosną 1957 roku, co skłania do zastanowienia. W owym czasie Madryt nie mógł się jeszcze otrząsnąć po pierwszym poważnym kryzysie wewnętrznym frankizmu, będącym wynikiem nieoczekiwanego, lecz w gruncie rzeczy nieuchronnego aliansu dwóch grup, które Sánchez Mazas dobrze znał, bo miał z nimi na co dzień do czynienia. Z jednej strony była to grupa młodych, lewicujących inteligentów – w dużej części członków Falangi rozczarowanych do organizacji – składająca się ze zbuntowanych dzieci najznakomitszych rodzin wspierających reżim, a wśród nich dwóch synów Sancheza Mazasa: pierworodnego Miguela, jednego z przywódców rewolty studenckiej pięćdziesiątego szóstego roku, który w lutym owego

roku miał zostać aresztowany i wkrótce potem opuścić kraj, udając się na długoletnią emigrację, oraz Rafaela, ulubieńca Sancheza Mazasa, autora wydanej właśnie powieści *El Jarama*, w której przekonująco przedstawił poglądy i ideologiczne rozterki młodych dysydentów. Drugą grupę tworzyło kilka tak zwanych starych koszul; wyróżniał się tu przede wszystkim Dionisio Ridruejo, stary przyjaciel Sancheza Mazasa, aresztowany razem z synem pisarza Miguelem i innymi przywódcami studenckimi za protesty antyfrankistowskie poprzedniego roku, i założyciel, w 1957 roku, partii socjaldemokratycznej o nazwie Partia Socjalistyczna Akcji Demokratycznej. Byli zatem w tej grupie falangiści o najdłuższym stażu partyjnym, którzy wprawdzie nie wyparli się swej politycznej przeszłości, ale odczuwali z jej powodu wyrzuty sumienia, a nawet, z większą lub mniejszą determinacją i odwagą, przystąpili do zwalczania stworzonego niegdyś z własną pomocą reżimu. Ani niczego nie żałuję, ani nie zapominam. Goriwe podkreślanie lojalności często maskuje zdradę, są więc tacy, którzy podejrzewają, że Sánchez Mazas napisał to w owym czasie właśnie dlatego, że – podobnie jak niektórzy jego współtowarzysze spod znaku José Antonia – już żałował, przynajmniej częściowo, swych dawnych czynów i usiłował zapomnieć lub przynajmniej starał się zapomnieć częściowo. To hipoteza pociągająca, lecz mało prawdopodobna, jeżeli bowiem pominąć skrywane lekceważenie, jakim obdarzał ludzi reżimu, nie potwierdza jej ani jeden fakt

z jego biografii. „Jeżeli za coś nienawidzę komunistów, ekscelencjo, to za to, że zmusili mnie, żebym został falangistą” – powiedział kiedyś Foxá do Franco. Sánchez Mazas nigdy nie wygłosiłby takiego – pełnego pogardy i bardzo przecież ironicznego – zdania, a już z pewnością nie w obecności generała. Nie ma jednak cienia wątpliwości, że zdanie to jest prawdziwe również w jego przypadku. Może Sánchez Mazas zawsze tylko udawał falangistę lub też – jeśli ktoś woli – był falangistą z przymusu, może zresztą wszyscy falangiści tylko udawali falangistów lub byli falangistami z przymusu, bo w gruncie rzeczy nigdy do końca nie uwierzyli, że ich ideologia jest czymś więcej niż desperackim środkiem zaradczym w czasach ogólnego zagubienia, narzędziem potrzebnym do spowodowania, by coś zmieniło się po to, żeby nic się nie zmieniło. Chcę powiedzieć, że gdyby nie dostrzegali – podobnie jak wielu jego towarzyszy – żadnego niebezpieczeństwa zagrażającego marzeniom o błogim mieszczańskim szczęściu jego bliskich, Sánchez Mazas nigdy nie upadłby tak nisko, by zająć się polityką, ani nie stałby się autorem płomiennych retorycznych okresów, które miały zagrzać do zwycięskiego boju ów pluton żołnierzy odpowiedzialny za ocalenie cywilizacji. To prawda, że cywilizację Sánchez Mazas utożsamiał z hierarchią, gwarancjami ładu i przywilejami obowiązującymi w jego świecie, a w falangistach widział owych żołnierzy Spenglera. Prawdą jest także, że czuł się dumny z przynależności do tego

plutonu, a może i uprawniony do zasłużonego odpoczynku, gdy zagrożona hierarchia, gwarancje i przywileje zostały przywrócone. Dlatego należy wątpić, by chciał cokolwiek zapomnieć, i na pewno niczego nie żałował. W istocie nie można więc powiedzieć, żeby w okresie powojennym Sánchez Mazas był politykiem. W pierwszej chwili sporne wydaje się natomiast twierdzenie, wypowiedziane przez bystrogo Foxę, jakoby nie był już także pisarzem. Trudno bowiem zaprzeczyć: w tym czasie, w miarę jak ograniczał działalność polityczną, nasilał aktywność literacką. W ciągu dwudziestu powojennych lat światło dzienne ujrzały powieści, opowiadania, eseje i niezliczone artykuły, opublikowane w „Arriba”, w „La Tarde” i „Abc”. Niektóre z tych artykułów są tak błyskotliwe, że stanowią istne perełki sztuki dziennikarskiej. Podobnie wydane w owych latach książki, takie jak *La vida nueva de Pedrito de Andía* (1951) i *Las aguas de Arbeloa y otras cuestiones* (1956), należą do najlepszych w całym jego dorobku. Wszystko to prawda, ale chociaż od połowy lat czterdziestych do połowy lat pięćdziesiątych zajmował w hiszpańskiej literaturze ważną pozycję, nigdy nie zadał sobie trudu, żeby zrobić karierę literacką (wysiłek taki, podobnie jak robienie kariery politycznej, wydawał mu się zawsze niegodny dżentelmena), i w miarę upływu czasu coraz zreźniej uprawiał subtelną sztukę ukrywania się, do tego stopnia, że począwszy od 1955 roku, przez pięć lat podpisywał na przykład swoje artykuły w „Abc” trze-

ma zagadkowymi gwiazdkami. Poza tym jego życie towarzyskie ograniczało się do stałego odwiedzania ciągle tej samej garstki przyjaciół, którzy – jak Ignacio Agustí czy Marino Gómez Santos – cierpliwie znosili jego wybuchowy charakter, oraz do udzielania się niekiedy na spotkaniach literackich organizowanych przez Cesara Gonzaleza-Ruano w Café Comercial przy skwerze Bilbao w Madrycie. González-Ruano, który dobrze znał Sancheza Mazasa, postrzegał go w tamtym czasie „jako wielkiego dyletanta, jako księcia literatury, jako niezrównanego wolnego ducha, który nigdy nie odczuwał potrzeby, by swoje zamiłowanie czynić profesją, lecz oddawał się ćwiczeniom wierszem i prozą dla przyjemności”.

Innymi słowy, Foxá mimo wszystko miał prawdopodobnie rację: od zakończenia wojny do swojej śmierci Sánchez Mazas nie był w zasadzie nikim innym jak tylko milionerem. Milionerem z nie tak znowu wieloma milionami, gnuśnym i trochę dekadentckim, oddającym się nieco ekstrawaganckim pasjom – zegarom, botanice, czarnej magii, astrologii i nie mniej ekstrawaganckiej namiętności do literatury. Dzielił swój czas między posiadłość w Corii, gdzie przemieszkiwał dłuższe okresy czasu, wiodąc *vie de château*, hotel „Velázquez” w Madrycie i willę w osiedlu Viso, spędzając go wśród kotów, włoskiej terakoty, książek podróżniczych, obrazów hiszpańskiego malarstwa i francuskich rycin, przesiadując w salonie, którego ozdobą był empirowy kominek,

oraz w ogrodzie pełnym krzewów różanych. Wstawał około południa, a po obiedzie siadał do pisania i pracował do kolacji. Nocami zagłębiał się w lekturze i czytał często aż do świtu. Rzadko wychodził z domu, dużo palił. Prawdopodobnie w nic już wtedy nie wierzył. Możliwe, że w głębi duszy przez całe życie w nic nie wierzył, a już najmniej w to, co głosił i czego bronił. Uprawiał politykę, lecz w gruncie rzeczy gardził nią. Wychwalał takie przymioty, jak lojalność i odwaga, ale sam popełniał zdrady i grzeszył tchórzostwem i jak mało kto przyczynił się do strywializowania tych wartości przez retorykę Falangi. Był pełen uznania dla takich instytucji życia społecznego, jak monarchia, rodzina, religia, ojczyzna, ale nie kiwnął palcem, by sprowadzić króla do Hiszpanii, nie interesował się własną rodziną i często mieszkał oddzielnie, a cały katolicyzm oddałby za jedną pieśń z *Boskiej Komedii*; co się tyczy ojczyzny, no cóż, nie wiadomo, czym jest ojczyzna, może po prostu usprawiedliwieniem dla świństwa albo lenistwa. Ludzie, którzy mieli z nim do czynienia pod koniec jego życia, pamiętają, że często wspominał przeżycia wojenne i egzekucję w Collell. „Nie do wiary, ile człowiek się dowiaduje podczas takich kilku sekund”, powiedział w 1959 roku pewnemu dziennikarzowi, nie wyjawiając wszakże, czego nauczyła go bliskość śmierci. Może był po prostu człowiekiem, który ocalał, i dlatego u kresu życia chętnie myślał o sobie jako o przegranym, dobiegającym swych dni dżentel-

menie, kimś, kto mogąc dokonać wielkich rzeczy, nie zrobił prawie nic. „Nie odwdziczyłem się jakoś szczególnie za nadzieję i pomoc, jakie mi okazano”, wyznał w owym czasie Gonzalezowi-Ruano. Wydaje się, że w napisanej wiele lat wcześniej powieści *La vida nueva de Pedrito de Andía* jeden z bohaterów wyraża poglądy autora, mówiąc na łożu śmierci: „Nigdy nie potrafiłem niczego na tym świecie dokończyć”. Rzeczywiście, taki właśnie był: melancholijny i przegrany, i bez przyszłości, jak lubił sam siebie portretować od najwcześniejszych lat. W lipcu 1913 roku w Bilbao, w wieku zaledwie dziewiętnastu lat, Sánchez Mazas napisał trzy sonety pod wspólnym tytułem *Pod starożytnym słońcem*. Ostatni z nich brzmi następująco:

*O zmierzchu dni starego libertyna,  
onegdaj zaś dworaka i poety,  
korzystać pewnie przyjdzie mi z opieki  
świętobliwego ojca teatyna.*

*Podagrę będę znosił najpobożniej –  
jak dżentelmenom dawnym to przystoi –  
a duch, nieposkromiony i wyniosły,  
oblecze się w drażliwą melancholię.*

*Skoro niechybnie w moim testamencie  
długi znajdziecie jeno, i msze święte,  
żebraczy pogrzeb sprawcie mi na koniec.*

*Fortuna zaś, zniewagom swym postuszna,  
wieczności laurem zwieńczy moje skronie  
za moją Epistolę do Fabiusza!\**

Nie wiem, czy pięćdziesiąt lat po napisaniu tych strof, pod koniec życia, Sánchez Mazas był starym libertynem, ale był bez wątpienia dworakiem i poetą. Pozostał praktykującym katolikiem, nawet jeżeli były to tylko pozory, oraz staromodnym dżentelmenem. Zawsze miał usposobienie impertynenckie i wyniosłe, drażliwe i melancholijne. Zmarł w październikową noc 1966 roku w następstwie rozedmy płuc; na jego pogrzeb przyszło mało ludzi. Zostawił niewiele pieniędzy i dóbr materialnych. Był pisarzem, który nie spełnił pokładanych w sobie nadziei, i dlatego nie napisał – a może dlatego, że to go przerastało – swej *Epistoły moralnej do Fabiusza*. Zarazem jednak był najlepszym z falangistowskich pisarzy: napisał garść dobrych wierszy i trochę dobrej prozy, a to wszak dużo więcej, niż może starać się zostawić jakikolwiek pisarz, i dużo mniej niż to, czego domagał się jego talent, przewyższający dokonania pisarskie. Andrés Trapiello mówi, że, podobnie jak wielu innych pisarzy falangistowskich, Sánchez Mazas wygrał wojnę, ale przegrał historię literatury. To zdanie świetnie brzmi i jest po części prawdziwe albo przynajmniej było prawdziwe, bo za walne przyczynienie się do

---

\* Przeł. Marta Szafrńska-Brandt



wywołania bratobójczej wojny Sánchez Mazas zapłacił istotnie cenę wieloletniego zapomnienia; prawdą jest jednak również, że wygrywając wojnę, Sánchez Mazas zagubił się sam jako pisarz. Może uważał, będąc w głębi duszy romantykiem, że każde zwycięstwo zdobywa się za cenę podłości, i osiągając raj (choćby był to ów iluzoryczny mieszczański raj błogiego próżnowania, mebli z kolorową tapicerką i domowych kapci, raj, który stworzył dla siebie w ostatnich latach życia niczym karykaturę starych przywilejów, gwarancji i hierarchii), zdał sobie skrycie sprawę z tego, że można w tym raju żyć, ale nie można w nim pisać, bo pisarstwo i spełnienie nie dają się ze sobą pogodzić. Dziś mało kto o nim pamięta, i może sobie na to zasłużył. W Bilbao jest ulica nazwana jego imieniem.

Część trzecia

## Spotkanie w Stockton

Skończyłem pisać *Żołnierzy spod Salaminy* dużo wcześniej, niż skończył się urlop bezpłatny, którego udzielono mi w redakcji gazety. Przez cały ten czas nie widywałem nikogo oprócz Conchi, z którą umawiałem się dwa albo trzy razy na tydzień w mieście na kolację. Dniami i nocami tkwiłem zamknięty w swoim pokoju, przed komputerem. Pisałem, jakby ogarnięty obsesją; pracowałem z zapałem i z wytrwałością, o jakie sam bym siebie nie podejrzewał, a równocześnie bez całkowitej jasności co do ostatecznego celu. Chciałem, by biografia Sancheza Mazasa – ogniskując się na jednym wydarzeniu, z pozoru przygodnym, ale prawdopodobnie zasadniczym w jego życiu, czyli na niedosłej egzekucji w Collell – podsuwała równocześnie pewną interpretację postaci i, szerzej, interpretację tego, czym była Falanga, czy też, dokładniej rzecz ujmując, powodów, które skłoniły garstkę wykształconych i wrażliwych ludzi do rozpętania w kraju krwawego

pandemonium. Przyjmowałem za pewnik, że w miarę postępów pisania zamysł mój będzie się zmieniał, ponieważ książki zawsze zaczynają żyć własnym życiem, a także dlatego, że nie pisze się zazwyczaj o tym, o czym chce się pisać, lecz o tym, o czym się pisać potrafi. Wychodziłem również z założenia, że choć środek ciężkości książki mają stanowić zgromadzone już na temat Sancheza Mazasa materiały (ta świadomość uspokajała i dawała poczucie pewności), to przyjdzie jednak chwila, gdy trzeba będzie porzucić tę wygodną i przewidywalną drogę i ruszyć w nieznane, bo pisarz – jeżeli rzeczywiście chce napisać coś ciekawego – nie może pisać o tym, co dobrze zna, lecz właśnie o tym, co jest dla niego niewiadome.

Oba te założenia okazały się prawdziwe, a mimo to w ostatnich dniach lutego, na miesiąc przed końcem urlopu, książka była już napisana. Przeczytałem ją, ogarnięty euforią, potem przeczytałem ponownie. Przy trzeciej lekturze euforia ustąpiła miejsca rozczarowaniu: książka nie była zła, lecz pozostawała jakaś niepełna, przypominała urządzenie, które – chociaż skończone – nie może spełniać swojej funkcji, z powodu braku jednej części. Problem polegał na tym, że nie wiedziałem, co to za część. Gruntownie poprawiłem tekst, przeredagowałem początek i zakończenie, kilka fragmentów napisałem ponownie, inne poprzestawiałem, lecz brakująca część nadal się nie pojawiała: książka była kulawa.

Poddałem się. Tego dnia, gdy postanowiłem przerwać pracę nad książką, umówiłem się z Conchi

na kolację. Zauważyła, że jestem jakiś nieswój, i zapytała, co mi jest. Nie miałem ochoty odpowiadać (w gruncie rzeczy w ogóle nie miałem ochoty rozmawiać ani umawiać się na kolację), lecz w końcu wszystko jej wytłumaczyłem.

- Cholera! - powiedziała Conchi. - Mówiłam, żebyś nie pisał o faszyście. Rozpieprzają wszystko, czego się dotkną. Musisz zapomnieć o tej książce i zacząć inną. Może o Garcii Lorce?

Następne dwa tygodnie przesiedziałem na fotelu przed zgaszonym telewizorem. O ile sobie przypominam, nie myślałem o niczym, nawet o ojcu, nawet o pierwszej żonie. Conchi odwiedzała mnie codziennie: ogarniała mieszkanie, przygotowywała coś do jedzenia, a kiedy kładłem się do łóżka, wychodziła. Staralem się nie płakać, lecz nie mogłem powstrzymać się od łez, gdy co wieczór, około dziesiątej, Conchi włączała telewizor, żeby obejrzeć siebie występującą w roli wróżki w lokalnej telewizji, a potem wygłaszała uwagi na temat programu.

Conchi przekonała mnie, żebym wrócił do pracy w redakcji, chociaż urlop jeszcze się nie skończył, a i ja sam nie doszedłem do siebie. Tym razem - może dlatego, że nie było mnie krócej niż poprzednio, albo dlatego, że zarówno mój wyraz twarzy, jak i cały wygląd wzbudzały raczej litość, niż prowokowały do drwin - powrót z nicości odbył się w sposób mniej dla mnie upokarzający. Nikt w redakcji nie robił ironicznych uwag, nikt mnie o nic nie zapytał - nawet

naczelny. Nie posłał mnie po kawę do baru na rogu (choć byłem na to przygotowany) i nie wyżywał się na mnie, zlecając inne podrzędne zajęcia. Wprost przeciwnie: jakby odgadł, że potrzebuję trochę odmiany i świeżego powietrza, zaproponował, żebym rozstał się z działem kultury i przeprowadził serię rozmów ze znanymi ludźmi, specjalistami z różnych dziedzin, którzy nie pochodząc z naszej prowincji, mieszkają w niej na stałe. I tak, przez kilka miesięcy przeprowadzałem codziennie wywiady z przedsiębiorcami, aktorami, sportowcami, poetami, politykami, dyplomatami, prawnikami, niebieskimi ptakami.

Pierwszym rozmówcą był pisarz Ricardo Bolaño, Chilijczyk. Od dawna mieszkał w Blanes, nadmorskim miasteczku położonym na granicy między prowincjami Barcelony i Gerony. Miał czterdzieści siedem lat, a na swoim koncie pokaźną liczbę wydanych książek. Wyglądem przypominał hippisa, podobnie jak inni Latynosi z jego pokolenia, którym przyszło wieść w Europie życie wygnańców. Krótko przed moją wizytą został wyróżniony poważną nagrodą literacką; za pieniądze z nagrody kupił utrzymane w nowoczesnym stylu mieszkanie przy ulicy Carrer Ample w centrum Blanes i zamieszkał w nim razem z żoną i synem. Tam właśnie przyjął mnie owego ranka. Nie zdążyliśmy jeszcze wymienić zwyczajowych słów powitania, gdy wypalił:

- Słuchaj, to ty jesteś ten Javier Cercas, który napisał *Powód i Lokatora*?

*Powód* i *Lokator* to były tytuły moich dwóch jedy-  
nych książek, które wydałem ponad dziesięć lat  
wcześniej, przy czym nikt z wyjątkiem kilku ówczes-  
nych przyjaciół nie odnotował tego wydarzenia.  
Zaskoczony i zdumiony przytaknąłem.

- Znam je - powiedział. - Chyba je nawet kupi-  
łem.

- Ach, więc to byłeś ty.

Nie zwrócił uwagi na żart.

- Poczekaj chwilę.

Przepadł w korytarzu, by wrócić po chwili.

- Są - oznajmił, wymachując triumfalnie moimi  
książkami.

Przekartkowałem oba egzemplarze, zauważyłem,  
że były w czytaniu.

- Czytałeś je - stwierdziłem niemal ze smutkiem.

- Oczywiście - przytaknął z leciutkim uśmiechem  
Bolaño, który chociaż nie uśmiechał się prawie  
nigdy, nigdy nie sprawiał wrażenia człowieka mó-  
wiącego całkiem poważnie. - Czytam nawet ulotki  
walające się po ulicy.

Teraz ja się uśmiechnąłem.

- Napisałem je dawno temu.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - powiedział.

- Mnie się podobały, a w każdym razie pamiętam, że  
mi się podobały.

Pomyślałem, że żartuje. Podniosłem wzrok znad  
książek i spojrzałem mu prosto w oczy: nie żartował.

- Naprawdę? - usłyszałem własne pytanie.

Bolaño zapalił papierosa, zastanawiał się przez chwilę.

- Pierwszej dobrze nie pamiętam - przyznał wreszcie. - Ale było tam chyba bardzo dobre opowiadanie o pewnym skurwysynu, który popycha jakiegoś nieszczęśnika do zbrodni, bo jest mu to potrzebne, aby dokończyć pisaną przez siebie powieść. Mam rację? - Nie dając mi czasu na ponowne przytaknięcie, dodał: - A jeżeli chodzi o *Lokatora*, to wydał mi się świetną powieścią.

Bolaño wygłosił ten werdykt z naturalnością i przekonaniem, dzięki czemu nagle zrozumiałem, że te nieliczne pochwały, jakie zebrały moje książki, wzięły się z litości lub uprzejmości ich autorów. Zaniemówiłem z wrażenia i poczułem ogromną ochotę, żeby wyściskać tego dopiero co poznanego Chilijczyka o kręconych włosach i cichym głosie, wątego i nieogolonego.

- No cóż - powiedziałem. - Zaczynamy wywiad?

Poszliśmy do baru w porcie, między targiem rybnym i falochronem, i usiedliśmy przy dużym oknie. W złotawym i zimnym świetle poranka, pod niebem przecinanym majestatycznym lotem mew, rozciągał się stąd widok na całą zatokę Blanes z dokiem na pierwszym planie i zacumowanymi w nim kutrami rybackimi, a w głębi z górzystym cyplem La Palome-ra, geograficzną granicą Costa Brava. Bolaño zamówił herbatę i grzanki; ja zamówiłem kawę i wodę. Rozmawialiśmy. Bolaño powiedział, że jego sprawy

idą teraz dobrze, ponieważ książki zaczynają przynosić dochód, ale że przez ostatnie dwadzieścia lat klepał straszną biedę. Naukę w szkole przerwał już jako dziecko; chwycił się najrozmaitszych przygodnych zajęć (nigdy jednak niczym, oprócz pisania, nie zajmował się poważnie); w Chile Allende robił rewolucję, a w Chile Pinocheta siedział w więzieniu; mieszkał w Meksyku i we Francji, zjeździł cały świat. Przed laty przeszedł poważną operację i od tamtego czasu wiódł życie ascety w Blanes, nie ulegając innym nałogom poza pisaniem i nie widując nikogo poza rodziną. Przypadek sprawił, że w dniu, w którym przeprowadzałem wywiad z Bolañem, generał Pinochet, witany jak bohater przez swoich zwolenników, akurat wrócił do Chile po dwóch latach spędzonych w Londynie, gdzie oczekiwał na ekstradycję do Hiszpanii i proces sądowy za popełnione zbrodnie. Mówiliśmy o powrocie Pinocheta, o Chile. Zgodnie z przewidywaniem, zapytałem go, jak przeżył upadek Allende i zamach stanu Pinocheta. Zgodnie z przewidywaniem, spojrzał na mnie z miną wyrażającą bezgraniczne znudzenie.

- Film braci Marx, tyle że z trupami. Niewiarygodne zamieszanie. - Podmuchał na herbatę, upił łyk i odstawił filiżankę na spodek. - Chcesz znać prawdę? Przez całe lata, ilekroć nadarzała się okazja, plułem na Allende, myślałem, że on był wszystkiemu winien, bo przez niego nie wydano nam broni. Teraz pluję na samego siebie za wygadywanie takich rzeczy



o Allende. Ten drań martwił się o nas, kurwa, jak o własne dzieci, rozumiesz? Nie chciał, żeby nas zabili. Gdyby wydał nam broń, wytłukliby nas jak robactwo. Tak – zakończył, podnosząc znowu filiżankę – przypuszczam, że Allende był bohaterem.

- A kto to jest bohater?

Pytanie chyba go zaskoczyło, jakby nigdy go sobie wcześniej nie zadał lub jakby zadawał je sobie od zawsze. Trzymając w ręku filiżankę, spojrzał mi szybko prosto w oczy, odwrócił wzrok w stronę zatoki, na chwilę popadł w zadumę. Potem wzruszył ramionami.

- Nie wiem – powiedział. – Ktoś, kto się za takiego uważa, i okazuje się, że ma rację. Albo ktoś, kto jest odważny i instynktownie postępuje szlachetnie, nigdy zatem nie popełnia błędu, a w każdym razie nie popełnia go w tym jednym jedynym momencie, w którym nie należy go popełnić, i dlatego nie może nie być bohaterem. Albo kto rozumie, jak Allende, że bohaterem jest nie ten, kto zabija, lecz ten, kto nie zabija lub kto pozwala się zabić. Nie wiem. A według ciebie, kto jest bohaterem?

Już prawie miesiąc nie myślałem o *Żołnierzach spod Salaminy*, jednak w tym momencie trudno mi było nie wspomnieć Sancheza Mazasa, który nigdy nikogo nie zabił i niegdyś, póki bieg wypadków nie udowodnił, że brakowało mu odwagi i instynktu szlachetnych wyborów, uważał się może za bohatera.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - John Le Carré twierdzi, że trzeba mieć bohaterskie usposobienie, żeby być porządnym człowiekiem.

- Tak, ale porządny człowiek to nie to samo co bohater - odparł natychmiast Bolaño. - Jest wielu porządných ludzi, rzadko natomiast zdarza się bohater. Właściwie uważam, że w postępowaniu bohatera niemal zawsze jest coś irracjonalnego, instynktownego, że działa trochę na oślep, tak jak nakazuje mu własna natura, tak jakby nie miał wyboru. Poza tym, można być całe życie porządnym człowiekiem, ale nie można być ciągle nadzwyczajnym, i dlatego bohaterem bywa się tylko wyjątkowo, w jakiejś szczególnej chwili albo co najwyżej w jakimś okresie szaleństwa czy natchnienia. Taki jest właśnie Allende, kiedy mówi przez Radio Magallanes. Leży wtedy na ziemi w jakimś kącie pałacu La Moneda, z pistoletem maszynowym w jednej, a mikrofonem w drugiej ręce, mówi, jakby był pijany albo jakby już nie żył, sam dobrze nie wie, co mówi, a mówi najczystsze i najszlachetniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałem... Teraz przypominam sobie inną historię. Czytałem o niej w prasie; wydarzyła się jakiś czas temu w Madrycie. Pewien chłopak szedł sobie ulicą w centrum miasta i nagle zauważył dom ogarnięty płomieniami. Nie wiele myśląc, wbiegł do palącego się domu i wyniósł na rękach kobietę. Znowu wbiegł do domu i tym razem wyniósł mężczyznę. Znowu wrócił i wyniósł jeszcze jedną kobietę. Pożar rozprzestrzenił się już

tak bardzo, że nawet strażacy nie odważali się wejść do środka, bo było to równoznaczne z samobójstwem. Chłopak jednak musiał wiedzieć, że w środku jeszcze ktoś został, bo wskoczył znowu i, oczywiście, już nie wyszedł. – Bolaño zamilkł, palcem wskazującym podsunął sobie okulary na nosie, aż oprawka dotknęła brwi. – Mocne, co? Dobrze, no więc nie jestem pewien, czy ten chłopak postąpił tak powodowany współczuciem, czy Bóg wie jakim innym odruchem przyzwoitości; uważam, że działał odruchowo, kierował się silniejszym od rozsądku instynktem, któremu nie mógł się oprzeć. Był najprawdopodobniej porządnym człowiekiem, nie twierdzę, że nie; ale możliwe też, że wcale taki nie był. I wcale mu to, kurwa, nie było do niczego potrzebne: ten sukinsyn po prostu był bohaterem, Javier.

Przez resztę przedpołudnia rozmawialiśmy z Bolañem o jego książkach, o pisarzach, których lubi – takich było wielu – i o tych, których nie znosi, tych było jeszcze więcej. Bolaño mówił o wszystkich z jakąś dziwną chłodną namiętnością, która początkowo mnie zafascynowała, a potem wprawiała w zakłopotanie. Skróciłem wywiad. Szliśmy nadmorskim bulwarem i mieliśmy się właśnie żegnać, gdy zaproponował, żebym zjadł u niego obiad i poznał jego żonę i syna. Skłamałem: powiedziałem, że nie mogę, bo czekają na mnie w redakcji. Wówczas zaproponował, żebym go odwiedził kiedy indziej. Skłamałem ponownie: powiedziałem, że wpadnę niebawem.

Tydzień później, kiedy ukazał się wywiad, Bolaño zadzwonił do mnie do redakcji. Powiedział, że wywiad bardzo mu się podoba.

- Jesteś pewien, że o tych bohaterach to ja to wszystko powiedziałem? - zapytał.

- Wszystko, co do słowa - odparłem opanowany nagłym podejrzeniem, że ta pochwała to tylko wstęp, by przejść do wyrzutów; pomyślałem sobie, że Bolaño należy pewnie do tych arogantów, którzy przypisują winę za wszelkie swoje lapsusy nieuwadze lub beztrosce dziennikarzy. - Mam to nagrane na taśmie.

- Coś takiego! Słowo daję, bardzo mi się podoba! - wykrzyknął, rozwiewając moje wątpliwości. - Ale właściwie dzwonię w innej sprawie. Jutro będę w Geronie, żeby odnowić kartę stałego pobytu: cholerne zawracanie głowy, ale nie zajmie mi dużo czasu. Zjemy razem obiad?

Nie spodziewałem się ani tego telefonu, ani takiej propozycji i pewnie dlatego pomyślałem, że łatwiej przyjąć zaproszenie niż szukać pretekstu, aby się wykręcić. Zgodziłem się i kiedy nazajutrz przyszedłem do „Bistrota”, Bolaño siedział już przy stoliku, trzymając w ręce szklankę z colą light.

- Nie byłem tu co najmniej od dwudziestu lat - powiedział (dzień wcześniej wspomniał mi przez telefon, że kiedyś mieszkał w Geronie niedaleko „Bistrota”). - Wszystko zmieniło się, cholera, nie do poznania.

Po złożeniu zamówienia (zielona sałata i befsztyk dla niego; małże gotowane na parze i królik dla mnie) Bolaño znowu komplementował mój wywiad, mówił też o wywiadach Capote'a i Mailera, wreszcie nieoczekiwanie zapytał mnie, czy coś piszę. Nic tak nie drażni pisarza, który nie pisze, jak pytania o to, co właśnie pisze. Trochę zirytowany, odpowiedziałem:

- Nie. - Pomyślałem, że dla Bolaña, podobnie jak dla wszystkich innych, pisanie do gazety nie jest pisaniem, dodałem więc: - Nie piszę już powieści. - Przypomniałem sobie słowa Conchi i wyznałem: - Odkryłem, że brak mi wyobraźni.

- Do pisania powieści nie trzeba mieć wyobraźni - stwierdził Bolaño. - Potrzebna jest tylko pamięć. Powieści pisze się, łącząc ze sobą wspomnienia.

- W takim razie, nie pozostały mi żadne wspomnienia. - Siłąc się na jakieś pomysłowe wyjście, dodałem: - Teraz jestem dziennikarzem, czyli człowiekiem czynu.

- Wielka szkoda - westchnął Bolaño. - Człowiek czynu to zazwyczaj sfrustrowany pisarz. Gdyby Don Kichot napisał choć jedną książkę o rycerzach, nigdy nie stałby się Don Kichotem, a gdybym ja nie nauczył się pisać, teraz strzelałbym z karabinu razem z tymi z FARC. Poza tym prawdziwy pisarz nigdy nie przestaje być pisarzem. Choćby nawet nie pisał.

- Dlaczego sądzisz, że ja jestem prawdziwym pisarzem?

- Napisałeś dwie prawdziwe książki.  
- Juwenilia.  
- Gazeta się nie liczy?  
- Liczy się. Tam jednak nie piszę dla przyjemności, lecz zarabiam na życie. Poza tym pisarz i dziennikarz to nie to samo.

- Tu masz rację - zgodził się. - Dobry dziennikarz jest zawsze dobrym pisarzem, gdy tymczasem dobry pisarz niemal nigdy nie jest dobrym dziennikarzem.

Roześmiałem się.

- Świetne, ale to nieprawda - powiedziałem.

Przy obiedzie Bolaño wspominał czasy, kiedy mieszkał w Geronie; opowiedział mi szczegółowo o pewnej lutowej, ciągnącej się w nieskończoność nocy w szpitalu miejskim imienia Josepa Truety. Przed południem zdiagnozowano mu zapalenie trzustki i kiedy zapytał odwiedzającego go w pokoju lekarza (przeczuwając odpowiedź), czy wkrótce umrze, ten poklepał go po ramieniu i odpowiedział głosem, którym zawsze mówi się kłamstwa, że nie. Bolaño długo nie mógł zasnąć tamtej nocy, czuł bezbrzeżny smutek i wcale nie dlatego, że dowiedział się o nadchodzącej śmierci, lecz z powodu wszystkich książek, które sobie zaplanował, a których miał nigdy nie napisać, z powodu wszystkich zmarłych przyjaciół, z powodu wszystkich młodych Latynosów ze swego pokolenia - tych żołnierzy poległych w wojnach z góry przegranych, których zawsze pragnął wskrzesić w swoich powieściach, a teraz na zawsze

mieli pozostać martwi, tak jak i on, jakby żaden z nich nigdy nie istniał. Potem zasnął i całą noc śniło mu się, że walczy na ringu z zawodnikiem sumo, olbrzymim i roześmianym Azjatą, którego nikt nigdy nie pokonał, a mimo to on stawiał mu czoło aż do rana, aż do chwili, kiedy się obudził i z uczuciem jakiejś nadludzkiej radości, której już potem w życiu nie doświadczył, od razu, bez konieczności pytania kogokolwiek, zdał sobie sprawę, że wcale nie umrze.

– Czasem myślę jednak, że jeszcze się nie obudziłem – powiedział Bolaño, wycierając usta serwetką. – Czasem myślę, że nadal leżę w łóżku w szpitalu imienia Truety i nadal walczę na ringu, a to, co wydarzyło się w ostatnich latach (mój syn i moja żona, i powieści, które napisałem, i zmarli przyjaciele, o których opowiadałem), to wszystko mi się śni i w pewnej chwili nadejdzie przebudzenie, a ja będę leżał na deskach ringu, pokonany przez bardzo grubego Azjatę, który uśmiecha się jak śmierć.

Po obiedzie Bolaño zaproponował, żebyśmy przeszli się razem po mieście. Zgodziłem się. Poszliśmy spacerem przez stare miasto, Ramblę, minęliśmy plac Katalonii, potem targ. O zmierzchu wstąpiliśmy do baru w hotelu „Carlemany”, tuż obok stacji, czekając na pociąg Bolaña. To właśnie tam, między kolejnymi filiżankami herbaty i szklaneczkami dzienu z tonikiem, opowiedział mi o Mirallesie. Nie pamiętam, dlaczego zaczął o tym mówić; pamiętam, że mówił z niesłabnącym entuzjazmem, z rodzajem

uroczystej powagi, demonstrując przy okazji imponującą wiedzę wojskową i historyczną. Choć po przejrzeniu kilku książek poświęconych operacjom wojskowym w okresie wojny domowej i drugiej wojny światowej odkryłem, że jego wyobrażenia lub pamięć przeinaczyły niektóre daty, nazwiska i okoliczności, to opowieść była nie tylko prawdopodobna, lecz, w większości szczegółów, odpowiadała prawdzie historycznej.

Wprowadziłem niezbędne poprawki i teraz ta historia przedstawia się następująco:

Bolaño poznał Mirallesa latem 1978 roku na kempingu „Gwiazda Morza” w Castelldefells. Co roku zjeżdżali tam sezonowi goście, w większości niezbyt zamożni ludzie z różnych krajów Europy: Francji, Anglii, Niemiec, Holandii, czasem zdarzał się jakiś Hiszpan. Bolaño pamiętał, że – przynajmniej w okresie, kiedy on tam jeździł – ludzie ci sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych; gdy przypomina sobie siebie z tamtych czasów, pamięta, że też był szczęśliwy. Pracował na kempingu w sezonie letnim przez cztery kolejne lata, od siedemdziesiątego ósmego do osiemdziesiątego pierwszego. Zdarzało mu się także pracować zimą, w soboty i niedziele; był śmieciarzem, stróżem nocnym, wszystkim po trochu.

– To był mój uniwersytet – mówił Bolaño. – Poznałem najrozmaitsze okazy ludzkiej fauny. Naprawdę, nigdy w życiu nie nauczyłem się tylu rzeczy za jednym zamachem.



Miralles przyjeżdżał co roku w początkach sierpnia. Bolaño pamiętał, jak siedzi za kierownicą samochodu, potem wita się wylewnie ze wszystkimi, z szerokim uśmiechem na twarzy, w czapce zsuniętej na jedno oko, a wreszcie, taszcząc przed sobą brzuch wielki jak u Buddy, wpisuje się do książki meldunkowej na kempingu i ustawia samochód na wskazanym miejscu. Od przyjazdu na kemping przez cały miesiąc chodził w gumowych klapkach i nie wkładał na siebie nic poza kąpielówkami. Całe dni paradował tak skąpo ubrany i od razu zwracał na siebie powszechną uwagę, ponieważ jego ciało gęsto pokrywały blizny: w istocie cała lewa strona ciała była jedną wielką blizną, poczynając od kostki lewej nogi aż do samego oka, na które mało co widział. Miralles był Katalończykiem, pochodził z Barcelony lub okolic – może z Sabadell albo z Terrassy; w każdym razie Bolaño słyszał go mówiącego po katalońsku – ale od wielu lat mieszkał we Francji i, wedle słów Bolaña, zrobił się z niego stuprocentowy Francuz: miał cięty dowcip, znał się na potrawach i trunkach i przepadał za dobrym winem. Wieczorami spotykał się z przyjaciółmi z kempingu, tymi samymi od wielu lat. Bolaño, pracujący jako stróż nocny, często przyłączał się do tych przeciągających się do późna w nocy spotkań towarzyskich i nierzadko widział, jak Miralles się upija, nigdy jednak nie zauważył, aby stawał się przy tym agresywny, kłótniwy albo sentymentalny. Nad ranem potrzebował zazwyczaj kogoś, kto odpro-

wadziłby go do przyczepy, bo nie był w stanie do-  
trzeć tam o własnych siłach. I Bolaño często go od-  
prowadzał. Wiele razy zostawał z nim także sam  
w barze i pili do późna tylko we dwóch, ponieważ to-  
warzysze Mirallesa składali broń wcześniej. Podczas  
jednej z takich długich i samotnych nocy Miralles  
rozgadał się na temat swoich wojennych losów (Bo-  
laño nigdy nie słyszał, aby z innymi mówił o tych  
sprawach); opowiadał bez cienia megalomanii czy  
dumy, z wyuczoną u Francuzów ironią, jakby histo-  
ria nie dotyczyła jego życia, lecz życia jakiejś innej  
osoby, kogoś, kogo ledwie znał, lecz bardzo  
szanował. Dlatego Bolaño zapamiętał tę opowieść  
w najdrobniejszych szczegółach.

Jesienią 1936 roku, wkrótce po tym, jak rozpoczę-  
ła się wojna domowa, Miralles dostał wezwanie do  
wojska, choć miał zaledwie osiemnaście lat, i w po-  
czątkach trzydziestego siódmego roku, po szybkim  
przeszkoleniu wojskowym, został wcielony do I Bry-  
gady Mieszanej Armii Republikańskiej pod dowódz-  
twem Enrique Listera. Líster, wcześniej dowódca  
Antyfaszystowskich Oddziałów Robotniczych i V Puł-  
ku, był już wówczas postacią legendarną. V Pułk zo-  
stał właśnie rozwiązany. W jego szeregach walczyła  
wcześniej większość towarzyszy Mirallesa z tego sa-  
mego batalionu – odegrali oni decydującą rolę w od-  
parciu oddziałów Franco spod Madrytu. Przed woj-  
ną Miralles terminował u tokarza; nie interesował się  
polityką, jego rodzice, prości ludzie, nigdy o polityce

nie rozmawiali, przyjaciele także nie. Gdy tylko znalazł się na froncie, stał się jednak komunistą. Na tę decyzję wpłynął niewątpliwie fakt, że komunistami byli jego towarzysze broni, jego dowódcy oraz sam Líster. Poza tym Miralles szybko nabrał pewności, że tylko komuniści są naprawdę gotowi nadstawić karku, żeby wygrać wojnę.

- Líster był pewnie trochę narwany. - Bolaño wspominał, co Miralles powiedział mu pewnego wieczoru o dowódcy, pod którego rozkazami walczył całą wojnę. - Ale równocześnie kochał swoich ludzi i sam odznaczał się wielką odwagą, miał iście hiszpański temperament. Po prostu facet z jajami.

- Prawdziwie hiszpańskie bydlę - powiedział Bolaño do Mirallesa, nie napomykając, że cytuje Cesara Vallejo, o którym w owym czasie pisał właśnie jakąś natchnioną książkę.

Miralles roześmiał się.

- Właśnie - przytaknął. - Potem sporo o nim czytałem, a właściwie przeciwko niemu. Z tego, co wiem, były to w większości kłamstwa. Może i mylił się w wielu sprawach, ale w wielu innych miał rację, prawda?

W pierwszych dniach wojny Miralles poczuł sympatię do anarchistów, przy czym imponowała mu nie tyle ich mętna ideologia czy rewolucyjny zapał, ile to, że pierwsi wyszli na ulicę, żeby walczyć z faszyzmem. Jednakże w miarę rozwoju działań wojennych, kiedy anarchiści wprowadzali chaos na tyłach, sympatia ta

zanikła. Jak wszyscy komuniści – niewątpliwie to również wpłynęło na jego zbliżenie do nich – Miralles uważał, że najpierw należy wygrać wojnę, a dopiero potem przyjdzie czas na robienie rewolucji. Kiedy więc latem trzydziestego siódmego roku XI Dywizja, do której należał, zlikwidowała z rozkazu Listera grupy anarchistyczne w Aragonii, operacja ta wydała mu się brutalna, ale niepozbawiona podstaw. Później walczył pod Belchite w prowincji Teruel, nad Ebro, a kiedy front się załamał, wycofał się wraz z wojskiem republikańskim w stronę Katalonii i w początkach lutego trzydziestego dziewiątego roku, w ostatnich dniach wojny domowej, przekroczył granicę francuską, podobnie jak czterysta pięćdziesiąt tysięcy innych Hiszpanów. Po drugiej stronie czekał go obóz przejściowy w Argelàs, a właściwie ogromna naga plaża otoczona podwójnym drutem kolczastym, bez żadnych zabudowań, bez najlichszej nawet osłony przed przeraźliwym lutowym zimnem, bez sanitariatów, po prostu z mulistą, brudną wodą. Siedział tam w nieludzkich warunkach, pośród kobiet, starców i dzieci śpiących na zmarzniętym, oszronionym piasku i mężczyzn błakających się bez celu, zrozpaczonych i apatycznych z powodu klęski. Osiemdziesiąt tysięcy hiszpańskich uchodźców oczekiwało na koniec koszmaru.

– Nazywano to obozami przejściowymi – mawiał Miralles. – Ale to były zwykłe umieralnie.

Tak więc, gdy w obozie w Argelàs pojawiły się po kilku tygodniach punkty werbunkowe francuskiej

Legii Cudzoziemskiej, Miralles zaciągnął się bez chwili wahania. Tym sposobem dostał się do Maghrebu – do Tunezji albo do Algierii, Bolaño dobrze nie pamiętał. Tam zastał go wybuch wojny w Europie. Francja wpadła w ręce Niemców w czerwcu czterdziestego roku i większość francuskich władz w Maghrebie opowiedziała się po stronie marionetkowego rządu Vichy. W Maghrebie znajdował się także Leclerc, generał Jacques-Philippe Leclerc, który odmówił uznania rządu Vichy i rozpoczął werbunek ochotników gotowych przemierzyć pod jego dowództwem połowę Afryki. Zamierzał dotrzeć do tej kolonii francuskiej, która podporządkowałaby się rozkazom przebywającego w Londynie de Gaulle'a i, podobnie jak Leclerc, wypowiedziała posłuszeństwo Pétainowi, w imię wolnej Francji.

- Wyobrażasz sobie, Javier? - Bolaño rozparty w fotelu hotelowego baru „Carlemany”, w gęstym obłoku dymu papierosów ducados, przyglądał mi się zza grubych szkieł okularów z wyrazem rozbawienia lub niedowierzania na twarzy. - Miralles całe życie przeklinał Leclerca i samego siebie za to, że z nim poszedł. Bo przecież ani on, ani żaden z tych łachmaniarzy, których Leclerc zwiódł niczym dzieci, nie miał bladego pojęcia, w co się pakuje. Maszerowali kilka tysięcy kilometrów przez pustynię, w dużo gorszych warunkach niż te, które Miralles zostawił w Argelàs, prawie bez zaopatrzenia, zdani sami na siebie. Rajd Paryż - Dakar to w porównaniu z tym

śmieszny niedzielny spacer. Naprawdę trzeba mieć jaja, żeby zrobić coś takiego!

W takiej właśnie sytuacji znaleźli się Miralles i inni zwerbowani ochotnicy, wszyscy, którzy dali się omamić absurdalnej wizji Leclerca. Po kilku miesiącach morderczego błąkania się po pustyni dotarli do Czadu, leżącego we francuskiej Afryce Równikowej, gdzie nawiązali wreszcie kontakt z ludźmi de Gaulle'a. Wkrótce Miralles wziął udział w ataku na włoską oazę Murzuk, w południowo-zachodniej Libii, razem z angielskim oddziałem z Kairu i pięcioma innymi żołnierzami Legii Cudzoziemskiej pod wodzą pułkownika d'Ornano, naczelnego dowódcy sił francuskich w Czadzie. Cały sześćoosobowy oddział francuski teoretycznie zgłosił się na ochotnika, w rzeczywistości jednak Miralles nigdy nie wziąłby w tej akcji udziału, gdyby nie ślepy los: nikt z całej kompanii nie chciał pójść dobrowolnie, więc zagrali w kości i Miralles przegrał. Uczestnictwo w akcji oddziału Mirallesa miało znaczenie przede wszystkim symboliczne, ponieważ po raz pierwszy od upadku Francji jakaś jednostka francuska przystąpiła do działań wojennych przeciw jednemu z państw Osi.

- Pomyśl tylko, Javier - powiedział Bolaño, trochę niepewny, jakby trudno było mu się z tego nie śmiać, jakby sam odkrywał tę historię (albo jej znaczenie) w trakcie opowiadania. - Cała Europa opanowana przez nazistów, a gdzieś tam, na kompletnym zadupiu, i choć pies z kulawą nogą o tym nie wie, oddział

d'Ornano składający się z czterech pieprzonych Arabów, jednego pieprzonego czarnego i jednego hiszpańskiego pojeba po raz pierwszy od miesiący unosi w górę sztandar wolności. Trudno w to, kurwa, uwierzyć! Ale tak właśnie było i jakiś cholerny pech chciał, że był tam Miralles, otumaniony przez Leclerca. Pewnie nawet nie wiedział, co on tam właściwie robi. Ale tam był.

Pułkownik d'Ornano poległ w Murzuk. Leclerc przejął po nim dowództwo francuskich wojsk w Czadzie i, uskrzydłony zwycięstwem w Murzuk, z garstką legionistów oraz garstką tubylców, marnie uzbrojony i pozbawiony niemal środków transportu, ruszył natychmiast na oazę Kufra – najważniejszą na całej libijskiej pustyni i pozostającą również w rękach Włochów. Pierwszego marca 1942 roku, pokonawszy kolejny tysiąc kilometrów przez pustynię, Leclerc i jego ludzie zdobyli Kufre. Naturalnie był z nimi Miralles. Po powrocie do Czadu doczekał się wreszcie kilku tygodni odpoczynku, pierwszych od wielu lat, i w pewnej chwili wyobraził sobie nawet, że po akcjach w Murzuk i Kufrze on i jego towarzysze przez jakiś czas będą się trzymali od wojny z daleka. Właśnie wtedy Leclerc wpadł na drugi genialny pomysł. Przekonany, nie bez racji, że losy wojny rozstrzygają się na północy Afryki, w zmaganiach VIII Armii Montgomery'ego z niemieckim Afrikakorps, postanowił podjąć próbę dołączenia do wojsk brytyjskich, pokonując w odwrotnym kierunku tę samą drogę,

którą przebył kilka miesięcy przedtem z Maghrebu do Czadu. Inne oddziały alianckie wykonywały wtedy taką samą lub podobną operację, ale Leclerc nie dysponował ich infrastrukturą. Tak więc Miralles i trzy tysiące dwustu ludzi, których zdołał podówczas zgromadzić generał, musieli znowu pokonać na piechotę, w warunkach jeszcze gorszych niż za pierwszym razem, tysiące kilometrów bezlitosnej pustyni dzielące ich od Trypolisu. Dotarli tam w styczniu czterdziestego trzeciego roku, kiedy właśnie oddziały Rommla zostały wyparte z miasta przez VIII Armię Montgomery'ego. Oddziały Leclerca odbyły ostatnią część kampanii w Afryce ze wspomnianym korpusem angielskim, tak więc Miralles walczył przeciwko Niemcom podczas ofensywy na linię Mareth, a później przeciwko Włochom w Gabes i Sfax.

Po zakończeniu walk w Afryce oddziały Leclerca zostały zmotoryzowane i stały się II Dywizją Pancerną wojsk alianckich. W Anglii odbyło się przeszkolenie w obsłudze amerykańskich czołgów i pierwszego sierpnia 1944 roku, niemal dwa miesiące po D-Day, Miralles zszedł na ląd na plaży „Utah” w Normandii, w szeregach XV Korpusu generała Haislipa. Żołnierze Leclerca natychmiast ruszyli na front i przez dwadzieścia trzy dni, czyli tyle, ile trwała dla Mirallesa kampania we Francji, bili się bez chwili wytchnienia, przede wszystkim w rejonie Sarthe oraz w walkach poprzedzających definitywne zamknięcie tak zwanego „kotła” pod Falaise. Stanowili w owym czasie



bardzo szczególną jednostkę: nie tylko byli jedyną dywizją francuską walczącą na francuskiej ziemi (choć sformowaną z żołnierzy afrykańskich i hiszpańskich weteranów wojny domowej; ogłaszały to wszem i wobec nazwy czołgów – „Guadalajara”, „Sarragossa”, „Belchite”), ale też dywizja składała się wyłącznie z ochotników, nie było w niej zatem rotacji żołnierzy – zastępowania zmęczonych świeżymi siłami, jak działo się w każdej normalnej dywizji, a miejsce zabitego żołnierza pozostawało nieobsadzone, dopóki nie zajął go inny ochotnik. To tłumaczy, dlaczego w chwili lądowania w Normandii Miralles i jego współtowarzysze z hiszpańskiej wojny domowej mieli za sobą ponad siedem lat bezustannej walki, chociaż żaden rozsądny dowódca nie trzyma żołnierza na pierwszej linii dłużej niż cztery do pięciu miesięcy, gdyż napięcie panujące na froncie okazuje się nie do wytrzymania.

Wojna nie skończyła się dla nich pod Falaise. Oddziały Leclerca wkroczyły do Paryża jako pierwszy kontyngent wojsk alianckich; Miralles wszedł przez Porte-de-Gentilly w nocy dwudziestego czwartego sierpnia, zaledwie godzinę później niż pierwszy oddział francuski pod dowództwem kapitana Drone'a. Nie minęło piętnaście dni, gdy ludzie Leclerca, pozostający teraz w składzie III Armii Francuskiej pod rozkazami de Lattre de Tassigny, ponownie znaleźli się na polu walki. W następnych tygodniach nie zaznali chwili wytchnienia: nacierali na linię

Zygryda, wdarli się głęboko na terytorium Niemiec i doszli aż do Austrii. Tam wojenna przygoda Mirallesa dobiegła końca: pewnego wietrznego zimowego ranka, którego nigdy nie zapomni, Miralles (albo ktoś obok niego) wszedł na minę.

- Wybuch miny zrobił z niego krwawą miazgę - powiedział Bolaño po krótkiej przerwie na dopicie herbaty, która zdążyła już wystygnąć w filiżance. - Wojna w Europie miała się ku końcowi. Przez osiem wojennych lat to Miralles widział, jak wokół niego umierają ludzie, przyjaciele i towarzysze broni z Hiszpanii, Afryki, Francji, ze wszystkich stron. Nadeszła jego kolej... - Bolaño uderzył dłonią w poręcz fotela. - Nadeszła jego kolej, ale drań wcale nie wyciągnął kopyt. Zabrali go na tyły porozrywanego na strzępy i tam zszyli do kupy. Minął ledwie rok z hakiem, a Miralles stał się obywatelem francuskim z dożywotnią rentą.

Gdy wojna się skończyła, a on wylizał się z ran, osiadł w Dijon albo gdzieś w okolicach Dijon, Bolaño nie pamiętał dobrze. Nie raz i nie dwa pytał Mirallesa, dlaczego wybrał Dijon (czy też okolice Dijon), a ten czasem odpowiadał, że ot tak, równie dobrze mógł zamieszkać gdzie indziej, czasem natomiast twierdził, że zamieszkał tam, bo w czasie wojny obiecał sobie, że spędzi resztę życia, popijając dobre wino, jeżeli uda mu się przeżyć, „i jak dotąd dotrzymuję słowa”, dodawał, poklepując się po gołym i pękatym jak u Buddy brzuchu. W tamtych czasach

Bolaño sądził, że żaden z tych powodów nie jest prawdziwy; teraz zaś uważał, że prawdziwe mogły być oba. Miralles ożenił się w Dijon (albo w okolicach Dijon) i w Dijon (albo w okolicach Dijon) urodziła mu się córka. Nazywała się María. Bolaño poznał ją na kempingu, ponieważ początkowo przyjeżdżała tam razem z ojcem każdego lata. Pamiętał drobną, poważną dziewczynę o silnym charakterze, „całkowicie francuską”, chociaż z ojcem rozmawiała zawsze po hiszpańsku, wymawiając gardłowo „r”. Pamiętał również, że Miralles, który owdowiał wkrótce po przyjściu córki na świat, miał na jej punkcie kompletnego fioła: w domu rządziła María, to ona wydawała polecenia, którym Miralles podporządkowywał się z jakąś wstydliwą pokorą wojennego weterana nawykłego do wykonywania rozkazów. Kiedy pogawędki z przyjaciółmi w barze na kempingu przeciągały się nazbyt długo, a wino zaczynało plątać Mirallesowi język i uderzać mu do głowy, brała go pod ramię i prowadziła do przyczepy kempingowej. On szedł posłusznie, chwiejnym krokiem, wodząc wokół mętłym wzrokiem pijaka, z przepaszającym uśmiechem dumnego z córki ojca. Jednakże María przyjeżdżała krótko, nie więcej niż dwa lata (z czterech, które Bolaño przepracował w sumie na kempingu), potem Miralles przyjeżdżał do „Gwiazdy Morza” samotnie. Wtedy naprawdę się zaprzyjaźnili; również wtedy Miralles zaczął sypiać z Luz. Luz to była prostytutka, która pojawiała się czasem na kempingu. Bolaño

dobrze ją pamiętał: postawna brunetka, dosyć młoda i ładna, wielkoduszna i trzeźwo myśląca; może nie zawsze pracowała jako dziwka, zastanawiał się Bolaño.

- Miralles oszalał na jej punkcie - dodał. - Kiedy nie było Luz, sukinsyn wpadał w przygnębienie i pił na umór.

Bolaño przypomniał sobie, że ostatniego spędzonego wspólnie z Mirallem lata, kiedy którejś nocy robił już nad ranem obchód, usłyszał cichutką muzykę dobiegającą z samego końca kempingu, tuż obok ogrodzenia oddzielającego kemping od sosnowego lasu. Muzyka brzmiała tak cicho, że nikomu nie mogła przeszkadzać w spaniu, więc podszedł dyskretnie, wiedziony raczej ciekawością niż poczuciem obowiązku, i zobaczył czule objętą parę, tańczącą pod markizą przyczepy kempingowej. Przyczepa należała do Mirallesa, przytuloną parą byli Miralles i Luz, a w muzyce Bolaño rozpoznał pewne melancholijne i bardzo stare paso doble (przynajmniej tak mu to wówczas brzmiało), które wiele razy nucił sobie pod nosem Miralles. Zanim tańczący zdołaliby go zauważyć, skrył się za inną przyczepą i przez kilka minut ich obserwował. Tańczyli na trawie bosy, bardzo wyprostowani, bardzo poważni, w milczeniu, spowici nierzeczywistym światłem księżyca i starej lampy na butan. Uwagę Bolaña zwrócił przed wszystkim kontrast między uroczystym charakterem ich ruchów i ich strojem. Miralles jak zawsze był w kąpielówkach,

podstarzały i brzuchaty, ale prowadził partnerkę pewnie, niczym najlepszy tancerz w okolicy; Luz natomiast sprawiała wrażenie osoby płynącej niczym zjawą w świeżym chłodzie nocnego powietrza – może dlatego, że miała na sobie długą białą koszulę sięgającą kolan, spod której prześwitywało czasami nagie ciało. Bolaño powiedział, że w tamtej chwili, podglądając z ukrycia starego weterana na wszystkich wojen, o ciele gęsto pokrytym bliznami, oddanego całą duszą przypadkowo spotkanej dziwce, która nie umiała tańczyć paso doble, poczuł się dziwnie wzruszony. Wydało mu się, że w jakimś kolejnym tanecznym zwrocie dwojga ludzi dostrzegł lśniąco oczy Mirallesa, niczym lustrzane odbicie własnego wzruszenia, jakby mężczyzna właśnie się rozplakał albo jakby starał się na próżno powstrzymać łzy, albo jakby płakał już od dawna. I wtedy Bolaño uświadomił sobie albo wyobraził, że jego obecność w tym miejscu ma w sobie coś nieprzyzwoitego, że wykrada komuś tę scenę i że powinien natychmiast odejść; dotarło do niego także, że jego czas na kempingu dobiegł końca, ponieważ nauczył się już tam wszystkiego, czego mógł się nauczyć. Zapalił papierosa, rzucił ostatnie spojrzenie na Luz i Mirallesa tańczących pod dachem markizy, odwrócił się i podjął przerwany obchód.

– Pod koniec tamtego lata pożegnałem się z Mirallosem do następnego roku, jak zwykle – odezwał się Bolaño po długiej chwili milczenia, jakby mówił do siebie albo jakby rozmawiał z kimś, kim nie byłem ja.

Za oknami „Carlemany” zapadła już noc. Przed sobą miałem pochmurną i nieobecną twarz Bolaña, stół zastawiony pustymi szklankami i popielniczkę pełną niedopałków. Poprosiliśmy o rachunek. – Ale wiedziałem już, że następnego roku nie pojedę na kemping. I nie pojechałem. Nigdy też nie widziałem więcej Mirallesa.

Uparłem się, żeby odprowadzić Bolaña na stację, i kiedy kupował paczkę ducados na podróż, zapytałem, czy przez te wszystkie lata nie miał żadnych wiadomości o Mirallesie.

– Żadnych – odpowiedział. – Straciłem go z oczu, jak tyłu innych. Ciekawe, gdzie się teraz podziewa. Może nadal jeździ na ten kemping; ale chyba nie. Musi mieć już ponad osiemdziesiąt lat i bardzo wątpię, żeby jeszcze miał na to siłę. Może nadal mieszka w Dijon. A może już nie żyje, w gruncie rzeczy to najbardziej prawdopodobne, nie myślisz? Dlaczego pytasz?

– Tak sobie – rzuciłem.

Nie mówiłem prawdy. Tego wieczoru, słuchając z rosnącym zainteresowaniem opowiadanej z uczuciem historii o Mirallesie, myślałem sobie, że wkrótce przeczytam ją w jednej z pisanych z uczuciem książek Bolaña, ale kiedy wróciłem do domu, po rozstaniu z moim znajomym i dłuższym spacerze po mieście oświetlonym latarniami i światłem sklepowych witryn, już pielęgnowałem w sobie nadzieję, rozegzaltowany być może nadmierną ilością dżinu

z tonikiem, że Bolaño nigdy nie napisze tej historii i że to ja ją napiszę. Całą noc o tym myślałem. Przygotowując kolację, jedząc kolację, zmywając naczynia po kolacji, pijąc szklankę mleka i patrząc nieobecny wzrokiem w telewizor, ciągle wyobrażałem sobie początek i koniec, wymyślałem kolejność poszczególnych scen, wymyślałem postaci, pisałem i redagowałem w myślach wiele zdań. Leżałem bezsen- nie w łóżku, po ciemku (tylko cyferki budzika jarzyły się czerwonym blaskiem w głębokim mroku sypialni), w głowie kłębiły mi się myśli. W pewnej chwili wreszcie – wiek i porażki przydają bowiem rozwagi – pomny na swoją ostatnią wpadkę, podją- łem wysiłek, żeby powstrzymać narastający entuz- jazm. I wtedy sobie to uświadomiłem. Pomyślałem o egzekucji Sancheza Mazasa, o tym, że Miralles był przez całą wojnę domową żołnierzem Listera, że był z nim w Madrycie, w Aragonii, nad Ebro, pod- czas odwrotu z Katalonii. „Dlaczego nie miałby być w Collell?”, pomyślałem. Wówczas, w przebłysku zwodniczej, lecz obezwładniającej jasności umysłu, jaka zdarza się, gdy nie nadchodzi sen, jak ktoś, kto porzucił już nadzieję (bo nigdy nie znajdujemy te- go, czego szukamy, tylko to, co daje nam rzeczywis- tość), lecz nagle, niewiarygodnym trafem, odnajduje tę jedną brakującą część, bez której urządzenie nie mogło spełniać roli, do jakiej zostało stworzone, usłyszałem w ciszy ciemnej sypialni własny szept: „To on”.

Wyskoczyłem z łóżka, w trzech susach pobiegłem na bosaka do jadalni, chwyciłem słuchawkę telefonu i wystukałem numer Bolaña. Czekałem, aż odbierze, kiedy spostrzegłem, że wskazówki zegara na ścianie wskazują pół do czwartej. Zawahałem się przez chwilę i odłożyłem słuchawkę.

Chyba nad ranem udało mi się zasnąć. Przed dziewiątą zadzwoniłem znowu do Bolaña. Odebrała jego żona, Bolaño jeszcze spał. Udało mi się z nim porozmawiać dopiero o dwunastej, z redakcji. Niemal od razu spytałem go, czy nosi się z zamiarem napisania o Mirallesie. Odpowiedział, że nie. Potem zapytałem, czy słyszał, by Miralles kiedykolwiek wspomniał o sanktuarium w Collell. Bolaño poprosił, żebym powtórzył nazwę.

- Nie - odpowiedział po namyśle. - W każdym razie nie przypominam sobie.

- A o Rafaelu Sanchezie Mazasie?

- Tym pisarzu?

- Właśnie - przytaknąłem. - Ojcu Ferlosia. Znasz go?

- Czytałem jakieś jego rzeczy, całkiem niezłe. Dlaczego Miralles miałby o nim wspominać? Nigdy nie rozmawialiśmy o literaturze. A poza tym, co ma znaczyć to przesłuchanie?

Już chciałem się wykręcić jakimś kłamstwem, gdy uświadomiłem sobie w porę, że tylko za pośrednictwem Bolaña mogę dotrzeć do Mirallesa. Wyjaśniłem mu wszystko pokrótce.



- Ja chromolę, Javier! - wykrzyknął Bolaño. - To będzie zajebista powieść. Wiedziałem, że coś piszesz.

- Nie piszę - zaprzeczyłem. - I to wcale nie jest powieść. To historia z prawdziwymi bohaterami i rzeczywistymi faktami. To prawdziwa historia.

- Co za różnica - odpowiedział Bolaño. - Wszystkie dobre opowiadania to opowiadania prawdziwe, przynajmniej dla czytelnika, a tylko on się tu liczy. W każdym razie nie rozumiem, skąd ta pewność, że to Miralles jest żołnierzem, który ocalił Sancheza Mazasa.

- A kto ci powiedział, że to on? Nie wiem nawet, czy był w Collell. Mówię tylko, że Miralles mógł tam być, a więc mógł być tym żołnierzem.

- Mógł - mruknął bez przekonania Bolaño - ale najprawdopodobniej nie był. Tak czy owak...

- Tak czy owak trzeba go odnaleźć i rozwiązać wątpliwości - uciałem, domyślając się końca zdania: „...nawet jeżeli to nie on, ty wyobrażasz sobie, że to on”. - Dlatego właśnie dzwonię. Pytanie jest następujące: masz jakiś pomysł, gdzie znaleźć Mirallesa?

Bolaño przypomniał mi, parskając niecierpliwie, że od dwudziestu lat nie widuje już Mirallesa i nie utrzymuje kontaktów z nikim, kto mógłby... Nagle zamilkł i bez dodatkowych wyjaśnień poprosił, że bym chwilę poczekał. Poczekałem. Czekanie bardzo się przedłużało, pomyślałem więc, że Bolaño o mnie zapomniał.

- Masz fart, skurczybyku - usłyszałem wreszcie jego głos. Potem podyktował mi numer telefonu. - To numer do „Gwiazdy Morza”. Już nie pamiętałem, czy go mam, ale przechowuję wszystkie notesy z tamtych czasów. Zadzwoń i zapytaj o Mirallesa.

- Jak miał na imię?

- Antoni, chyba. Albo Antonio. Nie wiem. Wszyscy mówili do niego Miralles. Zadzwoń i zapytaj o niego. Za moich czasów wpisywaliśmy do książki meldunkowej imię i nazwisko każdego, kto przyjeżdżał na kemping. Na pewno teraz też taką książkę prowadzą... Oczywiście, jeżeli „Gwiazda Morza” nadal istnieje.

Odłożyłem słuchawkę. Podniosłem słuchawkę. Wystukałem numer telefonu podany mi przez Bolaña. „Gwiazda Morza” istniała nadal i już otworzyła podwoje przed sezonem letnim. Zapytałem kobiety głos po drugiej stronie linii, czy osoba nazywająca się Antoni albo Antonio Miralles przebywa na kempingu. Po kilku sekundach, w trakcie których słyszałem ciche uderzenie dwoma palcami w klawiaturę, głos odpowiedział mi, że nie. Wyjaśniłem, w czym rzecz: potrzebuję pilnie adresu tego człowieka, stałego klienta „Gwiazdy Morza” przed dwudziestu laty. Głos zabrzmiał twardo, oświadczając, że podawanie adresu klientów nie należy do obyczajów firmy, po czym poinformował - w tle ponownie usłyszałem odgłos nerwowego uderzania w klawisze - że dwa lata wcześniej skomputeryzowano archiwum kempingu

i zachowano dane tylko z ostatnich ośmiu lat. Nie ustępowałem: powiedziałem, że Miralles mógł jeszcze wtedy przyjeżdżać na kemping. „Zapewniam pana, że nie”, odpowiedziała dziewczyna. „Dlaczego?”, spytałem. „Ponieważ nie ma go w naszym archiwum. Właśnie to sprawdziłam. Jest dwóch Mirallesów, ale żaden nie ma na imię Antoni. Ani Antonio”. „A jest może María Miralles?” „Nie”.

Z wielkim podnieceniem i ledwie żywy z niewyspania opowiedziałem Conchi historię Mirallesa, kiedy tego przedpołudnia jedliśmy coś razem w barze samoobsługowym. Wytłumaczyłem, na czym polega błąd perspektywy popełniony przeze mnie przy pisaniu *Żołnierzy spod Salaminy*, i przekonywałem, że Miralles (albo ktoś taki jak on) jest właśnie tą brakującą częścią, niezbędną, żeby mechanizm książki zadziałał. Conchi odstawiła jedzenie, przymknęła powieki i powiedziała z rezygnacją:

- W samą porę zesrał się Lucas!

- Lucas? Kto to jest Lucas?

- Nikt - odpowiedziała. - Przyjaciel. Zesrał się, jak umarł, a umarł, bo nie mógł się zesrać.

- Bardzo cię proszę, Conchi, siedzimy przy stole. Poza tym co ma wspólnego jakiś Lucas z Mirallosem?

- Chwilami przypominasz mi Mózgowca, kotku - westchnęła Conchi. - Gdybym nie wiedziała, że jesteś intelektualistą, powiedziałabym, że jesteś głupi. Czy nie mówiłam ci od samego początku, że powinieneś pisać o jakimś komunście?

- Conchi, mam wrażenie, że nie rozumiałaś dobrze...

- Jasne, że rozumiałam dobrze! - przerwała mi.  
- Oszczędzilibyśmy sobie wielu przykrości, gdybyś od razu mnie posłuchała! Wiesz, co ci powiem?

- Co? - zapytałem, tracąc panowanie nad sobą.

Twarz Conchi rozjaśniła się nagle: patrzyłem na jej szczery uśmiech, tlenione włosy, szeroko otwarte oczy, bardzo wesołe i bardzo ciemne. Conchi uniosła w górę kieliszek cienkiego wina.

- Wyjdzie nam z tego kurewsko dobra książka!

Stuknęliśmy się kieliszkami i poczułem gwałtowną ochotę, żeby wyciągnąć pod stołem nogę i sprawdzić, czy ma na sobie majtki; przez chwilę pomyślałem, że jestem zakochany w Conchi. Pełen szczęścia, zauważyłem roztropnie:

- Jeszcze nie znaleźliśmy Mirallesa.

- Znajdziemy go - stwierdziła z przekonaniem Conchi. - Dowiedziałeś się od Bolaña, gdzie mieszka?

- W Dijon. Albo w okolicach Dijon.

- Więc tam trzeba zacząć poszukiwania.

Wieczorem zadzwoniłem do informacji o numerach zagranicznych. Telefonistka poinformowała mnie, że ani w mieście Dijon, ani w całym dwudziestym pierwszym departamencie, do którego należy Dijon, nie ma nikogo, kto nazywałby się Antoni albo Antonio Miralles. Zapytałem wtedy, czy jest jakaś María Miralles; telefonistka odpowiedziała, że nie. Zapytałem, czy jest

ktoś o nazwisku Miralles, i ku swemu zdumieniu usłyszałem, że jest pięciu Mirallesów: jeden w samym Dijon i czterech w miasteczkach departamentu – jeden w Longuic, jeden w Marsannay, jeden w Nolay i jeden w Genlis. Poprosiłem o podanie mi ich imion oraz numerów telefonu. „To niemożliwe”, odpowiedziała. „Podczas jednego połączenia możemy panu podać tylko jedno imię i jeden numer telefonu. Będzie pan musiał zadzwonić jeszcze cztery razy, żeby uzyskać dane pozostałych czterech”.

W następnych dniach zatelefonowałem do Mirallesa mieszkającego w Dijon (miał na imię Laurent) i do pozostałej czwórki, czyli do Laury, Danielle, Jean-Marie i Bienvenida. Dwoje z nich (Laurent i Danielle) było rodzeństwem, wszyscy, z wyjątkiem Jean-Marie, mówili poprawnie, lub przynajmniej dukali, po hiszpańsku, ale żadne z nich nie było w najmniejszym stopniu spokrewnione z Mirallosem ani nigdy o nim nie słyszało.

Nie skapitulowałem. Zadzwoniłem do Bolaña, być może wiedziony niewzruszoną pewnością, zaszczerpioną mi przez Conchi. Opowiedziałem mu o swoich poszukiwaniach i zapytałem, czy przychodzi mu do głowy jakiś inny ślad, który można wykorzystać. Nie miał żadnego pomysłu.

- Będziesz to musiał wymyślić – powiedział.

- Co takiego?

- Wywiad z Mirallosem. To jedyny sposób, żebyś dokończył powieść.

Wtedy przyszło mi na myśl opowiadanie z mojej debiutanckiej książki, które przypomniał mi Bolaño podczas naszego pierwszego spotkania, o człowieku, który skłania innego do popełnienia zbrodni, żeby móc dokończyć swoją powieść. Zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy. Jedna wprawiła mnie w zdumienie, druga nie. Po pierwsze więc uświadomiłem sobie, że o wiele mniej zależy mi na skończeniu książki niż na rozmowie z Mirallosem; po drugie zaś, że wbrew temu, co sądził dotąd Bolaño (wbrew temu, co sam sądziłem, pisząc pierwszą książkę), wcale nie byłem prawdziwym pisarzem, bo gdybym takowym był, bardziej zależałoby mi na dokończeniu książki niż na rozmowie z Mirallosem. Rezygnując z przypomnienia Bolańowi, że moja książka nie ma być powieścią, lecz historią opartą na prawdziwych faktach, i że wymyślenie rozmowy z Mirallosem oznaczałoby sprzeniewierzenie się temu zamysłowi, westchnąłem tylko:

- No cóż.

Odpowiedź była lakoniczna, nie twierdząca, Bolaño zrozumiał ją jednak opacznie.

- To jedyny sposób - powtórzył, sądząc, że mnie przekonał. - Poza tym najlepszy. Rzeczywistość zawsze nas zdradza, najlepiej więc nie dać jej na to czasu i zdradzić ją wcześniej. Prawdziwy Miralles rozczarowałby cię; lepiej go wymyślić. Z pewnością ten wymyślony będzie prawdziwszy niż ten prawdziwy. Prawdziwego zresztą nie odnajdziesz. Kto wie, co się

z nim dzieje: może umarł, może jest w jakimś domu opieki albo mieszka u córki. Zapomnij o nim.

- Najlepiej, żebyśmy zapomnieli o Mirallesie - powiedziałem wieczorem do Conchi, kiedy już udało mi się przeżyć mrozącą krew w żyłach podróż samochodem do jej domu w Quart i szybki numer w salonie, pod świątobliwym oknem Matki Boskiej z Guadalupe, w melancholijnej obecności obu egzemplarzy moich książek stojących po dwóch stronach obrazu. - Nie wiadomo, gdzie się podziewa: może umarł, może jest w jakimś domu opieki, a może u córki.

- Szukałeś jego córki? - zapytała Conchi.

- Tak, ale jej nie znalazłem.

Popatrzyliśmy na siebie przez sekundę, przez dwie, przez trzy. Potem wstałem bez słowa, podszedłem do telefonu, wybrałem numer informacji o numerach zagranicznych. Powiedziałem telefonistce (chyba rozpoznałem jej głos, a ona chyba rozpoznała mój), że szukam pewnej osoby mieszkającej w domu opieki społecznej w Dijon, i zapytałem, ile domów opieki jest w Dijon. „Uff”, odpowiedziała po chwili. „Mnóstwo”. „Ile to jest mnóstwo?” „Ponad trzydzieści. Może czterdzieści”. „Czterdzieści domów starców!” Popatrzyłem na Conchi, która powstrzymywała śmiech, siedząc na podłodze w zarzuconej naprędce koszuli. „Czy w tym mieście żyją sami starcy?” „Komputer nie podaje, czy to domy starców”, zauważyła telefonistka. „Podaje tylko, że to

domy opieki”. „No więc ile jest tych domów opieki w departamencie?” Po chwili milczenia powiedziała: „Ponad dwa razy więcej”. I z leciutkim, lecz słyszalnym szyderstwem w głosie dodała: „Mogę panu podać tylko jeden numer przy każdym połączeniu. Mam zacząć dyktować w porządku alfabetycznym?” Pomyślałem, że moje poszukiwania dobiegły kresu: sprawdzenie, czy Miralles przebywa w jednym z tych ponad osiemdziesięciu domów opieki, mogło mi zabrać wiele miesięcy i zrujnować mnie finansowo, pomijając już fakt, że nic nie wskazywało na to, iż w którymś rzeczywiście się znajduje, a tym bardziej że jest tym żołnierzem Listera, którego szukałem. Spojrzałem na Conchi, która patrzyła na mnie pytająco, bębniąc niecierpliwie palcami po gołych kolanach. Spojrzałem na swoje książki obok obrazu Matki Boskiej z Guadalupe i sam nie wiem, dlaczego pomyślałem o Danielu Angelatsie. Wtedy, jakbym się na kimś mścił, powiedziałem: „Tak, w porządku alfabetycznym”.

W ten sposób rozpoczęła się moja telefoniczna wędrówka, która miała polegać na codziennych rozmowach telefonicznych przez ponad miesiąc, najpierw z domami opieki w mieście Dijon, a potem z innymi, w całym departamencie. Procedura zawsze była taka sama. Dzwoniłem do informacji o numerach zagranicznych, prosiłem o nazwę i numer telefonu kolejnego domu opieki na liście (pierwsze były Abrioux, Bagatelle, Cellerier, Chambertin, Chanzy,



Eperon, Fontainemont, Kellerman, Lyautey), dzwoniłem tam, pytałem zgłaszającą się osobę o Monsieur Miralles, odpowiadano mi, że nie ma tam żadnego Monsieur Miralles, dzwoniłem więc ponownie do informacji o numerach zagranicznych, prosiłem o następny numer, i tak na okrągło, dopóki się nie zmęczyłem. Następnego dnia (albo dwa dni później, bo czasami nie miałem czasu ani ochoty kontynuować tej obsesyjnej ruletki) znowu wchodziłem w kierat. Na szczęście pomagała mi Conchi. Dzisiaj myślę, że gdyby nie ona, szybko zarzuciłbym poszukiwania. Dzwoniliśmy w wolnych chwilach, niemal zawsze po kryjomu, ja z redakcji, a ona ze studia telewizyjnego. Potem, co wieczór, omawialiśmy wydarzenia dnia i wymienialiśmy się nazwami sprawdzonych już domów opieki, i podczas tych rozmów zrozumiałem, że ta monotonia codziennych telefonów w poszukiwaniu człowieka, którego nie znaleźliśmy i o którym nie wiedzieliśmy nawet, czy żyje, była dla Conchi nieoczekiwaną i ekscytującą przygodą. Co do mnie, to początkowo, zarażony detektywistycznym zapałem Conchi i jej bezgraniczną wiarą w powodzenie naszej akcji, zabrałem się z entuzjazmem do pracy, ale po sprawdzeniu pierwszych trzydziestu domów opieki zacząłem podejrzewać, że robię to już raczej siłą inercji albo z uporu (albo żeby nie rozczarować Conchi) niż dlatego, że żywię jakąś nadzieję na odnalezienie Mirallesa.

Ale pewnego wieczoru zdarzył się cud. Skończyłem redagować jakiś artykuł i zamknęliśmy numer

gazety, rozpocząłem więc swoją codzienną rundę telefoniczną, wybierając numer Résidence de Nymphéas w Fontaine-Lès-Dijon. Gdy tylko zapytałem o Mirallesa, zamiast zwyczajowej odpowiedzi negatywnej usłyszałem po drugiej stronie ciszę. Sądziłem, że odłożyli słuchawkę, i już miałem zrobić to samo, kiedy powstrzymał mnie męski głos.

- *Allo?*

Powtórzyłem pytanie zadane przed chwilą telefonistce, to samo, które zadawaliśmy wszystkim domom opieki w dwudziestym pierwszym departamencie od ponad dziesięciu dni tych szalonych poszukiwań.

- Miralles przy aparacie - odpowiedział po hiszpańsku mężczyzna, ze zdumienia nie zdałem sobie sprawy, że zdradza mnie od razu mój bardzo kiepski francuski. - Z kim mówię?

- Czy to pan Antoni Miralles? - zapytałem ze ściśniętym gardłem.

- Antoni albo Antonio, wszystko jedno - odparł. - Ale proszę do mnie mówić Miralles; wszyscy do mnie mówią Miralles. Z kim rozmawiam?

Dziś myślę, że to nie do wiary, ale wówczas - pewnie w gruncie rzeczy nigdy nie wierzyłem, że w końcu uda mi się z nim porozmawiać - nie przygotowałem sobie żadnej konkretnej formułki przedstawienia się Mirallesowi.

- Pan mnie nie zna, ale ja poszukuję pana od dawna - powiedziałem to, co w pierwszej chwili przyszło

mi do głowy, czując, jak serce podchodzi mi do gardła, a głos drży. Powiedziałem szybko swoje imię i nazwisko, żeby nie dać po sobie poznać emocji, i dorzuciłem: – Jestem przyjacielem Roberta Bolaña.

– Roberta Bolaña?

– Tak, z kempingu „Gwiazda Morza” – wyjaśniłem. – W Castelldefells. Przed laty pan i on...

– Jasne! – Ten okrzyk wywołał u mnie raczej uczucie wdzięczności niż ulgi. – Stróż Bolaño! Niemal go już zapomniałem!

Miralles zaczął wspominać swoje wakacje w „Gwiazdzie Morza” i przyjaźń z Bolañem, gdy tymczasem ja zastanawiałem się, jak poprosić go o spotkanie. Postanowiłem dać spokój wszelkim wybiegom i zaproponować to wprost. Miralles ciągle mówił o Bolaño.

– Co się z nim dzieje?

– Jest pisarzem – odpowiedziałem. – Pisze powieści.

– Wtedy też pisał. Ale nikt ich nie chciał wydawać.

– Teraz jest inaczej. Odniósł sukces jako pisarz.

– Naprawdę? Cieszę się, zawsze uważałem, że to utalentowany gość, oprócz tego, że niepoprawny łgarz. Pewnie trzeba być łgarzem, żeby pisać dobre powieści, co? – Usłyszałem jakiś daleki, krótki i suchy dźwięk, jakby śmiech. – No więc, czym mogę panu służyć?

– Interesuję się pewnym epizodem z wojny domowej. Rozstrzelaniem więźniów frankistowskich w san-

ktuarium Matki Boskiej w Collell, koło Banyoles. Wydarzyło się to pod koniec wojny. – Na próżno czekałem na reakcję Mirallesa. Poszedłem na całość: – Pan tam wtedy był, prawda?

Przez następne, ciągnące się w nieskończoność sekundy słyszałem w słuchawce chrapliwy oddech Mirallesa. W ciszy, z uczuciem triumfu, zrozumiałem, że trafiłem w dziesiątkę. Kiedy znowu się odezwał, mówił pociemniałym głosem, powoli, inaczej.

– Tak panu powiedział Bolaño?

– Sam doszedłem do takiego wniosku. Bolaño opowiedział mi pańską historię. Opowiedział, że całą wojnę służył pan u Listera, aż do wspólnego z nim odwrotu przez Katalonię. Niektórzy żołnierze Listera byli wtedy w Collell, właśnie w czasie, gdy odbyła się egzekucja. Pan mógł być jednym z nich. I tak było, prawda?

Miralles milczał. Znowu usłyszałem chrapliwy oddech, a potem jakiś trzask: pomyślałem, że zapala papierosa. Na linii dała się słyszeć przez chwilę jakaś odległa rozmowa po francusku. Milczenie się przedłużało, wyrzuciłem sobie, że popełniłem błąd, okazując zbyt dużą natarczywość, zanim jednak podjąłem próbę naprawienia tego błędu, usłyszałem wreszcie jego głos:

– Powiedział pan, że jest pisarzem, tak?

– Nie – zaprzeczyłem. – Jestem dziennikarzem.

– Dziennikarz. – Znowu milczenie. – I zamierza pan o tym pisać? Naprawdę pan uważa, że któregoś

z czytelników pana gazety zainteresuje coś, co wydarzyło się sześćdziesiąt lat temu?

- Nie pisałbym o tym do gazety. Piszę książkę. Proszę posłuchać, może źle się wyraziłem. Chciałbym tylko chwilę z panem porozmawiać, usłyszeć pana wersję, żeby móc opowiedzieć, co się rzeczywiście wydarzyło, albo pańską wersję tego, co się wydarzyło. Nie chodzi o to, żeby kogokolwiek rozliczać, tylko żeby postarać się zrozumieć...

- Zrozumieć? - wszedł mi w słowo. - Niech pan mnie nie rozśmiesza! To pan nic nie rozumie. Wojna to wojna. Nie ma tu nic więcej do rozumienia. Wiem to bardzo dobrze, trzy lata życia straciłem na bieganiu z karabinem po Hiszpanii, rozumie pan? Sądzi pan, że ktoś mi za to podziękował?

- Właśnie dlatego...

- Niech pan będzie cicho i posłucha, młody człowieku - przerwał mi. - Proszę odpowiedzieć: sądzi pan, że ktoś mi za to podziękował? Ja panu odpowiem: nikt. Nigdy nikt nie powiedział mi „dziękuję” za to, że poświęciłem młodość, żeby bić się o pański gówniany kraj. Nikt. A teraz, sześćdziesiąt lat później, zjawia się pan ze swoją gównianą gazetką albo książką, albo czym tam jeszcze, żeby mnie zapytać, czy brałem udział w egzekucji. Lepiej od razu oskarżyć mnie o morderstwo!

„Ze wszystkich historii w Historii”, pomyślałem, słuchając Mirallesa, „najsmutniejsza jest historia Hiszpanii, ponieważ kończy się źle”. Potem zastano-

wielem się: „Kończy się źle?” Przypomniałem sobie: „I niech szlag trafi to gówniane przejście do demokracji!” Odezwałem się:

- Przykro mi, że źle mnie pan zrozumiał, panie Miralles...

- Miralles, psiakrew, Miralles! - ryknął Miralles. - Nikt w moim pieprzonym życiu nie mówił do mnie nigdy panie Miralles. Nazywam się Miralles, tylko Miralles. Zrozumiał pan?

- Tak, panie Miralles. Przepraszam, Miralles. Ale powtarzam, że zaszło nieporozumienie. Wytłumaczę, jeżeli pan pozwoli. - Miralles nic nie mówił, więc ciągnąłem dalej: - Bolaño opowiedział mi pańską historię kilka tygodni temu. W tym czasie przestałem właśnie pisać książkę o Rafaelu Sanchezie Mazasie. Słyszał pan o nim?

Miralles zwlekał z odpowiedzią, ale nie dlatego, żeby miał jakieś wątpliwości.

- No pewnie. To ten falangista, prawda? Przyjaciel José Antonia.

- Właśnie. Był jednym z dwóch więźniów, którzy uciekli przed plutonu egzekucyjnego w Collell. Moja książka opowiada o nim, o jego egzekucji, o ludziach, którzy pomogli mu potem przeżyć. Oraz o pewnym żołnierzu Listera, który ocalił mu życie.

- Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Drugi ocalały uciekinier pozostawił świadectwo tamtych zdarzeń, książkę zatytułowaną *Zamordowali mnie czerwoni*.

- Co za tytuł!

- Tak, ale książka jest w porządku, ponieważ przedstawia szczegółowo to, co wydarzyło się w Collell. Brakuje mi natomiast republikańskiej wersji tych wydarzeń, a bez niej książka jest niepełna. Kiedy Bolaño opowiedział mi pana historię, pomyślałem, że może pan też był w Collell wtedy, kiedy doszło do rozstrzelania, i mógłby pan przedstawić mi swoją wersję. Nic więcej. Obiecuję, że nie opublikuję ani jednej linijki bez wcześniejszego skonsultowania jej z panem.

Ponownie usłyszałem oddech Mirallesa, przerywany niewyraźną rozmową po francusku, która przebijała z innej linii. Kiedy wreszcie się odezwał, zrozumiałem, że moje wyjaśnienia go uspokoiły, bo jego głos zabrzmiał tak jak na początku.

- Jak pan zdobył mój numer telefonu?

Wytłumaczyłem mu. Miralles serdecznie się uśmieł.

- Niech pan posłucha, Cercas - zaczął. - A może powinienem mówić panie Cercas?

- Proszę do mnie mówić Javier.

- Zgoda, więc Javier. Wie pan, ile lat właśnie skończyłem? Osiemdziesiąt dwa. Jestem starym człowiekiem i czuję się zmęczony. Miałem żonę i już jej nie mam. Miałem córkę i już jej nie mam. Jeszcze nie doszedłem do siebie po udarze. Nie zostało mi wiele czasu i jedyne, czego pragnę, to przeżyć ten czas w spokoju. Niech mi pan wierzy, te historie nikogo

już nie obchodzą, nawet nas, którzyśmy je przeżyli. Był czas, kiedy obchodziły, ale teraz już nie. Ktoś zdecydował, że należy o nich zapomnieć, i coś panu powiem: ten ktoś miał chyba rację. Poza tym połowa tych historii to niezamierzone kłamstwa, a druga połowa to kłamstwa zamierzone. Proszę mi wierzyć, młody człowieku, jestem panu wdzięczny za telefon, ale lepiej niech mnie pan posłucha i zajmie się czymś innym.

Próbowałem nalegać, ale nic nie wskórałem. Nim Miralles odłożył słuchawkę, poprosił mnie jeszcze o przekazanie pozdrowień Bolañowi. „Niech pan mu powie, że spotkamy się w Stockton”, powiedział. „Gdzie?”, zapytałem. „W Stockton”, powtórzył. „Niech pan mu powie – zrozumie”.

Conchi zareagowała entuzjastycznie, kiedy powiedziałem jej przez telefon o odnalezieniu Mirallesa; potem zagotowała się z oburzenia na wieść, że nic nie wyjdzie ze spotkania.

- Po tym jak poruszyliśmy niebo i ziemię?! - krzyknęła.

- On nie chce, Conchi. Zrozum.

- A co cię to obchodzi, że on nie chce?!

- Conchi, proszę cię.

Zaczęliśmy się kłócić. Starła się mnie przekonać. Starłem się ją przekonać.

- Słuchaj, proszę cię o jedno - powiedziała w końcu. - Zadzwoń do Bolaña. Mnie nie chcesz słuchać, ale on cię przekona. Jeżeli ty nie zadzwonisz, ja to zrobię.



Zadzwońiłem do Bolaña, po części dlatego, że i tak miałem taki zamiar, a po części dlatego, żeby uprzedzić telefon Conchi. Opowiedziałem mu o swojej rozmowie z Mirallosem i o jego kategorycznej odmowie na moją propozycję spotkania. Bolaño nic nie powiedział. Wtedy przypomniałem sobie, co miałem mu przekazać od Mirallesa, i przekazałem to.

- Pieprzony stary drań - mruknął w zamyśleniu Bolaño, choć jego głos zabrzmiał żartobliwie. - Wciąż o tym pamięta.

- Co to znaczy?

- Stockton?

- No właśnie.

Po przydługim milczeniu Bolaño odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Widziałeś *Fat City*?\* - Przytaknąłem. - Miralles bardzo lubił kino - mówił dalej Bolaño. - Oglądał filmy w telewizorze, który instalował pod markizą przyczepy kempingowej; czasami jeździł do Castelldefells i w jeden wieczór oglądał trzy filmy z rzędu, cały repertuar, jak leci. Ja w nieliczne wolne dni jeździłem zawsze do Barcelony, ale kiedyś spotkałem go na deptaku w Castelldefells, napiliśmy się orszady, po czym zaproponował, żebym z nim poszedł do kina. Dziś wydaje się nieprawdopodobne, żeby w letnim kurorcie puszczały film Hustona, ale wtedy takie rzeczy się zdarzały. Wiesz, co znaczy *Fat City*? Można

---

\* *Zachłanne miasto*, reż. John Huston, 1972.

to przetłumaczyć jako „Miasto wielu szans” albo „Fantastyczne miasto”, a jeszcze lepiej „Miasto co się zowie!”. Ten tytuł to ponury żart. Ponieważ Stockton, czyli to filmowe miasto, to potworne miejsce, gdzie nie ma żadnych szans na nic, tylko na klęskę. Na taką absolutną i stuprocentową życiową klęskę. Dziwne, bo we wszystkich filmach o bokserach opowiada się zazwyczaj historię wzlotu i upadku głównego bohatera – najpierw osiąga sukces, a potem doznaje porażki i popada w zapomnienie. A tu nie. W *Fat City* dwaj główni bohaterowie, stary bokser i młody bokser, nie widzą żadnej szansy na odniesienie sukcesu, ani oni, ani nikt z ich otoczenia, na przykład ten stary i skończony już bokser meksykański – przypominasz sobie? – który sika krwią przed wejściem na ring, pojawia się sam w pustej hali sportowej i samotnie ją opuszcza, niemal po ciemku. No, więc tamtego wieczora wstąpiliśmy po filmie do jakiejś knajpy, usiedliśmy przy barze i zamówiliśmy po piwie. Rozmawialiśmy do późna, popijając piwo, a przed sobą, na wprost, mieliśmy wielkie lustro, w którym widzieliśmy własne odbicia i odbicie całej knajpy, tak samo jak dwaj bokserzy ze Stockton pod koniec *Fat City*. Pewnie za sprawą tego zbiegu okoliczności oraz piwa Miralles powiedział w pewnej chwili, że czeka nas podobny koniec, ugrzęźniemy w jakimś nieludzkim mieście, przegrani, samotni i na pół oteępiali, będziemy sikać krwią przed wyjściem na ring, na którym będziemy walczyć na

śmierć i życie z własnym cieniem, w pustej hali sportowej. Miralles nie użył, oczywiście, takich słów jak ja teraz, ale sens był podobny. Tamtego wieczoru humor nam dopisywał; wróciliśmy na kemping nad ranem i widząc, że wszyscy śpią, a bar jest już zamknięty, dalej rozmawialiśmy, śmiejąc się przytłumionym śmiechem, jak śmieją się ludzie na cmentarzach albo w podobnych miejscach. Kiedy w końcu pożegnaliśmy się i ruszyłem, potykając się w ciemności, w stronę swego namiotu, Miralles mnie zawołał. Odwróciłem się. Stał wyprostowany, z wielkim brzuchem, w bladym świetle latarni, z pięścią uniesioną do góry i nim znowu wybuchnął przytłumionym śmiechem, usłyszałem w ciszy uspionego kempingu jego słowa: „Do zobaczenia w Stockton, Bolaño!” Od tamtego czasu, ilekroć żegnaliśmy się do następnego dnia lub do następnego lata, Miralles zawsze dodawał: „Do zobaczenia w Stockton!”

Zapadło milczenie. Przypuszczam, że Bolaño oczekiwał jakiegoś słowa komentacza z mojej strony; ja nie mogłem nic powiedzieć, ponieważ płakałem.

- No cóż - odezwał się Bolaño. - I co teraz zamierzasz?

- Zajebicie! - wykrzyknęła Conchi, kiedy przekazałem jej wiadomość. - Wiedziałam, że Bolaño cię przekona! Kiedy wyjeżdżamy?

- Nie pojedziemy oboje - powiedziałem, myśląc, że obecność Conchi mogłaby nawet ułatwić rozmowę z Mirallosem. - Pojadę sam.

- Nie gadaj głupot! Jutro rano wsiadamy do samochodu i raz-dwa jesteśmy w Dijon.

- Już zdecydowałem - oznajmiłem kategorycznie, przekonany, że podróż do Dijon volkswagenem Conchi jest bardziej ryzykowna niż marsz z kolumną Leclerca z Maghrebu do Czadu. - Jadę pociągiem.

W sobotę po południu pożegnałem się z Conchi na dworcu kolejowym („Pozdrów ode mnie pana Mirallesa”, powiedziała. „Nazywa się Miralles, Conchi - poprawiłem ją. - Tylko Miralles”) i wsiadłem do pociągu do Dijon jak ktoś, kto wsiada do pociągu do Stockton. To był sleeping; pamiętam, że do późna w nocy siedziałem w restauracji z miękkimi, skórzanymi siedzeniami, patrzyłem w okna chłostane pędem nocy, piłem, paliłem i rozmyślałem o Mirallesie, a o piątej nad ranem, wymęczony, spragniony i niewyspany wysiadłem na stacji w Dijon, przeszedłem przez wyludniony peron, oświetlony rzucającymi rachityczne światło latarniami, wziąłem taksówkę i pojechałem do hoteliku „Victor Hugo” przy Rue des Fleurs, niedaleko centrum. Wszedłem do swego pokoju, pociągnąłem wody z kranu, wziąłem prysznic i położyłem się do łóżka. Na próżno starałem się zasnąć. Myślałem o Mirallesie, którego wkrótce miałem zobaczyć, i o Sanchezie Mazasie, którego nie miałem nigdy zobaczyć; myślałem o ich jedynym, hipotetycznym spotkaniu, przed sześćdziesięcioma laty, w lesie, w miejscu odległym o niemal tysiąc kilometrów, w deszczowy, krwawy poranek. Myślałem

o tym, że wkrótce się dowiem, czy Miralles jest tym żołnierzem Listera, który ocalił Sancheza Mazasa, i że dowiem się również, o czym myślał, patrząc mu w oczy, i dlaczego darował mu życie, i że wtedy odsłoni się może przede mną jakaś ważna tajemnica. Zastanawiałem się nad tym wszystkim, gdy zaczęły do mnie docierać pierwsze odgłosy poranka (kroki w korytarzu, śpiew ptaka, wyjący silnik samochodu) wraz ze świadomością, że na zamknięte okiennice napiera już dzień.

Wstałem, otworzyłem okno i okiennice: niezdecydowane promienie porannego słońca oświetlały ogród z drzewkami pomarańczowymi, a dalej spokojną ulicę, wzdłuż której wznosiły się domy ze spadzistymi dachami. Tylko świergot ptaków zakłócał tę prawdziwie wiejską ciszę. Ubrałem się i zjadłem śniadanie w hotelowej jadalni; potem postanowiłem się przejść, ponieważ uważałem, że jest zbyt wcześnie, aby iść do Résidence de Nymphéas. Nigdy nie byłem w Dijon i kiedy niecałe cztery godziny wcześniej jechałem przez miasto taksówką, a wznoszące się wzdłuż ulic budynki przywodziły mi na myśl zwaliste cielska prehistorycznych zwierząt, kiedy spoglądałem sennie na ich majestatyczne fasady, połyskujące świetlistymi reklamami, odniosłem wrażenie, że oto znalazłem się w jednym z tych imponujących średniowiecznych miast, które nocą zmieniają się w widma i dopiero wówczas ukazują swoje prawdziwe oblicze, zetlałą pozostałość minionej potęgi. Teraz natomiast, gdy

ruszyłem Rue des Fleurs i, przez Rue des Roses i Rue Desvoges dotarłem na Place D'Arcy – który o tej porze już huczał od samochodów objeżdżających Łuk Triumfalny – Dijon wydało mi się jednym z owych smutnych miast francuskiej prowincji, w których smutni mężowie z powieści Simenona popełniają swe smutne zbrodnie, miastem pozbawionym radości życia i przyszłości, tak samo jak Stockton. Mimo że było całkiem chłodno i słońce ledwo się pokazywało, usiadłem w ogródku jakiejś kawiarni na Place Grangier i zamówiłem coca-colę. Po prawej stronie kawiarnianego ogródka, na brukowanej ulicy, rozłożyli się uliczni sprzedawcy, w tyle wznosił się kościół Notre Dame. Zapłaciłem za coca-colę, przespacerowałem się między straganami, zaglądając to tu, to tam, przeszedłem na drugą stronę ulicy i wszedłem do kościoła. W pierwszej chwili wydało mi się, że jest pusty, ale słysząc odgłos własnych kroków odbijający się od gotyckiego sklepienia, zauważyłem przed bocznym ołtarzem kobietę, która zapalała świeczkę, a potem pisała coś w zeszycie rozłożonym na pulpicie. Kiedy zbliżyłem się do ołtarza, kobieta skończyła pisać, odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Minęliśmy się pośrodku nawy: była wysoka, młoda, blada i dystygowana. Stanąwszy przed ołtarzem, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie przeczytać ostatniego zapisanego w zeszycie zdania: „Boże, pomóż mnie i mojej rodzinie w tym czasie ciemności”.

Wszedłem z kościoła, zatrzymałem taksówkę i podałem kierowcy adres Résidence de Nymphéas,

w Fontaine-Lès-Dijon. Dwadzieścia minut później taksówka zatrzymała się na rogu Route des Daix i Rue des Combottes, przed prostokątnym budynkiem o bladozielonej fasadzie, najeżonej miniaturowymi balkonikami, za którym rozciągał się ogród z ławkami i żwirowymi alejkami. W recepcji zapytałem o Mirallesa; młoda dziewczyna o wyglądzie zakonniczki i w zakonnym stroju przyjrzała mi się z zaciekawieniem, a nawet zdumieniem, po czym spytała, czy jestem jego krewnym. Powiedziałem jej prawdę.

- A więc przyjacielem?

- Mniej więcej - odparłem.

- Pokój numer dwadzieścia dwa. - Po chwili dodała, wskazując korytarz: - Ale właśnie widziałam go tam; pewnie jest w sali telewizyjnej albo w ogrodzie.

Korytarz prowadził do dużej sali o wielkich oknach wychodzących na ogród z fontanną i leżakami, na których w cieplejszych już promieniach południowego słońca opalało się kilkoro starszych ludzi, owiniętych w kraciaste koce. W sali było dwoje ludzi - kobieta i mężczyzna. Oboje siedzieli na fotelach obitych skajem i oglądali telewizję. Trudno było nie zatrzymać wzroku na mężczyźnie: blizna biegła mu od skroni przez policzek i szczękę, potem schodziła na szyję i znikła wśród owłosienia wystającego spod szarej, flanelowej koszuli. Domyśliłem się od razu, że to Miralles. W panice szukałem słów, jakimi mógłbym go zagadnąć, i nic mi nie przychodziło do głowy. Z sercem skaczącym do gardła usiadłem w fotelu

obok niego. Miralles nie odwrócił się, ale po ledwie dostrzegalnym drgnięciu jego ramion poznałem, że zauważył cudzą obecność. Postanowiłem czekać, usiadłem wygodniej, spojrzałem w telewizor. Na ekranie świeciło olśniewające słońce, a prezenter o nienagannej fryzurze i ujmującym sposobie bycia, z którym kontrastował pogardliwy grymas ust, wydawał polecenia uczestnikom jakiegoś teleturnieju.

- Czekałem na pana wcześniej - mruknął Miralles, niemal szeptem, nie odrywając wzroku od ekranu. - Trochę się pan spóźnił.

Spojrzałem na jego nieruchomy, kamienny profil, rzadkie, szare włosy, siwą brodę, okalającą niczym gęste chaszczce groźną przecinkę blizny, perkaty nos, znamionujący upór podbródek, na jesienną obfitość brzucha, napierającego na guziki koszuli, potężne ręce z konstelacją starczych plam, oparte na białej lasce.

- Spóźnił? - zdziwiłem się.

- Jest prawie pora obiadu.

Nic nie odpowiedziałem. Spojrzałem na ekran, wypełniony tym razem sprzętem gospodarstwa domowego; w sali słyhać było tylko głos niestrudzonego prezentera oraz odgłosy sprzątanania dochodzące z korytarza. Trzy albo cztery fotele od Mirallesa siedziała nadal kobieta, nieruchomo, z brodą opartą na wątlej, pokrytej siecią niebieskich żyłek ręce; przez chwilę wydawało mi się, że śpi.

- Niech mi pan powie, Javier - odezwał się Miralles, jakbyśmy gawędzili od dłuższego czasu i wracali



do rozmowy po krótkiej przerwie – lubi pan telewizję?

– Tak – odpowiedziałem, a moją uwagę przyciągnęły gęste siwe włosy wystające z dziurek jego nosa. – Ale rzadko oglądam.

– Ja natomiast wcale nie lubię. Ale często oglądam: teleturnieje, reportaże, filmy, koncerty galowe, wiadomości, wszystko, jak leci, wie pan? Mieszkam tu od pięciu lat i czuję się odcięty od świata. Gazety mnie nudzą, od dawna nie słucham też radia, tylko z telewizji dowiaduję się, co się dzieje. Weźmy, na przykład, ten program – wskazał na telewizor, nie unosząc nawet czubka łaski. – W życiu nie widziałem czegoś bardziej debilnego: ludzie zgadują, ile kosztuje każdy z tych przedmiotów, a jeżeli zgadną, mogą sobie dany przedmiot zatrzymać. Ale niech pan spojrzy, jacy są szczęśliwi, niech pan zauważy, jak się śmieją. – Miralles zamilkł na chwilę, niewątpliwie po to, abym mógł ocenić trafność jego spostrzeżenia. – Dzisiaj ludzie są dużo szczęśliwsi niż w moich czasach i widzi to każdy, kto się dostatecznie długo naził. Dlatego ilekroć słyszę, jak jakiś starzec zrzędzi na temat tego, co nas czeka w przyszłości, wiem, że chce się tym sposobem pocieszyć, bo żałuje, że tej przyszłości nie doczeka, a ilekroć słyszę, jak jakiś intelektualista wiesza psy na telewizji, wiem, że mam przed sobą kretyna.

Prostując się trochę, zwrócił w moim kierunku swoje wielkie, choć przykurczone nieco na starość

cielsko gladiatora i przyjrzał mi się zielonymi oczami, które były zdumiewająco różne: lewe bez wyrazu i na pół przysłonięte blizną; prawe – szeroko otwarte, spoglądające badawczo, niemal ironicznie. Odkryłem wtedy, że kamienny, nieruchomy wyraz twarzy Mirallesa odpowiada tylko tej połowie zniszczonej przez bliznę; w drugiej połowie twarz jest żywa i pełna werwy. Pomyślałem, że to tak, jakby dwie osoby żyły pospołu w jednym ciele. Trochę onieśmiewiony jego bliskością, zastanawiałem się, czy weterani spod Salaminy też by wyglądali jak ludzkie wraki, jak starzy kierowcy ciężarówek potrąceni przez samochód.

– Pali pan? – zapytał Miralles.

Zrobiłem ruch ręką, sięgając po papierosy do kieszeni marynarki, ale Miralles nie pozwolił mi ich wyjąć.

– Tu nie można. – Podniósł się z wysiłkiem, wspierając się na poręczach fotela i na lasce, odrzucił bez ceregieli moją pomoc („Niech pan mnie zostawi, poproszę, jak będę potrzebował pomocy”) i nakazał: – Dalej. Chodźmy się przejść.

Staliśmy w drzwiach prowadzących do ogrodu, gdy w korytarzu pojawiła się zakonnica w wieku około czterdziestu lat, czarnowłosa, uśmiechnięta i smukła, ubrana w białą bluzkę i szarą spódnicę.

– Siostra Dominique poinformowała mnie, że ma pan gościa, Miralles – powiedziała, wyciągając do mnie bladą, kościstą dłoń. – Jestem siostra Françoise.

Uścisnąłem jej dłoń. Miralles przytrzymał uchylone drzwi i dokonał prezentacji, czując się wyraźnie niezręcznie, jakby go przyłapano na jakimś wykroczeniu: powiedział, że siostra Françoise jest dyrektorką domu opieki; podał moje nazwisko.

- Pracuje w gazecie - dodał. - Przyjechał zrobić ze mną wywiad.

- Naprawdę? - Zakonnica uśmiechnęła się szeroko. - Na jaki temat?

- Nic ważnego - odparł Miralles, przynaglając mnie spojrzeniem, żebym wreszcie wyszedł do ogrodu. Zrobiłem, co chciał. - Chodzi o zabójstwo. Wydarzyło się sześćdziesiąt lat temu.

- Cieszę się - roześmiała się siostra Françoise. - Już czas, żeby zaczął pan wyznawać swoje zbrodnie.

- Niech siostra sobie idzie do diabła - pożegnał się Miralles. - Sam pan widzi - mruknął potem, kiedy szliśmy obok stawu pokrytego kobiercem nenufarów, mijając po drodze grupę staruszków leżących na hamakach - całe życie gardłowałem przeciwko księżom i zakonnicom, a dzisiaj proszę, tkwię tu, otoczony zakonnkami, które nie pozwalają mi nawet palić. Jest pan wierzący?

Szliśmy teraz żwirową alejką wzdłuż bukszpanowego żywopłotu. Pomyślałem o bladej, dystygowanej kobiecie, którą widziałem rano w kościele Notre Dame, jak zapalała świecę i zapisywała prośbę do Boga, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć na jego pytanie, zrobił to sam.

- Co za bzdura! Dzisiaj już nikt nie wierzy, naturalnie oprócz siostrzyczek. Ja też nie wierzę, wie pan? Brak mi wyobraźni. Jak umrę, chciałbym, żeby ktoś zatańczył na moim grobie, tak byłoby weselej, prawda? Siostrze Françoise to by się, oczywiście, nie spodobało. Myślę, że odprawią za mnie mszę i zmówią „wieczny odpoczynek”. Wszystko mi jedno. Podobała się panu siostra Françoise?

Nie wiedziałem, czy Mirallesowi siostra się podoba, czy nie, więc na wszelki wypadek odpowiedziałem, że nie zdążyłem sobie jeszcze wyrobić opinii.

- Nie pytam o pańską opinię - nalegał Miralles.  
- Pytam, czy panu się podoba, czy nie. Powiem panu prawdę, pod warunkiem, że dotrzyma pan tajemnicy: mnie się bardzo podoba. Jest ładna, sympatyczna i bystra. I młoda. Czego więcej można chcieć od kobiety? Gdyby nie była zakonnicą, poklepałbym ją po tyłku już wiele lat temu. Ale skoro jest zakonnicą... Trzeba się obejść smakiem!

Minęliśmy wjazd do podziemnego garażu, zeszliśmy ze żwirowej alejki i ruszyliśmy pod górkę - Miralles nadspodziewanie zręcznie, opierając się na lasce, ja tuż za nim, w strachu, że w każdej chwili może się przewrócić - niewysokim nasypem; po drugiej stronie rozciągał się niewielki trawnik, z drewnianą ławką zwróconą w kierunku mało ruchliwej Rue des Combottes i rzędu bliźniaczych domków. Usiedliśmy na ławce.

- Dobrze - powiedział Miralles, opierając łaskę o krawędź ławki - czas na papierosa.

Poczęstowałem go; podałem mu ogień; sam też zapaliłem. Miralles rozkoszował się papierosem i głęboko wciągał dym.

- Nie wolno palić w domu opieki? - zapytałem.

- Absolutnie! Ale właściwie nikt nie pali. Mnie zabronił lekarz po udarze. Nie wiem, co ma jedno do drugiego. Czasami jednak zachodzę do kuchni, wyciągając od kucharza papierosa i palę w swoim pokoju albo przychodzę tu zapalić. Ładny widok, co?

Nie chciałem od razu przejść do zadawania pytań, poza tym miałem ochotę posłuchać, jak mówi o swoich sprawach, gawędziliśmy więc chwilę o jego życiu w domu opieki, o „Gwieździe Morza”, o Bolañu. Stwierdziłem, że ma jasny umysł i znakomitą pamięć, i słuchając go niezbyt uważnie, myślałem, że Miralles jest w tym samym wieku, w jakim byłby dzisiaj mój ojciec, gdyby żył; fakt ten wydał mi się dziwny; jeszcze dziwniejsze wydało mi się to, że przypominał mi się ojciec, akurat w tej chwili i w tym miejscu. Pomyślałem, że ojciec, chociaż umarł przed sześcioma już laty, pozostaje żywy, bo wciąż jeszcze ktoś o nim pamięta. Potem pomyślałem, że to nie ja pamiętam ojca, lecz to on uczepił się mojej pamięci, aby nie umrzeć do końca.

- Ale pan tu przecież nie przyjechał, żeby rozmawiać o takich sprawach - przerwał nagle Miralles; już jakiś czas temu skończyliśmy palić. - Przyjechał pan porozmawiać o Collell.

Nie wiedziałem, od czego zacząć, rzuciłem więc:

- Rzeczywiście był pan wtedy w Collell?

- Jasne, że byłem w Collell. Niech pan nie struga wariata: gdyby mnie tam nie było, pana nie byłoby tutaj. Jasne, że tam byłem: tydzień, może dwa, nie dłużej. To było pod koniec stycznia trzydziestego dziewiątego roku, pamiętam dobrze, bo trzydziestego pierwszego stycznia przekroczyłem granicę, tej daty nigdy nie zapomnę. Byliśmy niedobitkami V Korpusu Armii Ebro, większość z nas walczyła przez całą wojnę i od poprzedniego lata biliśmy się bez przerwy aż do chwili, gdy załamał się front i wściekli musieliśmy się wycofać w kierunku granicy, a Marokańscy i faszyci deptali nam po piętach. Nagle, o krok od granicy francuskiej, kazali nam zatrzymać się na odpoczynek. Jasne, byliśmy wdzięczni, bo od dłuższego czasu dostawaliśmy nieźle po dupie, ale równocześnie nie rozumieliśmy, czemu ma służyć to kilkudniowe zawieszenie broni. Krążyło wiele plotek: niektórzy twierdzili, że Líster przygotowuje się do obrony Gerony albo do jakiegoś kontrataku nie wiadomo gdzie. Brednie: nie mieliśmy broni ani amunicji, ani żywności, ani w ogóle niczego; w gruncie rzeczy nie byliśmy nawet wojskiem, lecz bandą wygłodzonych łachmaniarzy, rozproszoną po lasach. Ale rzeczywiście, tak jak mówię, przynajmniej czekał nas odpoczynek. Zna pan pewnie Collell?

- Trochę.

- To niedaleko Gerony, w okolicach Banyoles. Na tych kilka dni niektórzy stanęli właśnie w Banyoles,

inni w okolicznych wsiach, a jeszcze innych, wśród nich mnie, wysłano do Collell.

- Po co?

- Nie wiem. Myślę, że tak naprawdę nikt tego nie wiedział. Nie rozumie pan? Panowało niesamowite zamieszanie, ratuj się, kto może. Wszyscy wydawali rozkazy, ale nikt tych rozkazów nie słuchał. Ludzie dezerterowali, gdy tylko nadarzała się okazja.

- Dlaczego pan tego nie zrobił?

- Dlaczego nie zdezerterowałem? - Miralles popatrzył na mnie, jakby jego umysł nie był przygotowany na przyswojenie sobie takiego pytania. - Sam nie wiem. Chyba nie przyszło mi to do głowy. Wie pan, w takich chwilach nie myśli się logicznie. Poza tym dokąd właściwie miałbym pójść? Rodzice już nie żyli, brat był także na froncie... Niech pan patrzy - podniósł laskę, jakby niespodziewane zdarzenie miało go wybawić z kłopotu - idą.

Przed nami, po drugiej stronie ogrodzenia oddzielającego dom opieki od Rue des Combottes, przechodziła grupa malców zaganianych w trzódkę przez dwie nauczycielki. Żałowałem, że przerwałem Mirallesowi, ponieważ pytanie (albo niezdolność Mirallesa do odpowiedzi na nie, a może rzeczywiście chodziło tylko o dzieci) przerwało tok jego wspomnień.

- Wszystko jak w zegarku - powiedział. - Ma pan dzieci?

- Nie.

- Nie lubi pan dzieci?

- Lubię – odparłem i pomyślałem o Conchi. – Ale nie mam.

- Ja też lubię – wyznał, machając laską w ich kierunku. – Niech pan spojrzy na tamtego urwisa, tego w czapce.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, patrząc na dzieci. Nie miałem nic do powiedzenia, ale zacząłem głupio filozofować:

- Zawsze sprawiają wrażenie szczęśliwych.

- Niech pan się dobrze przyjrzy – poprawił mnie Miralles. – Nigdy nie sprawiają takiego wrażenia. One po prostu są szczęśliwe. Tak samo jak my. Problem w tym, że ani one, ani my nie zdajemy sobie z tego sprawy.

- Co pan przez to rozumie?

Miralles po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Żyjemy, prawda? – Wstał, pomagając sobie laską.

- No cóż, czas na obiad.

W drodze powrotnej do budynku powiedziałem:

- Mówił pan o Collell.

- Może pan dać mi drugiego papierosa?

Dałem mu całą paczkę, jakbym chciał go przekucić. Chowając papierosy do kieszeni, zapytał:

- Na czym to skończyłem?

- Że kiedy pan tam był, to było jedno wielkie zamieszanie.

- No tak – z łatwością podjął przerwany wątek. – Niech pan sobie wyobrazi sytuację. Byliśmy my, czyli to, co zostało z batalionu; dowodził nami kapitan,



Bask, dość przyzwoity facet, nie pamiętam jego nazwiska, poprzedni dowódca, major, zginął podczas bombardowania przy wycofywaniu się z Barcelony. Ale byli także cywile, karabinierzy, ludzie z SIM-u. Najróżniejsi. Jestem przekonany, że nikt nie wiedział, co my tam właściwie robimy, przypuszczam, że czekaliśmy na rozkaz przekroczenia granicy, bo nic innego nam nie pozostało.

- Nie pilnowaliście więźniów?

Skrzywił się sceptycznie.

- Tak jakby.

- To znaczy jak?

- Jasne, że pilnowaliśmy - przyznał niechętnie.

- Chcę tylko powiedzieć, że to było zadanie karabinierów. Tylko czasami, kiedy więźniowie wychodzili na spacer albo w jakimś innym celu, kazali nam przy nich być. Jeżeli to pan nazywa pilnowaniem, to tak, pilnowaliśmy ich.

- Wiedzieliście, kim są?

- Wiedzieliśmy, że to grube ryby. Biskupi, wojskowi, falangiści z grup dywersyjnych piątej kolumny. Ludzie tego typu.

Wróciliśmy zwirową alejką; starszankowie opalający się kilkanaście minut wcześniej na hamakach w słońcu, które w tym czasie przesunęło się dalej, rozmawiali teraz w grupkach przy wejściu do budynku i w sali telewizyjnej, gdzie nadal grał telewizor.

- Jest jeszcze wcześnie, poczekajmy, niech wejdą - powiedział Miralles, chwytając mnie za ramię i zmuszając, żebym usiadł obok niego na brzegu sadzawki.

- Chciał pan porozmawiać o Sanchezie Mazasie, prawda? - Przytaknąłem. - Podobno był dobrym pisarzem. Jaka jest pana opinia?

- Był dobrym pisarzem mniejszego kalibru.

- A co to niby znaczy?

- Że był dobrym pisarzem, ale nie był wielkim pisarzem.

- Czyli że można być dobrym pisarzem, będąc jednocześnie strasznym skurwysynem. Kto by pomyślał, prawda?

- Wiedział pan, że Sánchez Mazas jest w Collell?

- Oczywiście! Jak mogłem tego nie wiedzieć? Przecież to była najgrubsza ryba! Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Wszyscy słyszeliśmy o Sanchezie Mazasie i wystarczająco dużo o nim wiedzieliśmy, to znaczy że z jego winy oraz z winy czterech czy pięciu takich typów jak on wydarzyło się to, co się wydarzyło. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że kiedy on zjawił się w Collell, my byliśmy tam już od kilku dni.

- Możliwe. Sánchez Mazas przyjechał zaledwie pięć dni przed egzekucją. Wcześniej mówił pan, że przekroczył pan granicę trzydziestego pierwszego stycznia. Egzekucja była trzydziestego.

Miałem go właśnie zapytać, czy tamtego dnia stacjonował jeszcze w Collell i czy pamięta, co się wydarzyło, ale Miralles, wygrzebujący wcześniej końcem łaski ziemię pomiędzy chodnikowych płyt, sam zaczął mówić.

- Poprzedniej nocy kazali nam przygotować rzeczy, bo nazajutrz mieliśmy wyruszyć - wyjaśnił. -

Rankiem zobaczyliśmy, jak sznur więźniów wychodzi z sanktuarium w obstawie kilku karabinierów.

- Wiedzieliście, że mieli być rozstrzelani?

- Nie. Myśleliśmy, że idą do jakiejś pracy albo że będą wymienieni, bo dużo się mówiło o wymianie. Choć miny karabinierów nie wskazywały na to, żeby miało chodzić o wymianę, fakt.

- Znał pan Sancheza Mazasa? Zauważył go pan wśród więźniów?

- Nie, nie wiem... Chyba nie.

- Nie znał go pan czy nie poznał?

- Nie poznałem, bo znać, to go znałem. Jak miałbym go nie znać! Wszyscy go znaleźliśmy.

Miralles zapewnił, że ktoś taki jak Sánchez Mazas nie mógł pozostać niezauważony w tym miejscu. On sam, podobnie jak pozostali żołnierze republikańscy, wielokrotnie przyglądał mu się, kiedy Sánchez Mazas wychodził na spacer do ogrodu z innymi więźniami: jak przez mgłę pamiętał jeszcze jego szkła krótkowidza, garbaty żydowski nos i kurtkę, w której później wystąpił przed kamerą kroniki filmowej Franco, żeby opowiedzieć triumfalnie o swojej niewiarygodnej przygodzie... - Miralles zamilkł, jakby wyężdżenie pamięci zupełnie go wycieńczyło. Z wnętrza budynku dobiegał cichy brzęk naczyń; rzuciłem przelotne spojrzenie na zgaszony ekran telewizora. Miralles i ja byliśmy teraz sami w ogrodzie.

- A potem?

Miralles przestał grzebać końcem laski między płytami chodnika i głęboko zaczerpnął powietrza.

- Potem nic. - Zrobił długi wydech. - Naprawdę nie pamiętam tego zbyt dobrze, wszystko było takie chaotyczne. Przypominam sobie, że usłyszeliśmy strzały i rzuciliśmy się biegiem w tamtym kierunku. Ktoś krzyknął, że jacyś więźniowie podjęli próbę ucieczki, zaczęliśmy więc przeczesywać las, żeby ich znaleźć. Nie wiem, jak długo trwała obława, ale od czasu do czasu rozbrzmiewały wystrzały, a to znaczyło, że kogoś dopadli. W każdym razie wcale mnie nie dziwi, że niektórym udało się uciec.

- Uciekło dwóch.

- Mówię właśnie, że nic dziwnego. Zaczęło padać, a tamtejszy las jest bardzo gęsty. Przynajmniej ja go tak zapamiętałem. Wreszcie, kiedy zmęczyliśmy się już szukaniem (albo ktoś nam rozkazał skończyć), wróciliśmy do sanktuarium, zebraliśmy wszystkie swoje rzeczy i tego samego ranka opuściliśmy to miejsce.

- Czyli według pana to nie było rozstrzelanie.

- Niech mi pan nie wkłada w usta rzeczy, których nie powiedziałem, młody człowieku. Ja panu tylko opowiadam, jak było i co sam zobaczyłem. Interpretacja to pana działka, od tego jest pan dziennikarzem, prawda? Poza tym musi pan przyznać, że jeżeli ktoś zasługiwał wówczas na rozstrzelanie, to Sánchez Mazas. Gdyby zlikwidowano go w odpowiednim czasie, jego i kilku takich jak on, może uniknęli-  
byśmy wojny. Nie sądzi pan?

- Uważam, że nikt nie zasługuje na rozstrzelanie.

Miralles odwrócił się powoli w moją stronę i przyjrzał mi się swoimi niesymetrycznymi oczami. Patrzył długo, jakby szukał w moich oczach odpowiedzi na swoje ironiczne zdumienie. Nagle jego twarde rysy złagodniały w serdecznym uśmiechu. Przez chwilę przestraszyłem się, że uśmiech zmieni się w wybuch gromkiego śmiechu.

- Niech mi pan nie mówi, że jest pan pacyfistą! - powiedział i położył mi dłoń na ramieniu. - Trzeba było od tego zacząć! A skoro o tym mowa - wstał, opierając się na moim ramieniu, i wskazał laską wejście do budynku - zobaczymy, jak pan sobie poradzi z siostrą Françoise.

Puściłem żart Mirallesa mimo uszu i przekonany, że nasz czas dobiega końca, powiedziałem pospiesznie:

- Chciałbym zadać panu ostatnie pytanie.

- Tylko jedno? Siostrze, dziennikarz chce mi zadać ostatnie pytanie! - krzyknął w stronę zakonnicy.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła siostra Françoise. - Ale jeżeli odpowiedź będzie bardzo długa, zostanie pan bez obiadu, Miralles. - Potem zwróciła się do mnie z uśmiechem: - Może przyjdzie pan po południu?

- Jasne, młody człowieku - przytaknął jowialnie Miralles. - Proszę przyjść po południu. Będziemy dalej rozmawiać.

Ustaliliśmy, że wrócę o piątej, po sjeście i ćwiczeniach rehabilitacyjnych. Razem z siostrą Françoise odprowadziliśmy Mirallesa do jadalni.

- Niech pan nie zapomni o papierosach - szepnął mi do ucha na pożegnanie. Potem wszedł do jadalni i siadając przy stole, między dwiema siwymi jak gołąbki staruszkami, które już jadły, mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Co pan mu dał? - zapytała siostra Françoise, prowadząc mnie do wyjścia.

Pomyślałem, że ma na myśli zabronione papierosy, których paczka rysowała się wyraźnie w kieszeni koszuli Mirallesa. Zaczerwieniłem się.

- Dlaczego siostra pyta?

- Wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Ach tak - uśmiechnąłem się z ulgą. - Rozmawialiśmy o wojnie.

- O jakiej wojnie?

- O wojnie domowej w Hiszpanii.

- Nie wiedziałam, że Miralles walczył na wojnie.

Już miałem jej powiedzieć, że Miralles walczył nie na jednej, lecz na wielu wojnach, ale nie zdołałem, bo w tej samej chwili stanął mi przed oczami Miralles, jak maszeruje przez libijską pustynię w kierunku oazy Murzuk, młody, obszarpany, pokryty kurzem pustyni; jest jednym z wielu bezimiennych żołnierzy i niesie trójkolorową flagę kraju, który nie jest jego krajem, kraju, który jest wszystkimi krajami naraz i który jest także krajem wolności, a istnieje nadal tylko dlatego, że czterech Marokańczyków i jeden czarny trzymają ten sztandar w górze i idą naprzód, naprzód, wciąż naprzód.

- Czy ktoś go odwiedza? - zapytałem siostrę Françoise.

- Nie. Na początku odwiedzał go zięć, mąż jego zmarłej córki, ale potem przestał przychodzić. Myślę, że się posprzecjali. No cóż, Miralles ma dosyć trudny charakter, ale i złote serce, bez dwóch zdań.

Słuchając jej opowieści o udarze, który kilka miesięcy wcześniej sparaliżował lewą stronę ciała Mirallesa, pomyślałem, że siostra Françoise mówi jak dyrektorka sierocińca, która stara się ulokować niesfornego podopiecznego u potencjalnego opiekuna. Pomyślałem także, że Miralles nie jest może niesfornym podopiecznym, lecz z pewnością człowiekiem opuszczonym przez wszystkich, i sam sobie zadałem pytanie, czyjej pamięci uczepi się Miralles po śmierci, żeby nie umrzeć do końca.

- Myśleliśmy, że z tego nie wyjdzie - ciągnęła siostra Françoise - ale doszedł do siebie raz-dwa, jest silny jak tur. Źle znosi zakaz palenia i dietę bez soli, ale przyzwyczai się. - Dochodząc do lady w recepcji, uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę. - Zatem widzimy się po południu, prawda?

Przed wyjściem z budynku spojrzałem na zegarek: wskazywał kilka minut po dwunastej. Miałem przed sobą pięć wolnych godzin. Poszedłem kawałek Route des Daix w poszukiwaniu jakiegoś baru ze stolikami na zewnątrz, gdzie mógłbym coś zjeść. Nic jednak nie znalazłem - w dzielnicy były same szerokie, typowo podmiejskie aleje zabudowane rzędami domków-

bliźniaków, więc zatrzymałem pierwszą przejeżdżającą taksówkę i kazałem się zawieźć z powrotem do centrum. Znalazłem się na półkolistym placu, zamkniętym pałacem książąt burgundzkich. Usiadłem w kawiarni na świeżym powietrzu przed frontem pałacu i wypięm dwa piwa. Z mojego miejsca widać było tabliczkę z nazwą placu: Place de la Libération. Od razu pomyślałem o Mirallesie wkraczającym do Paryża nocą dwudziestego czwartego sierpnia 1944 roku od strony Porte-de-Gentilly, z pierwszymi oddziałami aliantów, w czołgu, który mógł się nazywać „Guadalajara” albo „Saragossa”, albo „Belchite”. Przy sąsiednim stoliku jakieś bardzo młode małżeństwo zachwycało się na przemian to uśmiechami, to płaczącymi minkami różowiutkiego bobasa, ulicą przechodzili zajęci swoimi sprawami i obojętni ludzie. Pomyślałem: „Nikt nie wie tutaj o tym niedowidzącym, dożywającym swoich dni starcu, który pali po kryjomu papierosy i właśnie teraz je obiad bez soli w domu opieki o kilka kilometrów stąd, a przecież wszyscy są jego dłużnikami”. Pomyślałem: „Nikt nie będzie o nim pamiętał, kiedy umrze”. Znowu stanął mi przed oczami Miralles, jak maszeruje do oazy Murzuk pod sztandarem wolnej Francji, po niekończącej się i rozżarzonej słońcem libijskiej pustyni, gdy tymczasem wolni ludzie spacerują po tym placu we Francji i po wszystkich placach Europy, załatwiając swoje sprawy, i nie mając świadomości, że ich los i los cywilizacji, której sami się wyrzekli, zależał



właśnie od tego, czy Miralles będzie nadal maszerował naprzód, wciąż naprzód. Przypomniałem sobie wtedy Sancheza Mazasa i José Antonia i przyszło mi do głowy, że może wcale się nie mylili, uważając, że ostatecznie zawsze ratuje cywilizację pluton żołnierzy. Pomyślałem: „José Antonio i Sánchez Mazas nie wyobrażali sobie jednak, że ani oni sami, ani nikt im podobny nie wejdzie w skład tego plutonu, lecz że będzie się on składał z czterech Marokańczyków, Murzyna i katalońskiego tokarza, który znajdzie się tam przez przypadek albo dlatego, że miał pecha, i który umarłby ze śmiechu, gdyby ktoś mu powiedział, że ocala nas wszystkich w tych czasach ciemności, bo przecież nie wyobrażał sobie wtedy, że los cywilizacji zależy od niego, i może właśnie dlatego ocalił ją i ocalił nas wszystkich, nie wiedząc, że końcową zapłatą będzie samotne dogorywanie w przytułku dla ubogich w bardzo smutnym mieście pewnego kraju, który nie będzie nawet jego krajem, i gdzie nikt nie zapłaci po jego odejściu, może z wyjątkiem pewnej uśmiechniętej i smukłej zakonnicy, która nawet nie wiedziała, że kiedyś walczył na wojnie”.

Wstąpiłem na obiad do „Café Central” na Place Grangier, nieopodal miejsca, w którym zjadłem rano śniadanie, a potem kupiłem karton papierosów i wypiszy jeszcze kawę i szklaneczkę whisky w kawiarni przy Rue de la Poste, wróciłem do Résidence des Nymphéas. Dochodziła piąta, gdy Miralles zaprosił mnie do siebie. Przekonałem się, nie bez zdziwienia,

że nie jest to wcale obskurny pokój w przytułku, lecz mały czysty apartament, uporządkowany i słoneczny. Wystarczył jeden rzut oka, by się zorientować, że apartament składa się z kuchni, łazienki, sypialni i saloniku o niemal nagich ścianach, z dwoma wielkimi fotelami, stolikiem i olbrzymim oknem wychodzącym na balkon skąpany w popołudniowym słońcu. W ramach powitania wręczyłem Mirallesowi karton papierosów.

- Chyba pan zwariował - powiedział, zdejmując celofan i wyciągając dwie paczki. - Gdzie miałbym schować taką furę papierosów? - Oddał mi resztę. - Ma pan ochotę na filiżankę neski? Bez kofeiny, oczywiście. Prawdziwej pić mi nie wolno.

Nie miałem ochoty na neskę, ale zgodziłem się. Przygotowując kawę, Miralles zapytał, jak mi się podoba jego mieszkanie: odpowiedziałem, że jest bardzo ładne. Wytłumaczył mi, jakie usługi oferuje dom opieki (lecnicze, rozrywkowe, kulturalne, związane z utrzymaniem higieny) oraz jakie ćwiczenia rehabilitacyjne codziennie powinien wykonywać. Kiedy zrobił kawę, wziąłem filiżanki, żeby zanieść je do saloniku, ale powstrzymał mnie ruchem ręki: otworzył stojącą na podłodze szafkę, ze zwinnością akrobaty zniknął w niej do połowy i triumfalnie wyciągnął metalową piersiówkę.

- Bez polepszacza - wyjaśniał, wlewając po strużce do każdej filiżanki - ta lura smakuje jak gówno.

Schował piersiówkę na miejsce, a potem, każdy ze swoją filiżanką, usiedliśmy w fotelach saloniku. Upiłem łyk neski: to, co Miralles do niej dolał, to był koniak.

– Cóż, słucham pana – odezwał się Miralles, zadowolony, niemal rozbawiony, sadowiąc się wygodnie w fotelu i mieszając neskę. – Ciąg dalszy przesłuchania? Uprzedzam, że opowiedziałem już panu wszystko, co wiem.

Nagle poczułem się zawstydzony tym zadawaniem pytań, chciałem powiedzieć Mirallesowi, że choćbym nie miał do niego żadnego interesu, i tak byłbym tutaj, gawędząc z nim i popijając kawę. Przez chwilę pomyślałem, że dowiedziałem się już wszystkiego, czego zamierzałem się dowiedzieć od Mirallesa i, nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie o Bolañu i o nocy, kiedy podpatrywał Mirallesa tańczącego paso doble z Luz pod markizą przyczepy kempingowej i zrozumiał, że jego czas na kempingu dobiegł końca. Myślałem równocześnie o Bolañu i o mojej książce, *Żołnierzach spod Salaminy*, o Conchi i o tych wszystkich miesiącach, kiedy próbowałem wpaść na ślad człowieka, który ocalił życie Sanchezowi Mazasowi, starałem się zrozumieć znaczenie jego spojrzenia i zdania wykrzykniętego w lesie, szukałem kogoś, kto sześćdziesiąt lat wcześniej tańczył paso doble w ogrodzie budynku zmienionego w prowizoryczne więzienie, podobnie jak Miralles i Luz tańczyli paso doble – jakieś inne albo to samo – na

proletariackim kempingu w Castelldefells, pod markizą werandy tymczasowego domu. Nie zadałem tego pytania; odezwałem się takim tonem, jakbym ujawniał nieznany dotąd fakt.

- Sánchez Mazas uniknął rozstrzelania. - Miralles przytaknął cierpliwie, delektując się swoją neską z koniakiem. - Ocalał dzięki pewnemu człowiekowi - dodałem. - Dzięki żołnierzowi Listera.

Opowiedziałem mu całą historię. Kiedy skończyłem, Miralles odstawił filiżankę na stół. Pochylił się trochę i, nie wstając z fotela, otworzył okno balkonowe. Popatrzył na zewnątrz.

- To historia jakby żywcem wyjęta z powieści - odezwał się po chwili obojętnym tonem, sięgając jednocześnie po papierosa do na pół opróżnionej porannej paczki.

Przypomniałem sobie Miguela Aguirre i powiedziałem:

- Możliwe. Ale wszystkie wojny obfitują w historię jakby żywcem wyjęte z powieści, prawda?

- Tylko dla tych, którzy ich nie doświadczają na własnej skórze. - Wydmuchnął obłoczek dymu i wypluł coś, co mogło być żdźbłem tytoniu. - Tylko dla tych, którzy je opowiadają. Dla tych, którzy idą na wojnę, żeby o niej opowiadać, nie żeby walczyć. Jak się nazywał ten amerykański pisarz, który wkroczył z wojskiem do Paryża?...

- Hemingway.

- Właśnie, Hemingway. Niezły pajac!

Miralles zamilkł, pogrążony w myślach. Przyglądał się spiralom dymu rozwiewającym się wolniutko w nieruchomym powietrzu na balkonie. Z ulicy dobiegał czasem warkot samochodu.

- A ta historia o żołnierzu Listera - zaczął, zwracając się znowu w moją stronę: lewa połowa jego twarzy odzyskała swój kamienny, nieruchomy wyraz; po prawej stronie pojawił się dwuznaczny grymas ni to obojętności, ni zawodu, ni rozdrażnienia. - Kto ją panu opowiedział?

Wytłumaczyłem mu. Miralles kiwał głową, usta miał skrzywione, niemal ironiczne. Było oczywiste, że opuścił go jowialny nastrój, w którym niedawno mnie przyjmował. Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale wiedziałem, że powinienem. Miralles mnie ubiegł:

- Niech mi pan zdradzi jedną rzecz. Nie obchodzi pana wcale Sánchez Mazas ani jego słynna egzekucja, prawda?

- Nie rozumiem pana - odparłem szczerze zdumiony.

Spojrzał mi w oczy z zaciekawieniem.

- Nie dojdiesz do ładu z pisarzami! - Uśmiechnął się szeroko. - A więc szuka pan bohatera. I tym bohaterem jestem ja, tak? Niech to szlag! Ale czy nie ustaliliśmy, że jest pan pacyfistą? Coś panu powiem. W czasach pokoju nie ma bohaterów, może z wyjątkiem tego niskiego Indianina, który zawsze wtedy chodził na pół goły... Ale nawet on nie był bohaterem albo został nim dopiero wtedy, kiedy go zabili.

Bohaterowie są bohaterami tylko wtedy, kiedy umierają albo ktoś ich zabija. Prawdziwi bohaterowie rodzą się tylko na wojnie i umierają na wojnie. Nie ma żywych bohaterów, młody człowieku. Są tylko umarli. Umarli, nieżywi. – Głos mu się załamał; po chwili milczenia zgasił papierosa i przełknął głośno ślinę. – Napije się pan jeszcze tego świństwa?

Wziął puste filiżanki i poszedł do kuchni. Usłyszałem, jak wyciera nos. Kiedy wrócił, oczy mu błyszczały, ale wydawał się spokojniejszy. Chyba starałem się przeprosić go za coś, bo pamiętam, że gdy już podał mi moją neskę, a sam rozsiadł się ponownie w fotelu, przerwał mi niecierpliwie, niemal z irytacją.

– Niech pan nie przeprasza, młody człowieku. Nie zrobił pan nic złego. Poza tym w pana wieku powinien pan już wiedzieć, że mężczyzna nie przeprasza: robi to, co robi, i mówi to, co mówi, a potem zaciska zęby. Ale opowiem panu coś, o czym pan nie wie, coś, co dotyczy wojny. – Pociągnął łyk neski, ja też pociągnąłem. Tym razem Miralles przesadził z koniakiem. – Kiedy szedłem w trzydziestym szóstym na front, razem ze mną szli inni chłopcy. Wszyscy z Terrassy, jak ja; wszyscy bardzo młodzi, prawie dzieci, podobnie jak ja; jednego znałem z widzenia, z innym zamieniłem kiedyś dwa słowa, ale większości nie znałem. To byli bracia García Segués (Joan i Lela), Miguel Cardos, Gabi Baldrich, Pipo Canal, Gruby Odena, Santi Brugada, Jordi Gudayol. Walczyliśmy razem na wojnie, na obu wojnach: na naszej i na tej

drugiej, choć obie były tą samą wojną. Żaden z nich nie przeżył. Wszyscy zginęli. Ostatni zginął Lela García Segués. Początkowo lepiej rozumiałem się z jego starszym bratem, Joanem, który był w moim wieku, ale z czasem Lela stał mi się bardzo bliski, był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu. Tak bardzo się zaprzyjaźniliśmy, że rozumieliśmy się bez słów. Zginął latem czterdziestego trzeciego, przejechał go brytyjski czołg w wiosce pod Trypolisem. I wie pan co? Odkąd skończyła się wojna, nie ma dnia, żebym o nich nie myślał. Byli tacy młodzi... Wszyscy zginęli. Wszyscy nie żyją. Nie żyją. Umarli. Wszyscy. Żaden nie posmakował życia: żaden nie miał kobiety tylko dla siebie, żaden nie doświadczył cudu ojcostwa ani nie przeżył chwili, kiedy dzieciak, trzy- albo czterolatek, pakuje się do łóżka rodziców, między matkę i ojca, w niedzielę rano, w rozświetlonym słońcem pokoju... – Miralles płakał: ani wyraz jego twarzy, ani brzmienie głosu nie zmieniły się, tylko po policzkach płynęły mu łzy, szybko po gładkiej powierzchni blizny i wolniej po pokrytych zarostem policzkach. – Czasem mi się śnią i wtedy czuję się winny: widzę ich wszystkich, całych i zdrowych, witają się ze mną, sypiąc żarcikami, tak samo młodzi jak wówczas, bo dla nich czas się zatrzymał, są tak samo młodzi i pytają mnie we śnie, dlaczego nie jestem z nimi, jakbym ich zdradził, bo moje miejsce jest z nimi; albo jakbym przywłaszczył sobie miejsce kogoś z nich; albo jakbym to ja tak naprawdę zginął

przed sześćdziesięcioma laty w jakimś przydrożnym rowie w Hiszpanii albo w Afryce, albo we Francji i jakbym śnił o swoim przyszłym życiu z żoną i dziećmi, o życiu, które miało dobiec kresu tutaj, w tym pokoju domu starców, podczas rozmowy z panem. – Miralles mówił dalej, szybciej, nie ocierając łez, które spływały mu na szyję i moczyły kołnierzyk flanelowej koszuli. – Wie pan, że nikt o nich nie pamięta? Nikt. Nikt nie pamięta nawet, dlaczego zginęli, dlaczego nie mieli żon i dzieci ani słonecznego pokoju: nikt, a już najmniej ci, za których walczyli. Żadna ulica w żadnym żalosnym miasteczku żadnego gównianego kraju nie będzie nigdy nazwana imieniem żadnego z nich. Rozumie pan? Rozumie pan, prawda? No, ale ja pamiętam, i to jeszcze jak, pamiętam o nich wszystkich, o Leli i o Joanie, o Gabim i o Odenie, o Pipie i o Brugadzie, i o Gudayolu, nie wiem, dlaczego pamiętam, ale pamiętam, nie ma dnia, żebym o nich nie myślał.

Miralles zamilkł, wyjął chusteczkę i osuszył łzy, wytarł nos; zrobił to bez zażenowania, jakby wcale nie wstydział się płakać przy ludziach, podobnie jak starzy wojownicy Homera, podobnie jak zrobiłby to żołnierz spod Salaminy. Potem jednym haustem dopił zimną neskę. Siedzieliśmy w milczeniu, paląc papierosy. Światło wpadające przez balkon stawało się coraz słabsze; prawie nie było słychać hałasu z ulicy. Czułem się dobrze, odrobinę pijany, niemal szczęśliwy. Pomyślałem: „Pamięta z tego samego po-



wodu, z którego ja pamiętam o ojcu i Ferlosio pamięta o swoim, i Miguel Aguirre o swoim, i Jaume Figueras o swoim, i Bolaño o swoich latynoskich przyjaciółach, wszyscy byli żołnierzami na z góry przegranych wojnach. Pamięta, bo chociaż od ich śmierci minęło już sześćdziesiąt lat, jeszcze nie umarli, właśnie dlatego, że on o nich pamięta. A może to nie on pamięta o nich, lecz to oni wczepili się w jego pamięć, aby nie umrzeć do końca. Ale kiedy Miralles umrze, jego towarzysze broni także umrą do końca, bo nie będzie już nikogo, kto by o nich pamiętał”.

Długo jeszcze gawędziliśmy o innych sprawach, popijając neskę, paląc papierosy, milknąc od czasu do czasu, jakbyśmy nie poznali się dopiero tego ranka. W pewnej chwili zauważyłem, że Miralles zerka dyskretnie na zegarek.

- Zanudzam pana - uciął rozmowę.

- Wcale mnie pan nie zanudza - zaprzeczyłem.

- Ale, rzeczywiście, mój pociąg odjeżdża o pół do dziewiątej.

- Musi pan jechać?

- Chyba tak.

Miralles wstał z fotela, sięgnął po laskę.

- Wiele panu nie pomogłem, co? - powiedział.

- Będzie pan mógł napisać swoją książkę?

- Nie wiem - wyznałem szczerze. - Mam nadzieję, że tak. - I zaraz dodałem: - Jeśli ją napiszę, obiecuję, że opowiem o pana przyjaciółach.

- Odprowadzę pana - stwierdził Miralles, jakby mnie wcale nie usłyszał. - I niech pan o tym nie

zapomni – wskazał na leżący na stole karton papierosów.

Wychodziliśmy już z jego apartamentu, kiedy się zatrzymał.

– Proszę mi coś powiedzieć – zaczął, trzymając rękę na klamce uchylonych drzwi. – Dlaczego chciał pan odnaleźć żołnierza, który uratował Sancheza Mazasa?

Odparłem bez wahania:

– Żeby go zapytać, co sobie myślał tamtego ranka w lesie, po egzekucji, kiedy go znalazł i spojrzał mu w oczy. Żeby go zapytać, co zobaczył w jego oczach. Dlaczego go ocalił, dlaczego go nie wydał, dlaczego go nie zabił.

– Dlaczego miałby go zabić?

– Bo ludzie na wojnie się zabijają – powiedziałem.

– Dlatego, że z winy Sancheza Mazasa i z winy czterech czy pięciu takich jak on stało się to, co się stało, i teraz ten żołnierz szedł na wygnanie, z którego nie było powrotu. Dlatego, że jeśli ktoś zasłużył sobie na rozstrzelanie, to był to Sánchez Mazas.

Miralles rozpoznał własne słowa, przytaknął ze śladem uśmiechu na ustach i otworzywszy do końca drzwi, szturchnął mnie lekko czubkiem laski z tyłu po nogach.

– Idziemy, bo spóźni się pan na pociąg – powiedział.

Zjechaliliśmy windą na parter; z recepcji zamówiliśmy taksówkę.

- Proszę pożegnać ode mnie siostrę Françoise
- poprosiłem, kiedy szliśmy do wyjścia.
- Nie zamierza pan tu wrócić?
- Nie wrócę, jeśli pan nie zechce.
- A kto powiedział, że nie chcę?
- W takim razie obiecuję panu, że wrócę.

Światło na zewnątrz było koloru stali, zapadł zmierzch. Czekaliśmy na taksówkę przy bramie do ogrodu, przed ulicznym semaforem zmieniającym światła dla nikogo, ponieważ przez skrzyżowanie Route des Daix i Rue Cambotte prawie nie przejeżdżały samochody, a i chodniki były puste. Po mojej prawej stronie wznosił się budynek mieszkalny, niezbyt wysoki, z wielkimi oknami i balkonami, z których rozciągał się widok na Résidence des Nymphéas. Pomyślałem, że to dobre miejsce do mieszkania. Pomyślałem, że każde miejsce jest dobre do mieszkania. Pomyślałem o żołnierzu Listera. Usłyszałem własne słowa:

- Jak pan sądzi, co sobie myślał?
- Ten żołnierz?

Odwróciłem się w jego stronę. Opierając się całym ciężarem ciała na lasce, Miralles wpatrywał się w czerwone światło. Kiedy czerwone zmieniło się na zielone, spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem.

- Nic nie myślał – powiedział.
- Nic?
- Nic.

Taksówka spóźniała się. Była już za kwadrans ósma, a ja musiałem jeszcze zajechać do hotelu, żeby uregulować rachunek i zabrać rzeczy.

- Jeśli pan wróci, proszę mi coś przywieźć.

- Oprócz papierosów?

- Tak.

- Lubi pan muzykę?

- Lubiłem. Teraz już jej nie słucham, bo ilekroć to robię, źle na mnie wpływa. Zaczynam rozmyślać o tym, co mnie spotkało, i o tym, co mnie ominęło.

- Bolaño mówił mi, że świetnie pan tańczy paso doble.

- Tak powiedział? - roześmiał się. - Pieprzony Chilijczyk!

- Pewnej nocy widział, jak tańczył pan *Westchnienie za Hiszpanią*, z przyjaciółką, przy samochodzie.

- Jeśli namówi pan siostrę Françoise, może umiałbym jeszcze zatańczyć - powiedział Miralles, mrugając do mnie okiem otoczonym blizną. - To piękne paso doble, prawda? O, niech pan patrzy, jest pana taksówka.

Taksówka zatrzymała się na rogu, tuż obok nas.

- No, cóż - powiedział Miralles. - Mam nadzieję, że wkrótce pan przyjedzie.

- Przyjadę.

- Mogę pana o coś prosić?

- O cokolwiek pan zechce.

- Od wielu lat nikogo nie uściskałem.

Usłyszałem stukot laski Mirallesa upadającej na chodnik i poczułem, że ściskają mnie jego wielkie ramiona, a ja sam ledwie mogę go objąć. Poczułem się bardzo mały i bardzo kruchy, doleciał mnie zapach lekarstw, lat spędzonych w zamknięciu i gotowanych warzyw, a przede wszystkim zapach starości, i zrozumiałem, że to jest właśnie nieszczęsny zapach bohaterów.

Rozluźniliśmy uścisk. Miralles podniósł swoją laskę i popchnął mnie lekko w kierunku taksówki. Wsiadłem, podałem taksówkarzowi adres hotelu „Victor Hugo”, poprosiłem, aby chwilę poczekał, opuściłem szybę.

– Jednego panu nie opowiedziałem – zwróciłem się do Mirallesa. – Sánchez Mazas znał żołnierza, który uratował mu życie. Widział go kiedyś tańczącego paso doble w ogrodzie w Collell. Samego. To było paso doble *Westchnienie za Hiszpanią*. – Miralles zszedł z chodnika i nachylił się do taksówki, oparł wielką dłoń na spuszczonej szybie. Byłem pewny, że nie może odmówić mi prawdy, zapytałem więc błagalnie: – To był pan, prawda?

Zawahał się chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko, serdecznie, nieznacznie odsłaniając podwójny rząd zniszczonych zębów. Jego odpowiedź brzmiała:

– Nie.

Cofnął dłoń i kazał taksówkarzowi ruszać. Jeszcze powiedział szybko coś, czego nie zrozumiałem (może jakieś nazwisko, ale nie jestem pewien), ponieważ

taksówka ruszyła, i choć wystawiłem głowę przez okno i spytałem, co powiedział, było już za późno, aby mógł mnie usłyszeć albo odpowiedzieć. Zobaczyłem, że unosi w górę laskę w geście ostatniego pożegnania, a potem patrzyłem przez tylną szybę samochodu, jak wraca powoli do budynku, pozbawiony wszystkiego, ledwo widzący, a jednak szczęśliwy, w szarej koszuli i znoszonych spodniach, w filcowych kapciach, z dumnie uniesioną głową, kamiennym, nieruchomym profilem, zwałisty i niezborny, coraz mniejszy na tle bladozielonej fasady budynku, chwiejnym krokiem, wsparty na lasce. Kiedy zobaczyłem, jak otwiera furtkę do ogrodu, poczułem coś na kształt przedwczesnej tęsknoty, jakbym nie patrzył teraz na Mirallesa, lecz tylko go sobie przypominał, może dlatego, że w tej właśnie chwili pomyślałem, że już go więcej nie zobaczę, że zapamiętam go takim na zawsze.

W wielkim pośpiechu zabrałem swoje rzeczy z hotelu, zapłaciłem rachunek i dotarłem na dworzec w ostatniej chwili, żeby wsiąść do pociągu. I tym razem był to sleeping, podobny do tego, którym przyjechałem, a może i ten sam. Rozlokowałem się w przedziale, czując, jak pociąg rusza. Potem, przez puste korytarze wyłożone zieloną wykładziną, poszedłem do wagonu restauracyjnego, z podwójnym rzędem nieskazitelnie nakrytych stolików i skórzanymi siedzeniami w kolorze dyni. Tylko jeden stolik był wolny. Usiadłem, a ponieważ nie czułem głodu,

zamówiłem whisky. Sącyłem ją powoli, paląc papierosa, gdy tymczasem za oknem Dijon rozptywało się w zmierzchu i wkrótce zmieniło się w migające szybko widoki pól uprawnych, ledwo widocznych w zapadających ciemnościach. Teraz w oknie odbijało się wnętrze wagonu restauracyjnego. Odbijała się moja postać, zobaczyłem grubego i postarzałego, trochę smutnego mężczyznę. Przepęlniała mnie jednak euforia, czułem się ogromnie szczęśliwy. Pomyślałem, że zaraz po przyjeździe do Gerony zadzwonię do Conchi i do Bolaña i opowiem im o Mirallesie i o mieście, które nazywa się Dijon, ale którego prawdziwa nazwa brzmi Stockton. Planowałem już następną, dwie, trzy podróże do Stockton. Pojadę do Stockton i zamieszkać w apartamentach przy Route des Daix, naprzeciwko domu opieki, i będę spędzał ranki i popołudnia, gawędząc z Mirallosem, paląc papierosy na ustronnej ławce w ogrodzie albo w jego mieszkaniu, a potem może nie będziemy nawet rozmawiać, nic nie będziemy mówić, tylko będziemy czuli, jak mija czas, bo wówczas będziemy już tak zaprzyjaźnieni, że nie będzie nam potrzebna rozmowa, aby czuć się dobrze w swoim towarzystwie, a wieczorem będę siadywał na balkonie swojego apartamentu, z paczką papierosów i butelką wina, i będę czekał, dopóki nie zobaczę, że po drugiej stronie Route des Daix gaśnie światło w mieszkaniu Mirallesa; wtedy posiedzę jeszcze jakiś czas, po ciemku, paląc papierosa i pijąc wino, gdy tymczasem on już zaśnie

albo będzie czuwał naprzeciwno, leżąc w łóżku i wspominając swoich poległych przyjaciół. Gryzło mnie sumienie, że nie pozwoliłem Conchi pojechać ze mną do Dijon, i wyobraziłem sobie, jak miło byłoby być tam razem z nią i z Mirallosem, a także z Bolańem, wyobraziłem sobie, że we trójkę namówilibyśmy Bolaña, żeby pojechał do Dijon jak ktoś, kto jedzie do Stockton, i że Bolaño pojechałby do Stockton z żoną i synem, i że wynajęlibyśmy w sześćcioro samochód i robilibyśmy sobie wycieczki do okolicznych miasteczek, i tworzylibyśmy dziwną albo niezwykłą rodzinę, i wtedy Miralles definitywnie przestałby być samotny (może i ja także), a Conchi zatęskniłaby bardzo za dzieckiem (może i ja także). I wyobraziłem sobie, że pewnego dnia, w nieodległej przyszłości, siostra Françoise zadzwoni do mnie nocą do Gerony, a ja zadzwonię do Conchi do Quart i do Bolaña do Blanes i że we trójkę wyruszymy nazajutrz do Dijon, chociaż miejsce, do którego dotrzemy, to będzie Stockton, definitywnie Stockton, i będziemy musieli opróżnić mieszkanie Mirallesa, wyrzucić jego ubrania albo oddać komuś jego meble i coś tam sobie zatrzymamy, kilka rzeczy, bo Miralles z pewnością nie miałby dużo rzeczy, może jakieś zdjęcie, na którym stoi uśmiechnięty między żoną i córką albo pozuje w mundurze wśród innych młokosów w mundurach, pewno niewiele więcej, czy ja wiem, może jakąś zdartą płytę winylową z nagraniem starych paso doble, porysowaną i przez



nikogo niesłuchaną od wieków. I byłby kondukt pogrzebowy i pogrzeb, a podczas pogrzebu muzyka, pogodna muzyka pełnego smutku paso doble dobiegająca ze zdartej winylowej płyty, a wtedy ja wziąłbym za rękę siostrę Françoise i poprosiłbym, żeby zatańczyła ze mną na grobie Mirallesa, zmusiłbym ją, żeby zatańczyła na świeżym grobie Mirallesa do muzyki, której nie umie tańczyć, w tajemnicy, tak żeby nikt nas nie widział, tak żeby nikt w Dijon ani we Francji, ani w Hiszpanii, ani w całej Europie nie wiedział, że pewna ładna i inteligentna zakonnica, z którą Miralles zawsze pragnął zatańczyć paso doble i której nigdy nie odważył się poklepać po tyłku, i pewien prowincjonalny dziennikarz tańczą na jakimś nikomu nieznanym cmentarzu, w jakimś smutnym mieście, przy grobie starego katalońskiego komunisty, i nikt by o tym nie wiedział z wyjątkiem sceptycznej i pełnej macierzyńskich uczuć telewizyjnej wróżki i zagubionego w Europie Chilijczyka, który stałby tam, paląc papierosa, ze wzrokiem zamgłonym dymem, trochę na uboczu i z bardzo poważną miną, i patrzyłby na nas, jak tańczymy paso doble przy grobie Mirallesa, tak samo jak wiele lat wcześniej przyglądał się Mirallesowi i Luz tańczącym inne paso doble pod markizą werandy przyczepy kempingowej na kempingu „Gwiazda Morza”, patrzyłby i może zastanawiałby się, czy tamto paso doble i to, widziane teraz, są rzeczywiście jednym i tym samym paso doble, zadawałby sobie to pytanie, nie oczeku-

jąc odpowiedzi, bo z góry wiedziałby, że jedyną odpowiedzią jest brak odpowiedzi, jedyną odpowiedzią jest jakaś tajemna i bezmierna radość, coś, co graniczy z okrucieństwem i wymyka się rozumowi, ale nie jest także instynktem, coś, co żyje w myśli z takim samym ślepym uporem, z jakim krew krąży w żyłach, Ziemia po niezmiennej orbicie, a wszystkie istoty trwają w swej upartej kondycji istot, coś, co wymyka się słowom, podobnie jak woda w strumieniu wymyka się kamieniom, ponieważ słowa są stworzone tylko po to, by wypowiadać same siebie, oznajmiać to, co można powiedzieć, to znaczy wszystko z wyjątkiem tego, co nami powoduje albo sprawia, że żyjemy, albo tego, co nas dotyczy, czym jesteśmy albo czym jest ta zakonnica i ten dziennikarz, którym byłem ja, tańczący razem na grobie Mirallesa, jakby na tym niedorzecznym tańcu mijało ich życie albo jakby byli ludźmi proszącymi o pomoc dla siebie i dla swoich bliskich w czasach ciemności. I wtedy, siedząc w wagonie restauracyjnym na skórzanym fotelu w kolorze dyni, ukołysany stukotem pociągu i gwarem jeżdżących wokół mnie ludzi, z niemal opróżnioną już szklaneczką whisky przed sobą, patrząc na nieznane odbicie smutnego mężczyzny w oknie, mężczyzny, którym nie mogłem być ja, ale którym byłem, tam właśnie ujrzałem nagle swoją książkę, tę książkę, za którą podążałem od wielu lat, ujrzałem ją całą, skończoną, od początku do końca, od pierwszej do ostatniej linijki. Tam właśnie pojąłem, że choćby

w żadnym miejscu żadnego miasta żadnego głównianego kraju nie było nigdy ulicy nazwanej imieniem Mirallesa, dopóki będę opowiadał jego historię, Miralles będzie w pewien sposób żył i będą żyli, jeżeli ja będę o nich mówił, bracia García Segués – Joan i Lela – i Miguel Cardos, i Gabi Baldrich, i Pipo Canal, i Gruby Odena, i Santi Brugada, i Jordi Gudayol, będą nadal żyli, choćby od wielu lat już nie żyli, nie żyli, nie żyli, nie żyli, będę mówił o Mirallesie i o nich wszystkich, żadnego nie pomijając, i, oczywiście, również o braciach Figueras i o Angelatsie, i o Marii Ferré, a także o moim ojcu, a nawet o młodych Latynosach Bolaña, ale przede wszystkim o Sanchezie Mazasie, który nie zasłużył sobie na walkę w tym plutonie żołnierzy, który ostatecznie zawsze ratuje cywilizację, a zasłużył na tę walkę Miralles, i o tych niepojętych chwilach, w których cała cywilizacja zależy od jednego człowieka, i o tym człowieku, i o zapłacie, jaką wyznacza mu cywilizacja. Ujrzałem swoją książkę kompletną i prawdziwą, swoją prawdziwą relację dopełnioną, i wiedziałem, że muszę ją tylko napisać, przepisać na czysto, ponieważ miałem ją w głowie od początku („O egzekucji Rafaela Sancheza Mazasa usłyszałem po raz pierwszy latem 1994 roku, w więc przeszło sześć lat temu”) do końca, do końca, w którym stary dziennikarz, przegrany i szczęśliwy, pali papierosa i pije whisky w wagonie restauracyjnym sleepingu pędzącego przez francuską równinę, wśród szczęśliwych ludzi jedzących kolację i kelnerów

w czarnych muszkach, i myśli o spełnionym człowieku, któremu nie brakowało odwagi i instynktu szlachetności, i dlatego nigdy się nie pomylił albo nie pomylił się w tej jedynej chwili, kiedy naprawdę się to liczyło, myśli o człowieku, który był czysty i odważny, i uczciwy do szpiku kości, o nieistniejącej jeszcze księżce, która go wskrzesi po śmierci, i spogląda tak na swoje smutne i postarzałe odbicie w oknie chłostanym pędem nocy, aż obraz powoli się rozplywa, a w szybie pojawia się rozżarzona pustynia bez końca i samotny żołnierz, niosący nad głową sztandar kraju, który nie jest jego krajem, kraju, który jest wszystkimi krajami naraz, a istnieje tylko dlatego, że ów żołnierz niesie wysoko jego podeptaną flagę, młody, obdarty, pokryty kurzem i bezimienny, nieskończenie mały w owym bezgranicznym morzu rozpalonego piasku, i maszeruje przed siebie pod czarnym słońcem kolejowej szyby, nie wiedząc dobrze, dokąd ani z kim idzie, ani po co, ale to go nawet specjalnie nie obchodzi, póki idzie naprzód, naprzód, naprzód, wciąż naprzód.

# Spis treści

Część pierwsza  
Przyjaciele z lasu  
9

Część druga  
Żołnierze spod Salaminy  
87

Część trzecia  
Spotkanie w Stockton  
173